GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Poniedziałek, 17 sierpnia 2026 | Redaktorka prowadząca Alina Janusz | Cena gazety 8,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 190.11289, 1
Nakład 41 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

Wypadek na Węgrzech

Tragiczny finał powrotu z pielgrzymki

W wypadku na węgierskiej trasie M3 zginęło 12 pielgrzymów z Podkarpacia. 10 osób jest w stanie ciężkim.

Magdalena Mach
Agata Kulczycka
Paula Skalnicka
Izabela Alberczyk

• **Węgierskie służby ratunkowe na miejscu wypadku polskiego autokaru na autostradzie M3, między miejscowościami Mezokeresztes i Mezonagymihaly. Węgry, 16 sierpnia 2026 roku** FOT. PAP/ EPA / ZOLTAN MATHE

Węgierska policja poinformowała, że około godz. 1 w nocy z soboty na niedzielę na 139. kilometrze autostrady M3 – w kierunku Nyíregyházy, za zjazdem Mezokeresztes – autokar z polskimi pielgrzymami na pokładzie zjechał z prostej drogi do rowu i przewrócił się.

Według węgierskich służb kierowca prawdopodobnie zasnął. Krajowa Służba Ratownicza poinformowała, że na miejsce wypadku wysłano 14 karetek pogotowia. Premier Donald Tusk zadecydował o wysłaniu na Węgry polskiego samolotu specjalnego z przedstawicielami MSZ i służb medycznych.

Autokarem podróżowało 57 pasażerów i dwóch kierowców. Na miejscu zginęło 11 osób, jedna zmarła w szpitalu. 10 osób jest w ciężkim stanie.

Organizatorem wyjazdu było biuro pielgrzymkowo-turystyczne Floratur z Rymanowa-Zdroju, które działa na rynku turystycznym od 1989 r. i organizuje wyjazdy pielgrzymkowe m.in. do Włoch, Albanii i Francji. W programie wyjazdu, który zakończył się tragicznie, były miejsca kultu religijnego Chorwacji oraz Bośni i Hercegowinie, m.in. Veprić, Mediugorie, ale także wycieczka do wodospadów Kravica, rejs po Adriatyku i spacer po Sarajewie. Właściciel biura był na tym wyjeździe pilotem wycieczki. Przeżył wypadek. Z informacji, jakie uzyskała „Wyborcza", wynika, że autokar prowadziło dwóch doświadczonych kierowców; jeden ma około 60 lat, drugi to 55-latek. Obaj przeżyli. Prowadzący pojazd został zatrzymany przez policję.

Kondolencje od premiera Węgier

Kondolencje złożył Peter Magyar, premier Węgier. „Złożyłem kondolencje narodowi polskiemu w związku z tragicznym nocnym wypadkiem autobusu. Pan premier Donald Tusk podziękował za pomoc udzieloną przez węgierskie ekipy ratunkowe i lekarzy" – napisał węgierski premier na Facebooku.

Minister infrastruktury Dariusz Klimczak wczoraj zlecił Głównemu Inspektoratowi Transportu Drogowego wzmocnione kontrole firm przewozowych i autokarów, szczególnie uwzględniające stan techniczny pojazdów, czas pracy i odpoczynku kierowcy oraz sposób przewożenia pasażerów. Szef resortu czeka także na wyniki kontroli przewoźnika, którego autobus uległ wypadkowi na Węgrzech.

Premier zdecydował o wysłaniu na Węgry polskiego samolotu specjalnego z przedstawicielami MSZ i służb medycznych

Teresa Kubas-Hul, wojewoda podkarpacka, informowała wczoraj w południe, że trwa weryfikacja listy osób, które podróżowały autokarem. Służby wojewody kontaktują się z samorządowcami z gmin, z których pochodzili uczestnicy pielgrzymki. Na razie wiadomo, że na liście jest 57 osób, dwóch kierowców i jeden ksiądz. – Są to mieszkańcy województwa podkarpackiego, z bardzo różnych gmin i miejscowości – powiedziała wojewoda. Wymieniła te miejsca: – Pielgrzymka wyjeżdżała ze Strzyżowa, więc są tam osoby z powiatu strzyżowskiego, ale i miasta Rzeszowa, powiatu rzeszowskiego, gminy Czudec, powiatu leżajskiego, powiatu jasielskiego.

Jeden z najtragiczniejszych wypadków

Wczoraj w wielu miejscowościach Podkarpacia miały odbyć się dożynki. Po apelu wojewody gmina Lubenia odwołała imprezę.

To jeden z najtragiczniejszych wypadków autokarowych z udziałem Polaków w ostatnich dekadach. Najwięcej ofiar pochłonęła tragedia z Grenoble, gdzie w 2007 r. zginęło 26 osób. W wypadku w pobliżu Balatonu zginęło w 2002 r. 19 osób, pod Berlinem w 2010 r. – 14 osób. W 2022 r. w Chorwacji również zginęło 12 pielgrzymów, którzy jechali do Medjugorje.

Śledztwo w sprawie wypadku wszczęła Prokuratura Okręgowa w Krośnie. ●

Więcej ▶ 7

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908112 34
1 RP

Temat dnia

To jest zdrada

– Skoro były wiceszef resortu sprawiedliwości ląduje w tak zapalnym punkcie, polskie służby powinny traktować to jako scenariusz skrajnego zagrożenia – mówi gen. Roman Polko

▶ **4-5**

Rynek pracy

Potrzebujemy cudzoziemców

W czasie, gdy z rynku pracy ubyło 215 tys. Polaków, liczba pracujących migrantów zwiększyła się o 145 tys. Pracownicy z zagranicy nie zapełniają więc nawet luki na rynku ▶ **11**

Sport

Znów jest pięknie!

Czy w nieco ponad tydzień można rozprawić się z tym, co męczyło nas przez rok? Iga Świątek pokazuje, że tak. W Toronto odebrała coś więcej niż okazałe trofeum i czek ▶ **22**

DUŻY FORMAT

POLKA W OBOZIE ICE

• **Reportaż Olgi Zagórskiej**

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / WYBORCZA.PL

eprasa.pl 883d017d18

Agnieszka Kublik

Antybrunatni

Już nie emocje anty-PiS będą porządkować wyborcze decyzje. Premier RP Donald Tusk rysuje podział na demokratów i brunatnych. Premier stoi więc teraz na czele obozu antybrunatnych, któremu to z kolei chce przewodzić prezydent RP. To nowa, tragiczna odsłona polskiej wojny na górze.

15 sierpnia w Gdyni, w przemówieniu z okazji Święta Wojska Polskiego, upamiętniającego rocznicę zwycięstwa nad siłami bolszewickimi w Bitwie Warszawskiej z 1920 r., premier Tusk zarysował fundamentalny podział, wokół którego będzie toczyć się kampania przed przyszłorocznymi wyborami. Bo ta kampania już trwa. I znowu czeka nas najważniejsza po 1989 r. bitwa wyborcza. Wygrana demokratów niemal trzy lata temu spowodowała nasilenie się ruchów nacjonalistycznych.

Premier Tusk nie wymieniał w Gdyni nazwisk, ale jest oczywiste, kogo miał na myśli – polskich „patriotycznych" zdrajców, na różnych poziomach zresztą.

Oto, co mówił szef rządu: „Znacie te partie, tych polityków, którzy chcą Polsce i Polakom wmówić, że naszym problemem jest Europa, że naszym wrogiem jest Ukraina. Jakoś zapominają o Rosji, o naszym sąsiedzie, który toczy wojnę w Ukrainie (...). Blokowanie wydatków na zbrojenia, blokowanie wielkiego projektu SAFE, 180 miliardów złotych dla wojska, dla Policji, dla Straży Granicznej, dla polskiego przemysłu zbrojeniowego. Próba podzielenia Polski z najbliższymi sąsiadami, sojusznikami. (...) Niektórzy kończą gdzieś na Białorusi albo na Naddniestrzu, ale my musimy skończyć z tą złą polityką niektórych polityków i partii".

Nawrocki przyjął na siebie zlepianie tego brunatnego towarzystwa

O prezydencie Nawrockim było więc to przemówienie, ale i o prezesie Jarosławie Kaczyńskim, o Marcinie Romanowskim (jest w Naddniestrzu), Tomaszu Szmydcie (jest na Białorusi), wreszcie o Grzegorzu Braunie, jawnie proputinowskim, antyeuropejskim, antysemickim.

Tusk parę dni temu miał na spotkaniu koalicyjnym alarmować, że jeśli prawica zbierze się „do kupy", trzeba będzie zareagować, czyli iść razem do wyborów, na jednej liście.

Ale nawet jak prawica nie zbierze się „do kupy" przed wyborami, to może się zebrać „do kupy" po wyborach i mieć większość wystarczającą do utworzenia rządu. A prezydent im w tym pomoże.

Bo to Nawrocki przyjął na siebie zlepianie tego brunatnego towarzystwa. Już zapowiedział, że jego ambicją jest być „liderem polskiej prawicy". To jasna deklaracja dla wszystkich: nie będę prezydentem wszystkich Polaków, bo nie chcę nim być.

„Polska prawica" to zresztą określenie wprowadzające w błąd, nie o konserwatystów czy o prawicę tu chodzi – to obóz walczący z europejskimi wartościami, jak demokracja, wolne wybory, tolerancja, otwartość, praworządność.

To do boju z nimi Tusk się przygotowuje. Radziłabym nie czekać, aż się „zbiorą do kupy". Pojedynczo też są groźni. Dla Tuska i dla nas wszystkich, dla demokratów. Dla Polski. ●

Andrzej rysuje

Olsztyn Green Festival 2026
Muzyka, spotkania, jezioro i zieleń

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Olsztyn Green Festival zaliczony. Nie przypomina innych, które odbywają się latem w Polsce, choćby dlatego, że odbywa się na brzegu największego jeziora w Olsztynie – Ukiel. W programie było wiele koncertów, spotkań i innych atrakcji. Atmostera była wyjątkowa, pogoda dopisała, fani też. Olsztyn, 16 sierpnia 2026 roku

CPN wraca na koniec wakacji

6,41

ZŁ ZA LITR

Tyle maksymalnie kosztować będzie dziś benzyna 95 (benzyna 98 – 7,20 zł, a olej napędowy – 7,37 zł).

A to dlatego, że na stacje benzynowe wracają maksymalne ceny paliw ustalane przez rząd.

Więcej ▶ Next.gazeta

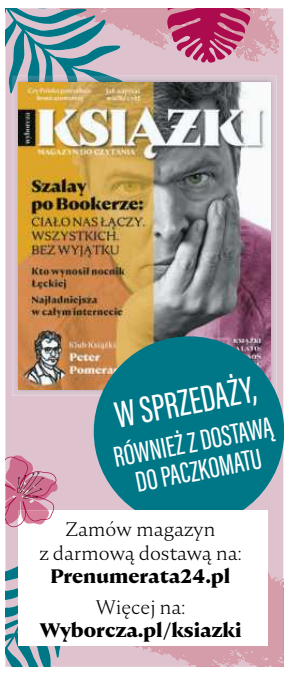

35 lat internetu w Polsce
Zaczęło się od połączenia kabelków

Siedemnasty sierpnia 1991 r. – to symboliczna data, która wyznacza rozpoczęcie się w Polsce ery internetu. Właśnie mija od niej 35 lat.

Wtedy to Rafał Pietrak, pracownik Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, wysłał pierwszego e-maila. Odbiorcą był Duńczyk, Jan Sorensen, szef Ośrodka Komputerowego Uniwersytetu Kopenhaskiego. – Mówi się, że był to pierwszy e-mail. Ale tak naprawdę to nie była żadna wiadomość, tylko połączenie kabelków, dzięki którym udało nam się nawiązać kontakt z Uniwersytetem Kopenhaskim – mówił potem Pietrak. Połączenie trwało zaledwie minutę, ale zmieniło Polskę na zawsze.

Uruchomienie internetu w Polsce kosztowało 435 mln starych złotych, czyli 43,5 tys. dzisiejszych. Taką dotację dostali naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego od Komitetu Badań Naukowych, aby połączyć sieci z kilku różnych uczelni i podłączyć je do sieci istniejącej za granicą.

W październiku 1991 r. polskie sieci komputerowe uzyskały łączność z siecią internetu w Europie, natomiast w grudniu Stany Zjednoczone zniosły ograniczenia łączności z innymi państwami i cofnęły zakaz wykorzystywania internetu do celów komercyjnych, co oznaczało otwarcie polskiej sieci na cały świat.

W styczniu 1992 r. w Polsce było już 2 tys. internautów. Tylko naukowców i pracowników uczelni. Do 1994 r. polski internet był prawie wyłącznie siecią akademicką. Jedynym operatorem Internetu w Polsce była Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa. Od 1993 r. firma teleinformatyczna ATM jako pierwsza w Polsce (pod marką IKP, Internet Komercyjny w Polsce) sprzedawała przedsiębiorstwom dostęp do sieci. Potem takich firm było coraz więcej. Pierwsza polska strona internetowa powstała w 1993 r. A w 1996 r. Telekomunikacja Polska uruchomiła osławiony numer 0-20-21-22, czyli połączenie do internetu za pomocą modemu i linii. Trzeba było płacić za impulsy co trzy minuty, strony ładowały się czasem kilkanaście minut, a połączenia nieustannie się rwały. A potem przyszły kolejne rewolucje: system kont e-mailowych, pierwsza księgarnia internetowa Merlin.pl, portal aukcyjny Allegro.pl, czyli polska odpowiedź na Amazon i eBay. 11 stycznia 2001 r. Telekomunikacja Polska uruchomiła Neostradę, umożliwiając klientom stały dostęp do sieci. Internet stawał się coraz mniej elitarny.

FOT. ADAM GOLEC / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kiedy internauci nauczyli się wydawać pieniądze w sieci, banki postanowiły oddać im kontrolę nad własnymi oszczędnościami. Ale prawdziwą rewolucją było wirtualne konto w mBanku.

Główny Urząd Statystyczny podaje, że obecnie aż 96,2 proc. polskich gospodarstw domowych posiada dostęp do sieci, a około 85 proc. osób w wieku 16-74 lata loguje się do internetu codziennie. ●

oprac. ali

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

Krajowi Producenci Leków kłócą się z Big Pharmą

Ministerstwo Zdrowia finalizuje pracę nad nowelizacją ustawy refundacyjnej. Tymczasem zagraniczne koncerny zażądały właśnie ich wstrzymania. Powodem są przepisy, które mają wspierać polskie firmy farmaceutyczne lub te, które do Polski przeniosą produkcję.

Judyta Watoła

FOT. SHUTTERSTOCK

Ustawa refundacyjna weszła w życie w 2012 r. Jej celem było uporządkowanie procesu wpisywania leków na listę refundacyjną. Wymagała tego unijna dyrektywa przejrzystości. Kiedy w 2015 r. władzę przejął rząd PiS, wiceministrem zdrowia odpowiedzialnym za politykę lekową został Krzysztof Łanda. Wymyślił MNUR i DNUR, czyli małą i dużą nowelizację ustawy refundacyjnej. Uwinął się tylko z MNUR, bo szybko przestał być wiceministrem. Prace nad DNUR przeciągały się i ostatecznie weszła w życie dopiero jesienią 2023 r.

SZNUR miał być szybki, a jest szeroki

Bardzo ją krytykowano za niektóre przepisy – jak na przykład zobowiązanie producentów leków, których często brakuje w aptekach, do równych dostaw ich preparatów do dziesięciu największych hurtowni w kraju. Już w 2024 ogłoszono więc, że będzie kolejna nowelizacja. Miała być szybka, więc nazwano ją SZNUR. Ponieważ prace się przeciągały, z szybkiej została przemianowana na szeroką.

W maju zeszłego roku Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że SZNUR będzie „odpowiadać na potrzeby pacjentów". Zmiany „przyspieszą proces refundacji", będzie „mniej biurokracji". Projekt zawisł jednak na stronie Rządowego Centrum Legislacji dopiero w połowie lipca tego roku. Teraz okazuje się, że nim 2 lipca był przedmiotem obrad Komitetu Stałego Rady Ministrów, Infarma, czyli Związek Pracodawców Innowacyjnych Firm Farmaceutycznych, który skupia zagraniczne koncerny, wystosował list do premiera Donalda Tuska i wniosek o wstrzymanie prac nad nowelizacją i skierowanie jej do ponownych konsultacji, ponieważ w projekcie dodano przepisy, których nie było w pierwotnej wersji. Według Infarmy to naruszenie dyrektywy przejrzystości oraz zasady swobodnego przepływu towarów obowiązującej w Unii Europejskiej i sprzeciwia się im cała branża farmaceutyczna.

De facto chodzi o pieniądze. Po pierwsze, nowe przepisy miałyby służyć wspieraniu krajowych producentów leków oraz firm, które będą produkować swoje leki także w Polsce. Po drugie, zmiany dotyczą samej refundacji, w tym programów lekowych, które w zeszłym roku wyniosły 13,7 mld zł i stale rosną. To ogromny koszt, biorąc pod uwagę, że korzysta z nich stosunkowo wąska grupa 330 tys. pacjentów. Dla porównania koszt całej refundacji aptecznej, z której korzystają miliony ubezpieczonych, to 12 mld zł.

A co to ja gorsza jestem?

Wzrost kosztów programów lekowych ma być ograniczony przez przepisy nakładające na innowacyjne koncerny współodpowiedzialność finansową (tzw. instrumenty dzielenia ryzyka nie są nowością w refundacji). To odpowiedź na dziurę w budżecie NFZ. Rosnące koszty programów lekowych – jak nieoficjalnie dowiedziała się „Wyborcza" – są bowiem przedmiotem sporu na linii NFZ-Ministerstwo Zdrowia.

Chodzi o to, że wiceminister zdrowia z PSL Marek Kos – mimo rosnących trudności finansowych NFZ – chciał podobnie jak jego poprzednik Maciej Miłkowski zasłynąć jako osoba, dzięki której do programów lekowych włączono dużo nowych cząsteczek. Chwalił się więc rekordową liczbą nowych cząsteczek na liście refundacyjnej.

Od września zeszłego roku Kos nie jest już wiceministrem. Jego obowiązki w zakresie refundacji przejęła wiceminister Katarzyna Kacperczyk. Mimo sugestii, by nie wpisywać już tylu nowych drogich leków do programów lekowych, bo w NFZ brakuje pieniędzy, Kacperczyk stara się kontynuować politykę Kosa. Współpracownikom miała powiedzieć: „A co to ja, k..., gorsza jestem?".

Krajowi Producenci Leków popierają SZNUR

W mijającym tygodniu „uderzyli" Krajowi Producenci Leków, czyli Związek Polskich Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego. W komunikacie rozesłanym 10 sierpnia do mediów ogłosili: „zagraniczne koncerny blokują nowelizację ustawy refundacyjnej" i „nie jest prawdą, że cała branża farmaceutyczna jest przeciwna nowelizacji ustawy refundacyjnej"

„W związku z działaniami zagranicznych koncernów farmaceutycznych zabiegających o wstrzymanie prac nad nowelizacją ustawy refundacyjnej, Krajowi Producenci Leków podkreślają, że próby jej sabotowania nie służą interesom Polaków" – napisał KPL.

> *W związku z działaniami zagranicznych koncernów farmaceutycznych zabiegających o wstrzymanie prac nad nowelizacją ustawy refundacyjnej, Krajowi Producenci Leków podkreślają, że próby jej sabotowania nie służą interesom Polaków*
>
> OŚWIADCZENIE KPL

Ich zdaniem SZNUR „racjonalizuje wydatki na refundację leków" i „wprowadza mechanizmy służące zwiększeniu bezpieczeństwa lekowego Polaków poprzez rozwój rodzimej produkcji".

Przepisy zawarte w nowelizacji mają zachęcić – także zagraniczne firmy – do organizowania w Polsce swojej produkcji, w tym produkowania substancji czynnych, bo w tej chwili także krajowi producenci w przypadku ogromnej większości leków sprowadzają substancje czynne do ich produkcji z zagranicy, głównie z Azji.

„Zwiększenie produkcji leków w Polsce będzie oddziaływało pozytywnie na polskie PKB, wzrost wpływów budżetowych oraz innowacyjność i konkurencyjność naszej gospodarki" – podkreśla KPL. Dodaje jeszcze: „W Polsce losami ustawy próbują sterować zagraniczne koncerny, które nie posiadają u nas inwestycji produkcyjnych".

Infarma kontratakuje

Już następnego dnia po komunikacie KPL swój wydała Infarma. Napisała, że zawsze wspierała nowelizacje ustawy refundacyjnej i doceniała „otwartość Ministerstwa Zdrowia na dialog". Dlatego dziś zabiera głos nie po to, by zatrzymać zmiany, ale by „zadbać o ich jakość".

„Zdecydowanie odrzucamy sugestię, jakoby nasze stanowisko wynikało z partykularnych interesów finansowych" – napisała Infarma. A jako przykład inwestowania w Polsce podała finansowanie w naszym kraju komercyjnych badań klinicznych. Koncerny muszą finansować takie badania, bo są obowiązkowe przed wpuszczeniem danego leku na rynek.

„Tylko w 2024 roku ponad 26 800 polskich pacjentów uzyskało w ramach badań klinicznych dostęp do najnowocześniejszych terapii" – napisała Infarma. Nie sprecyzowała jednak, czy chodzi o wszystkich pacjentów uczestniczących w komercyjnych badaniach klinicznych, czy uwzględnia tylko tych, którzy dostawali nowy, badany właśnie lek, a nie pacjentów z tzw. grup kontrolnych, którzy dostawali stary lek albo placebo.

Zdaniem Infarmy podział na krajowych i zagranicznych producentów jest sztuczny i „nie służy rzeczowej dyskusji o bezpieczeństwie lekowym Polski". Poza tym rozwiązania zawarte w nowelizacji są złe, bo „mogą tworzyć dodatkowe bariery dla obejmowania refundacją nowych terapii". Na końcu zauważa, że „nie ma potrzeby zatrzymywania całej nowelizacji". Wystarczy, że usunięte z niej zostaną przepisy dodane po zakończeniu konsultacji publicznych, a które Infarmie się nie podobają. Te przepisy powinny na nowo zostać poddane konsultacjom. ●

eprasa.pl 883d017d18

Romanowski w prorosyjskim Naddniestrzu?

Gen. Polko: W sensie polity

Nie miejmy złudzeń – obecność byłego wiceszefa resortu sprawiedliwości w Naddniestrzu to żaden przypadek. Na taki krok musiała paść wyraźna zgoda ze strony Moskwy. Mówimy o strefie całkowicie kontrolowanej przez Rosję, w której to wyłącznie Kreml decyduje o tym, kto i na jakich warunkach otrzymuje schronienie.

• **Marcin Romanowski po posiedzeniu aresztowym w Sądzie Rejonowym dla Warszawy Mokotowa. Warszawa, 16 lipca 2024 roku**
FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA Z
GEN. ROMANEM POLKO
byłym dowódcą jednostki GROM

DOROTA ROMAN: Polityk, były wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS Marcin Romanowski przez lata współdecydował o strategicznych obszarach w Ministerstwie Sprawiedliwości. O czym świadczy to, że dziś – jak wszystko na to wskazuje – znajduje się w bezpośredniej strefie wpływów Kremla?
GEN. ROMAN POLKO: Mamy już niestety w naszej najnowszej historii przypadek sędziego Tomasza Szmydta, który uciekł na Białoruś. Mówimy o człowieku, który bezpośrednio kierował procesami weryfikacji i decydował o tym, kto w Polsce otrzyma dostęp do informacji niejawnych.

Sytuacja z Marcinem Romanowskim, który według wszelkich przesłanek odnalazł się w kontrolowanym przez Rosję Naddniestrzu, to kolejny potężny cios w nasz system bezpieczeństwa. Różnica polega na tym, że Romanowski jako wiceminister stał jeszcze wyżej w hierarchii państwowej.

Obaj ci ludzie mają unikalną wiedzę o strukturach, procedurach i słabościach polskich organów ścigania oraz wymiaru sprawiedliwości.

Fakt, że kluczowe osoby z polskiego systemu prawnego lądują w strefach bezpośrednich wpływów Kremla, to dla polskich służb najwyższy stan alarmu i konieczność natychmiastowego szacowania strat wywiadowczych.

Dziś były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski wysyła pisma z Tyraspola, czyli serca prorosyjskiego Naddniestrza. To nie jest przypadkowy kierunek. Mamy do czynienia z ucieczką ludzi dysponujących strategiczną wiedzą o państwie prosto w ramiona rosyjskiego aparatu bezpieczeństwa.

Jeśli wysocy urzędnicy odpowiedzialni za kluczowe piony państwa szukają schronienia na terytoriach zależnych od Moskwy, to przestaje to być wyłącznie sprawa karna, a staje się bezpośrednim zagrożeniem dla suwerenności i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

Romanowski ukrywa się w Naddniestrzu?

Czym w praktyce skutkuje sytuacja, w której człowiek z taką wiedzą państwową mógł trafić w ręce prorosyjskich struktur?
– Dla rosyjskich służb były polski wiceminister to absolutna kopalnia wiedzy. Przecież wiedza i dane, którymi dysponuje z racji pełnionego urzędu, stanowią dla drugiej strony gotową bazę operacyjną. Pamiętajmy o najważniejszym: wciąż nie znamy szczegółów i nie wiemy, od jak dawna on tam przebywa. A w tamtym świecie – świecie rosyjskich służb specjalnych – nic nie dzieje się z przypadku ani za darmo.

Żeby znaleźć się w takim miejscu i zyskać tam bezpieczną przystań, trzeba przynieść coś cennego w zamian.

Na terytorium kontrolowanym przez FSB i lokalne KGB nikt nie pojawia się przypadkiem. Tam nie ma darmowych przysług. Istnieje ogromne ryzyko, że za ochronę trzeba zapłacić konkretną informacją.

Z punktu widzenia kontrwywiadu sytuacja jest skrajnie niebezpieczna. Przyznam szczerze, że z początku sam uważałem to za fake news – aż nie chciało się wierzyć, że taki scenariusz jest w ogóle możliwy.

Jeśli jednak ostatecznie te doniesienia potwierdzą nasze służby, będziemy mieli dowód na to, jak daleko potrafią posunąć się niektórzy ludzie. Pokazuje to, że w obliczu odpowiedzialności karnej zdrada własnej ojczyzny i ucieczka do wrogiej enklawy stają się dla nich ceną, którą są w stanie zapłacić, byle tylko ratować własną skórę.

Patrząc na to z perspektywy bezpieczeństwa państwa, mamy do czynienia z sytuacją skrajną. Przecież jako prominentny polityk ówczesnej władzy i wiceminister sprawiedliwości ten człowiek przez lata znajdował się w samym sercu najczulszych mechanizmów polskiego państwa. Miał wgląd w procedury, systemy teleinformatyczne, śledztwa i wiedzę o ludziach służb.

Jeśli dziś – jak wszystko na to wskazuje – oddał się pod skrzydła struktur kontrolowanych przez Kreml, to poziom zagrożenia kontrwywiadowczego przekracza wszelkie dotychczasowe normy. To potężne uderzenie w architekturę bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

Taki kryzys paraliżuje wewnętrzne procedury i uderza w fundamenty naszych instytucji. Co więcej, ta sytuacja głęboko podważa wiarygodność Polski na arenie międzynarodowej. Pokazuje bowiem naszym sojusznikom z NATO i Unii Europejskiej, że ludzie z samego szczytu władzy mogą bez przeszkód uciekać do strefy wpływów wroga.

Zastanówmy się, co się stanie, jeśli w obliczu kolejnych wyborów polityczne wahadło w Polsce znów się przechyli i do władzy w ten czy inny sposób powróci dawny obóz. Czy to oznacza, że człowiek, który dziś ucieka w ramiona Kremla, nagle wróci do kraju w pełni chwały? To porażające

GEN. ROMAN POLKO

Gdy na początku pojawiały się głosy, że uciekinierzy przed polskim wymiarem sprawiedliwości mogą szukać schronienia na Białorusi czy w Rosji, brzmiało to niemal jak ponury żart. Dzisiaj, gdy okazuje się, że były wiceminister sprawiedliwości – człowiek, który współdecydował o kierunkach rozwoju państwa – rzeczywiście odnajduje się w kontrolowanym przez Moskwę Naddniestrzu, ten żart zamienia się w przerażającą rzeczywistość. To porażające, że ludzie odpowiedzialni za kluczowy resort w kraju szukają ratunku przed zarzutami przestępczymi w ramionach wrogich reżimów.

Kreml decyduje, kogo tam ukryć. Romanowski nie trafił tam przez przypadek

Czy pobyt Romanowskiego w Tyraspolu to efekt wcześniejszej operacji, inwigilacji i nacisków ze strony rosyjskich służb?
– Naddniestrze od początku pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą jest postrzegane jako tykająca bomba i potencjalny front, z którego Kreml mógłby zaatakować Ukrainę od południowego zachodu. Mówimy o strefie, z której w każdej chwili mogą zostać wyprowadzone rosyjskie ataki wymierzone w Ukrainę. To de facto wysunięta placówka wojskowa Moskwy.

Skoro były wiceszef resortu sprawiedliwości ląduje w tak zapalnym punkcie, polskie służby powinny traktować to jako scenariusz skrajnego zagrożenia, w którym polskie tajemnice państwowe trafiają bezpośrednio na zaplecze frontu wroga.

Nazwijmy rzeczy po imieniu: to nie jest zwykły azyl dla zbiega, lecz wejście w sam środek wrogiej infrastruktury wojennej.

Z perspektywy operacyjnej sprawa jest oczywista. Do Naddniestrza nie da się ot tak wjechać, a tym bardziej tam ukryć, bez zielonego światła od lokalnego aparatu bezpieczeństwa, który jest sterowany bezpośrednio przez Moskwę. Obecność tego człowieka w Tyraspolu to jasny sygnał, że jego pobyt odbywa się za zgodą rosyjskich władz i pod ich pełną, permanentną kontrolą.

Czy jest w ogóle wyobrażalny scenariusz, w którym człowiek z taką wie-

eprasa.pl 883d017d18

Romanowski w prorosyjskim Naddniestrzu?

cznym to po prostu zdrada

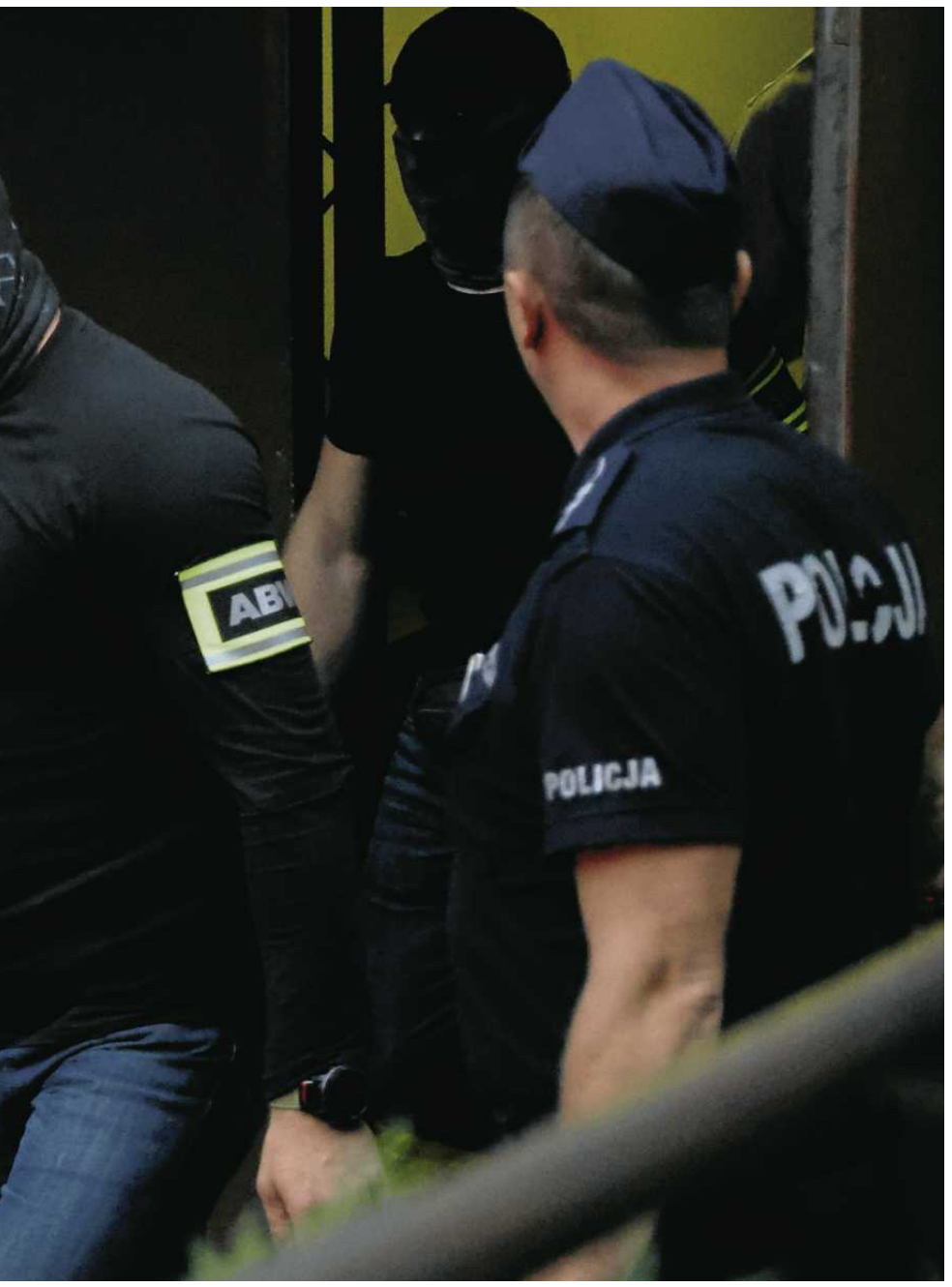

dzą pojawia się w Tyraspolu bez przyzwolenia Moskwy?
– Nie miejmy złudzeń: obecność tego człowieka w tamtym regionie to żaden przypadek. Musiała na to paść wyraźna zgoda. Owszem, mówimy o Naddniestrzu – o terytorium i miejscowości, której nazwy większość ludzi w Polsce pewnie nawet nie potrafi dobrze wymówić. Ale pod względem politycznym i operacyjnym nie ma to najmniejszego znaczenia. Czy on przebywa fizycznie w Moskwie, czy właśnie tam – to bez różnicy. To strefa całkowicie kontrolowana przez Rosję i to Kreml decyduje, kto dostaje tam schronienie.

Skoro były wiceszef resortu sprawiedliwości ląduje w tak zapalnym punkcie, polskie służby powinny traktować to jako scenariusz skrajnego zagrożenia, w którym polskie tajemnice państwowe trafiają bezpośrednio na zaplecze frontu wroga

GEN. ROMAN POLKO

Człowiek, który współtworzył polskie państwo, wybrał protekcję wroga. To czysta zdrada

Litera prawa i polski Kodeks karny inaczej definiują zdradę stanu czy szpiegostwo. W obliczu wojny hybrydowej, z jaką się mierzymy, oddanie się w ręce struktur kontrolowanych przez Kreml nie wypełnia moralnych i politycznych znamion zdrady własnego kraju?
– Mówmy o tym głośno: tego typu działania są w gruncie rzeczy zdradą państwa i tutaj nie mam najmniejszej wątpliwości. Niezależnie od tego, jak surowo czy formalnie Kodeks karny definiuje to pojęcie, rzeczywistość jest brutalna. Oddanie się w ręce tych, którzy życzą naszemu krajowi jak najgorzej, to akt całkowitej kapitulacji z lojalności wobec ojczyzny.

Najgorsza w tym wszystkim jest jednak perspektywa systemowej bezradności naszego państwa. Zastanówmy się, co się stanie, jeśli w obliczu kolejnych wyborów polityczne wahadło w Polsce znów się przechyli i do władzy w ten czy inny sposób powróci dawny obóz. Czy to oznacza, że człowiek, który dziś ucieka w ramiona Kremla, nagle wróci do kraju w pełni chwały? To porażające. ●

Co w sprawie Romanowskiego robią polskie służby?

„Uciekinierowi kurczy się pole działania”

Ruchy [polskich służb] w Naddniestrzu są mocno ograniczone – powiedział wiceminister Marcin Bosacki. – To obszar, który znajduje się pod kontrolą Rosji – przypomniał z kolei minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak.

W ubiegłym tygodniu do Sądu Okręgowego w Warszawie wpłynął wniosek byłego wiceministra sprawiedliwości, posła PiS Marcina Romanowskiego, o wydanie listu żelaznego. Pismo zostało nadane w Tyraspolu na terenie Naddniestrza – separatystycznego regionu Mołdawii nieuznawanego za państwo. Romanowski oświadczył, że stawi się w sądzie lub prokuraturze pod warunkiem odpowiadania z wolnej stopy. Poseł PiS poinformował też, że „zgodnie z prawem w sposób legalny, ma wydany paszport na inną tożsamość, na podobnej zasadzie jak świadkowie koronni, aby swobodnie poruszać się poza UE”.

„Potwierdzam fakt złożenia przez mojego klienta wniosku o wydanie listu żelaznego i złożenia oświadczenia o przebywaniu poza terytorium Unii Europejskiej. Prokuratura Krajowa dysponuje adresem korespondencyjnym Marcina Romanowskiego oraz oświadczeniem mojego mocodawcy” – przekazał Bartosz Lewandowski, pełnomocnik polityka PiS.

Bosacki: Ruchy są mocno graniczone

Wiceszef MSZ Marcin Bosacki zapytany w TOK FM, co polska dyplomacja może zrobić w tej sytuacji, odpowiedział, że „nie możemy tak naprawdę żądać ekstradycji od władz, z którymi nie mamy formalnych kontaktów”.

– Możemy oczywiście wysłać takie żądanie do kraju, który formalnie sprawuje władztwo, pieczę nad tym terytorium, czyli do Mołdawii, ale wiemy, że to żądanie nie zostanie zrealizowane, bo Mołdawianie nie mają takiej możliwości, żeby łapać ludzi na terytorium Naddniestrza, które jest chronione przez służby i wojsko rosyjskie – powiedział Bosacki.

Zaznaczył, że z punktu widzenia dyplomacji, „jeśli Romanowski rzeczywiście jest w Naddniestrzu, ruchy są mocno ograniczone”. Dopytywany o możliwość ustalenia potencjalnych kontaktów Romanowskiego ze służbami rosyjskimi Bosacki stwierdził, że „jest to zadanie służb, ale jest przekonany, że polskie służby już to robią i pewnie nie robią tego od wczoraj”.

Do sprawy odniósł się na antenie radiowej Jedynki również minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak, który zwrócił uwagę, że jest to obszar znajdujący się pod kontrolą Rosji, gdzie standardy europejskie związane z nakazami aresztowania nie działają.

– W związku z tym nasze służby, prokuratura, Policja zwracają się do różnych służb partnerskich, mołdawskich, bo jednak formalnie to jest część Mołdawii – powiedział. Siemoniak jednocześnie ostrzegł przed „pochopnym udzielaniem wiary panu Romanowskiemu”. Zaznaczył, że Romanowski „jest uciekinierem”, a po jego liście widać, że „trochę kurczy mu się jakieś pole działania i jeżdżenia po różnych krajach”.

Naddniestrze to separatystyczny region Mołdawii, który w latach 90. ubiegłego wieku wypowiedział posłuszeństwo władzom w Kiszyniowie. Po krótkiej wojnie, której towarzyszyła rosyjska interwencja, Naddniestrze wywalczyło niemal pełną niezależność. Ma własnego prezydenta, armię, siły bezpieczeństwa, urzędy podatkowe i walutę. Niepodległości Naddniestrza nie uznało żadne państwo, w tym Rosja – choć ta ostatnia wspiera je gospodarczo i politycznie.

Szczucki o Romanowskim: Dyskredytacja w życiu publicznym

– Jeżeli by się to potwierdziło, że [Marcin Romanowski] przebywa w Naddniestrzu, to byłbym w szoku i uważam, że to jest sytuacja dyskredytująca daną osobę w życiu publicznym w ogóle. Tutaj pewnie musimy poczekać na to, aż służby albo ktoś inny na 100 proc. potwierdzi, że on tam jest – komentował w czwartek rano w „Graffiti” w Polsat News poseł klubu Rozwój Plus Krzysztof Szczucki, do niedawna poseł PiS.

– Jeżeli służby państwa polskiego nie potrafią ustalić od miesięcy, gdzie jest obywatel, nie taki w końcu nieznany, który leży w jakimś zainteresowaniu państwa (...), to ja wątpię w skuteczność państwa – dodał.

Były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski ma sformułowane zarzuty w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości. Prokuratura zarzuca mu m.in. udział w zorganizowanej grupie przestępczej i ustawianie konkursów za pieniądze z tego funduszu. Przestępstwa te miały polegać m.in. „na wskazywaniu podległym pracownikom podmiotów, które powinny wygrać konkursy na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości”. Polityk miał też zlecać poprawę błędnych ofert przed ich zgłoszeniem oraz dopuszczać do udzielenia dotacji podmiotom, które nie spełniały wymogów formalnych i materialnych. Marcin Romanowski nie przyznaje się do winy. ●

Marcin Kozłowski

eprasa.pl 883d017d18

Spór o awanse w prokuraturze

– Rozumiem, że pan Żurek chce pozostawić te puste etaty następcom po wyborach – tak kwituje brak nominacji jeden z doświadczonych śledczych.

Ewa Ivanova

W prokuraturze na szczytach wciąż iskrzy, punktem zapalnym są wrażliwe kwestie kadrowe i blokowanie awansów przez prokuratora generalnego. Jak ujawniła „Wyborcza" Waldemar Żurek wstrzymał awanse 57 prokuratorów. Wnioski o powołanie śledczych na wyższe stanowiska złożył prokurator krajowy Dariusz Korneluk. Dotyczą awansów na stanowiska w prokuraturach okręgowych, regionalnych i w Prokuraturze Krajowej. Najstarsze są jeszcze z listopada 2025 r.

• **Prokurator krajowy Dariusz Korneluk i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek**
FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Punkt zapalny: awanse dwójki prokuratorów

Według naszych informatorów źródłem tarcia w sprawie awansów było to, że prokurator generalny Żurek miał uzależniać awans 57 osób od powołania na prokuratorów Prokuratury Krajowej dwójki jego kandydatów: Marka Wełny i Agnieszki Welenc. Oboje podobnie jak Żurek wywodzą się ze środowiska krakowskiego i mają tytuły szczebla regionalnego. Ale w obecnych realiach prawnych wnioski o awans kieruje prokurator krajowy, a prokurator generalny je akceptuje albo nie. Potężny opór w środowisku śledczych nękanych za PiS budzi awans Welenc, bo prokuratorka za Ziobry nie tylko pracowała w Prokuraturze Krajowej na delegacji, ale była naczelnikiem wydziału prawnego w Biurze Prezydialnym PK i beneficjentką wysokich dodatków. Do tego awansował ją w ostatniej chwili przed zmianą władzy prokurator generalny Marcin Warchoł (PiS).

Dariusz Korneluk zaprzecza konfliktowi, mówi co najwyżej o różnicy zdań między prawnikami. Z kolei Waldemar Żurek powiedział wp.pl, że z Kornelukiem zna się od lat i dużo robią razem, ale czasem patrzą na prokuraturę w różny sposób. – Trzymam się jednak zasady: „brudy pierzemy w środku instytucji" – dodawał, narzekając na regularne wycieki informacji z prokuratury do mediów.

W środowisku prokuratorskim rośnie zniecierpliwienie, bo problem zablokowanych awansów nie został rozwiązany. Do sprawy odniosło się publicznie w środę stowarzyszenie prokuratorów Lex super omnia: „Mimo upływu miesiąca nominacji nadal brak. Zamiast nominacji Minister Sprawiedliwości-Prokurator Generalny proponuje konkursy, brak jednak szczegółów, jakie byłyby ich zasady".

Rodzi się pomysł konkursów

Obecnie procedura weryfikacji kandydatów do awansu jest złożona, ale nie ma konkursów. Najpierw powstają wnioski o awanse na szczeblu okręgowymi i regionalnym, potem kandydatów opiniują zgromadzenia przy prokuraturach regionalnych. Na koniec ich nazwiska trafiają do PK i prokurator krajowy podejmuje decyzje: wystąpić o awans czy nie. Finalnie decyzję na „tak" albo „nie" podejmuje prokurator generalny.

Po wygranych wyborach w 2023 r. i mimo zmiany władzy w prokuraturze za rządów Adama Bodnara i Waldemara Żurka nie wypracowano nowych, transparentnych mechanizmów awansowych opartych o obiektywne kryteria.

Wobec blokady wniosków awansowych prokuratorzy regionalni, szukając wyjścia z patowej sytuacji, zaproponowali Żurkowi podczas jednego ze spotkań, aby podpisał awanse na szczeblu regionalnymi i okręgowym. Proponowano, aby przy awansach do Prokuratury Krajowej zorganizowano konkurs, którym mogłaby się zająć Krajowa Rada Prokuratorów. W jej skład wchodzą prokurator generalny i krajowy oraz m.in. prokuratorzy wybrani przez zgromadzenia. Proponowano, że jeśli nie Rada, to sam Żurek może powołać zarządzeniem komisję do przeprowadzenia konkursu w PK. – Prokurator generalny Żurek nie wyraził zainteresowania żadną z tych propozycji – twierdzili rozmówcy „Wyborczej".

Pod koniec lipca Żurek ogłosił w piśmie do prokuratorów, że dostrzega konieczność prowadzenia transparentnej polityki kadrowej. Pisał, że jeszcze podczas narady z prokuratorami w marcu 2026 r. w Popowie wskazywał na taką potrzebę, „reakcja była pozytywna, jednak do chwili obecnej nie otrzymałem żadnej propozycji". Przekonywał, że zmiany ustawowe są obecnie „niezwykle trudne do skutecznego przeprocedowania". Ale to nie stoi na przeszkodzie wypracowaniu dobrej praktyki, która otworzy prokuratorom drogę do realizacji aspiracji zawodowych i wyposaży ich przełożonych w narzędzia pozwalające na wyłonienie najlepszych kandydatów. Zapowiadał, że na kolejnym spotkaniu z prokuratorami 29 lipca przedstawi koncepcję konkursów, którą opracował „wobec wspomnianego już braku konstruktywnej odpowiedzi na wcześniejsze w tym zakresie postulaty".

– Spotkałem się z szefami prokuratur i rzuciłem hasło konkursów. Zgodzili się, ale ze swojej strony nie przedstawili żadnej propozycji, to ja musiałem zaproponować rozwiązanie – mówił wp.pl I dodawał: – Oddolnych propozycji konkursów nie było, więc teraz ja wyszedłem z taką propozycją, ale nadal czekam też na wskazówki prokuratur regionalnych.

Spóźniona dyskusja

Środowisko prokuratorów dostrzega problem z brakiem transparentnych procedur awansowych, krytykuje uznaniowość decyzji kadrowych. Część postuluje wprowadzenie przepisów o konkursach, związkowcy proponują awanse poziome zależne od stażu pracy. Panuje jednak ogólne rozczarowane, że dyskusja na ten temat rozpoczyna się na nieco ponad rok przed kolejnymi wyborami. I do tego, jak dotąd jest to wciąż dyskusja czysto teoretyczna. Stąd nasi rozmówcy oceniają pomysł konkursów za mocno spóźniony, a przez to nierokujący.

> *Po wygranych wyborach w 2023 r. nie wypracowano nowych, transparentnych mechanizmów awansowych opartych o obiektywne kryteria*

– Rozumiem, że pan Żurek chce pozostawić te puste etaty następcom po wyborach – kwituje jeden z doświadczonych śledczych.

Inny: – Skoro w tym tempie i z takimi „efektami" toczą się prace nad zmianami ustawami dotyczącymi prokuratury czy nad regulaminem, to trudno mieć nadzieję, że do wyborów zostaną wypracowane nowe transparentne zasady konkursów.

Przypomina, że wbrew przedwyborczym zapowiedziom rządząca większość nie wprowadziła przez trzy lata żadnych istotnych zmian dotyczących organizacji prokuratury i gwarancji niezależności śledczych. Nie rozdzielono stanowisk prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości, a z prac nad małą nowelizacją w tym zakresie wycofano się rakiem. Minister Żurek powtarza, że najpierw trzeba „pacjenta", czyli prokuraturę uleczyć, zanim zostanie wypuszczony ze szpitala. – Jesteśmy dopiero na etapie wychodzenia z OIOM-u, nie jesteśmy jeszcze gotowi na rozdzielenie – mówił ostatnio w wp.pl

Na razie nie do końca wiadomo jednak, jak ma wyglądać terapia pacjenta, bo z resortu Żurka wciąż nie wyszedł do dalszych prac czy konsultacji nowy, kompleksowy projekt ustawy dotyczącej prokuratury, choć komisja kodyfikacyjna przygotowała zmiany.

Nawet prace nad zmianami w prokuratorskim regulaminie, który ma postać rozporządzenia ministra sprawiedliwości, nie zakończyły się jak dotąd szczęśliwym finałem. Projekt opracowany w Prokuraturze Krajowej przesłano niedawno prokuratorom do konsultacji. Ale odciął się od niego Żurek i na razie czeka na uwagi środowiska.

– Zamiast współpracy jest ciągła konfrontacja. Tym sposobem nigdzie nie dojdziemy – mówi nasz rozmówca.

Wątpliwości dotyczą także tego, czy rozwiązania dotyczące konkursów mogą mieć charakter pozaustawowy. Czy dopuszczalne jest wprowadzenie ich w regulaminie prokuratury (czyli rozporządzeniu) lub w ramach dobrych praktyk. Do tego diabeł będzie tkwił w szczegółach, czyli w kryteriach oceny pracy prokuratorów, procedurze i tym, kto i jak ma opiniować awanse: Krajowa Rada Prokuratorów, zgromadzenia, czy komisje konkursowe.

– Nawet jeśli zostaną ustalone dobre praktyki, to nie zmienią one reguł ustalonych w ustawie – zwraca uwagę jeden z prokuratorów. I przypomina, że przepisy są jasne: prokuratorów powołuje na stanowisko prokuratorskie prokurator generalny na wniosek prokuratora krajowego. A zgodnie z ustawą prokurator generalny może zasięgnąć opinii kolegium prokuratury o kandydacie na stanowisko prokuratorskie. Opinie nie są wiążące. Wymagania stawiane kandydatom również są ustawowo określone.

Inny nasz rozmówca wskazywał, że ewentualne zmiany w tym zakresie są dopuszczalne, o ile Żurek przygotuje projekt nowelizacji ustawy albo doprowadzi do skutecznego zaskarżenia przepisów przed Trybunałem Konstytucyjnym.

Wszyscy nasi rozmówcy alarmują, że wstrzymanie awansów ma katastrofalne skutki systemowe, bo wstrzymuje ruch kadrowy. Po awansowanych prokuratorach uwalniane są ich etaty, a więc mogą być na nie powołane kolejne osoby. Jeśli wolne etaty wyżej są „puste", nikogo na nie nie awansowano, to etaty niżej nie są uwalniane i inni także nie mogą awansować. Koniec końców uderzy to w adeptów krakowskiej szkoły, bo nie będą mieli etatów, na których mogliby zostać zatrudnieni.

Brak awansów to fake?

Waldemar Żurek dowodzi w wywiadach, że zarzucanie mu blokowania awansów to kłamstwo. W Rzeczpospolitej przekonywał, że „to kolejny, jak to się teraz mówi, fake news". Na dowód tego rzucił garść danych, z których wynika, że awansował przez rok ponad 70 prokuratorów.

Z informacji „Wyborczej" wynika, że za czasów Żurka awansowano 76prokuratorów – 50 na stanowiska prokuratora prokuratury okręgowej, 18 na stanowiska w prokuraturach regionalnych i 8 na stanowiska w Prokuraturze Krajowej. Wstrzymano, przypomnijmy, awanse 57 osób.

Co te liczby mówią o sytuacji w prokuraturze? 76 awansowanych przez PG Żurka przez rok, to dużo czy mało?

Aby mieć obraz sytuacji trzeba to porównać z poprzednimi latami.

Z naszych ustaleń wynika, że za rządów prokuratora generalnego Adama Bodnara w okresie roku i 7 miesięcy awansowano 423 prokuratorów. W tym: 330 awansowano do prokuratur okręgowych, 77 na stanowiska w prokuraturach regionalnych (w tym 44 przywrócono) i 16 awansowano na prokuratorów Prokuratury Krajowej (w tym 11 przywrócono).

Dla lepszej perspektywy sięgnęliśmy po dane z wcześniejszych okresów, a więc z czasów rządów PiS.

Z danych Prokuratury Krajowej wynika, że za czasów prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry (rządził ponad 7 lat) i Marcina Warchoła (pełnił funkcję prokuratora generalny w tzw. dwutygodniowym rządzie Mateusza Morawieckiego) awansowano łącznie 1234 prokuratorów. Z tego 822 awansowano na stanowiska w prokuraturach okręgowych, 336 na stanowiska prokuratora prokuratury regionalnej i 76 na stanowiska prokuratora Prokuratury Krajowej. Czyli średnio rocznie awansowało ok.160 prokuratorów. ●

wyborcza.pl

• **Więcej czytaj na Wyborcza.pl**

eprasa.pl 883d017d18

Wypadek autokaru na Węgrzech

„Autokarem wracała z Bośni i Hercegowiny pielgrzymka z Podkarpacia" – potwierdził w komunikacie Urząd Wojewódzki w Rzeszowie. Zginęło 12 osób. Jak udało nam się ustalić, organizatorem pielgrzymki było Biuro Pielgrzymkowo-Turystyczne Floratur z Rymanowa-Zdroju.

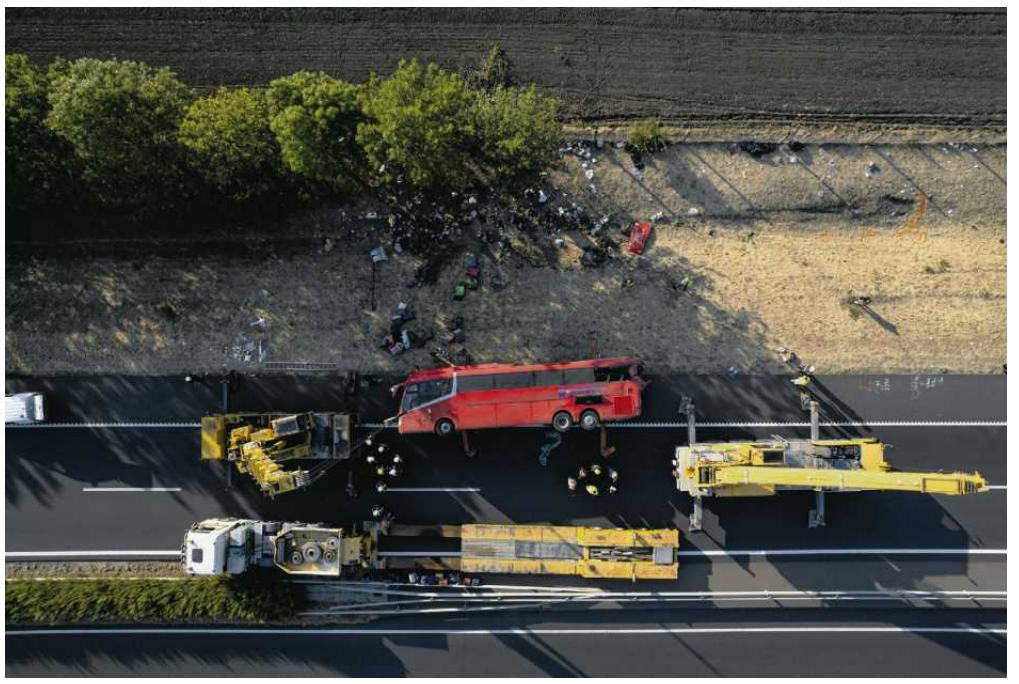

• **Autokar zjechał z drogi i wpadł do rowu około godz. 1 w nocy, na 139. kilometrze autostrady M3 na Węgrzech, w kierunku Nyíregyházy** FOT. ZOLTAN MATHE/PAP/EPA

Magdalena Mach
Agata Kulczycka
PAP

Właściciel biura był na tym wyjeździe pilotem wycieczki. – Miałem z nim dzisiaj kontakt. Był w szpitalu, ale jest w dobrym stanie – mówi Tadeusz Dykas, właściciel firmy przewozowej Michael z Osieka Jasielskiego, która od kilkunastu lat współpracuje z biurem Floratur.

Gdy rozmawiamy z Tadeuszem Dykasem jest już pod Egerem. – Wyjechaliśmy z Polski o 2 w nocy, zaraz, kiedy dowiedzieliśmy się o wypadku. Czekamy z autokarem zastępczym na osoby, które będziemy mogli zabrać do Polski – relacjonuje nam Tadeusz Dykas. Z jego informacji wynika, że autokarem jechało dwóch doświadczonych kierowców, jeden miał około 60 lat, drugi to 55-latek.

– Obaj żyją. Autokar był sprawny, miał aktualne badania techniczne – podkreśla właściciel firmy przewozowej.

Autokar zjechał z drogi i wpadł do rowu około godz. 1 w nocy, na 139. kilometrze autostrady M3 na Węgrzech, w kierunku Nyíregyházy, po minięciu zjazdu na Mezokeresztes. Przewrócił się na bok. Podróżowało nim 59 polskich obywateli: 57 uczestników pielgrzymki i dwóch kierowców. Zginęło 12 osób. 10 osób jest w stanie ciężkim. Pozostali pielgrzymi odnieśli lekkie obrażenia.

Ranni zostali rozwiezieni do różnych szpitali: do Miskolca, Debreczyna, Nyíregyházy i Egeru. – Skontaktowaliśmy się z ambasadą Polski w Budapeszcie, poinformowaliśmy, że jesteśmy i czekamy na informacje, kogo będziemy mogli zabrać do Polski, bo wszyscy zostali zabrani do szpitali – dodaje Dykas.

Pielgrzymi wyjechali z Polski 8 sierpnia, w niedzielę 16 sierpnia rano mieli wrócić do kraju. – Wczoraj wieczorem rozmawiałem z kierowcą, wszystko przebiegało zgodnie z planem. Dziś rano mieli być w Polsce – mówi Tadeusz Dykas.

Biuro Pielgrzymkowo-Turystyczne Floratur z Rymanowa-Zdroju działa na rynku turystycznym od 1989 r. Organizuje wyjazdy pielgrzymkowe m.in. do Włoch, Albanii i Francji. W programie wyjazdu, który dziś zakończył się tragicznie, były miejsca kultu religijnego Chorwacji oraz Bośni i Hercegowinie, m.in. Veprić, Mediugorie, ale także wycieczka do wodospadów Kravica, rejs po Adriatyku i spacer po Sarajewie.

Pięcioro pielgrzymów z gminy Lubenia

Jak się nam udało ustalić – wśród ofiar wypadku są mieszkańcy wsi Siedliska w gminie Lubenia.

Wojciech Tatara, sołtys Siedlisk napisał: „Szanowni Mieszkańcy Siedlisk, dotarły do mnie dramatyczne informacje o wypadku autokaru na Węgrzech. Wracali nim z pielgrzymki do Medjugorie także mieszkańcy naszej miejscowości. Według niepotwierdzonych informacji w tym tragicznym zdarzeniu śmierć poniosło pięciu mieszkańców Siedlisk. Część z tych osób udzielała się publicznie. Szok i niedowierzanie są tym większe, że wszystkie te osoby znałem osobiście. Rodzinom i Bliskim Zmarłych składam wyrazy głębokiego współczucia. W tych niewyobrażalnie trudnych chwilach łączę się z Wami w smutku i żalu. Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie".

Do sołtysa trudno się dodzwonić, jego telefon dosłownie się urywa. – O wypadku dowiedziałem się rano. Ktoś zadzwonił, że miał odebrać rano rodzinę wracającą z pielgrzymki, ale dostał wiadomość, żeby nie przyjeżdżać, bo autokar nie wróci, zdarzył się wypadek. Nie było wtedy nic o ofiarach śmiertelnych. Później dowiedziałem się, że znajomy jest ranny, a jego żona nie żyje. Mieszkańcy są wstrząśnięci. Od rana dzwonią ludzie i pytają o swoich bliskich. To wszystko bardzo ciężkie – mówi Wojciech Tatara, sołtys Siedlisk.

Pojechało stąd do Medjugorie kilkanaście osób, dokładna liczba wciąż jest ustalana. Po południu wiadomo było, że zginęło czworo mieszkańców Siedlisk: trzy kobiety i mężczyzna. Wśród nich jest małżeństwo. Wszyscy to aktywni członkowie lokalnej społeczności. Z nieoficjalnych informacji – to żona byłego radnego, żona członka rady sołeckiej, członek orkiestry dętej gminy Boguchwała i jego żona. Wszyscy w wieku emerytalnym. Mężowie obu kobiet, które zginęły także byli na pielgrzymce, ale przeżyli wypadek.

– Lżej ranni prawdopodobnie już jutro będą mogli wrócić do Polski. Ale wśród naszych mieszkańców są też poważnie ranni. Ciągle czekamy na informacje o ich stanie zdrowia – mówi Wojciech Tatara, sołtys Siedlisk. Przyznaje, że to największa, jak dotąd tragedia, jaka dotknęła tę małą społeczność. – W tak malej wiosce, jak nasza, nigdy nie było wypadku, który pochłonąłby tyle ofiar i tak wiele osób byłoby rannych w wypadku drogowym – mówi sołtys Tatara.

Niedzielne dożynki gminne zostały odwołane. – W kościele w Straszydlu odbędzie się tylko modlitwa i poświęcenie wieńców. Część artystyczna została odwołana. Po sumie odbyło się już nabożeństwo żałobne i modlitwy za zdrowie tych, którzy zostali ranni – mówi Wojciech Tatara.

Z sąsiedniej gminy Strzyżów na pielgrzymkę pojechało 11 osób. – Cztery osoby są lekko poszkodowane, są w szpitalu, mają opiekę. Na oficjalne informacje o stanie pozostałych siedmiu osób czekamy, bo nikogo nie chcemy wprowadzać w błąd – mówi Agata Gadziała, burmistrzyni Strzyżowa. To stąd wyjeżdżał i tu w niedzielę rano miał wrócić autokar z pielgrzymami.

„Według naszych informacji, w tym tragicznym wypadku życie straciła młoda osoba w wieku około 17 lat i 11 dorosłych" – podał węgierski portal 24hu.

Jest śledztwo krośnieńskiej prokuratury

Wciąż badane są okoliczności wypadku, węgierska policja rozmawiała już z dwoma kierowcami autokaru, którzy są wśród poszkodowanych.

Prokuratura Okręgowa w Krośnie wszczęła śledztwo w sprawie wypadku polskiego autokaru na Węgrzech.

Mieszkańcy są wstrząśnięci. Od rana dzwonią ludzie i pytają o swoich bliskich. To wszystko bardzo ciężkie

WOJCIECH TATARA
sołtys Siedlisk

„Planowane są czynności na miejscu zdarzenia z udziałem polskiego prokuratora. Czekamy na zgodę Węgier – poinformowała prokuratura w komunikacie na X.

Teresa Kubas-Hul, wojewoda podkarpacka poinformowała, że trwa weryfikacja listy osób, które podróżowały autokarem. Służby wojewody kontaktują się z samorządowcami z gmin, z których pochodzili uczestnicy pielgrzymki. Na razie wiadomo, że na liście jest 57 osób, dwóch kierowców i jeden ksiądz. – Są to mieszkańcy województwa podkarpackiego, z bardzo różnych gmin i miejscowości – powiedziała wojewoda. Wymieniła te miejsca: – Pielgrzymka wyjeżdżała ze Strzyżowa, więc są tam osoby z powiatu strzyżowskiego, ale i miasta Rzeszowa, powiatu rzeszowskiego, gminy Czudec, powiatu leżajskiego, powiatu jasielskiego.

Wojewoda podała, że to policja będzie kontaktowała się bezpośrednio z rodzinami ofiar. Bliscy mogą również korzystać z uruchomionej infolinii, uruchomionej przez Wydział Zarządzania Kryzysowego UW pod nr tel. 17 867 12 38 i 17 867 18 64. Infolinię w sprawie wypadku uruchomiła też ambasada w Budapeszcie: +36 20 472 9502.

– Zwłoki dwunastu osób, które zginęły w wypadku, będą identyfikowane przez konsulat – przekazała Teresa Kubas-Hul. Rozumiem, że na całym Podkarpaciu są dziś dożynki, ale apeluję, aby z części artystycznej zrezygnować.

Na ten apel natychmiast zareagowała gmina Lubenia: „Z powodu tragedii, która wydarzyła się dzisiejszej nocy, Dożynki Gminne w Straszydlu zostają odwołane. Odbędzie się jedynie poświęcenie plonów o godz. 14:00 w kościele w Straszydlu. W obliczu tej tragedii prosimy o uszanowanie powagi sytuacji. Łączymy się w bólu z rodzinami i bliskimi osób dotkniętych tragedią – napisał wójt gminy Adam Skoczylas.

We wcześniejszym wpisie wójt i rada gminy Lubenia złożyli kondolencje rodzinom i ofiar i zadeklarowali dla nich „wszelką możliwą pomoc i wsparcie". ●

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34447817

BK-GN.6840.41.2025

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Działając na podstawie ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami

Burmistrz Miasta Czeladź
ogłasza V przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości stanowiącej własność Gminy Czeladź

1. Do sprzedaży przeznacza się niezabudowaną nieruchomość gruntową, oznaczoną **numerem działki** 9312 obręb Czeladź (dawny numer 254 arkusz mapy 24), o powierzchni 0,6637 ha, położoną przy ulicy Mysłowickiej w Czeladzi, zapisaną w księdze wieczystej SO1C/00001164/7. Symbol użytków z ewidencji gruntów: B i RIVa.

Przeznaczenie w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego: 2MN3 – tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej, zgodnie z Uchwałą numer XVII/193/2019 Rady Miejskiej w Czeladzi z dnia 27 listopada 2019 r.

Dział III księgi wieczystej – Prawa, roszczenia i ograniczenia wykazuje wpisy – 4 wpisy służebności gruntowych przechodu i przejazdu oraz 1 wpis służebności przesyłu dla sieci ciepłowniczych (…). Dział IV – Hipoteki nie wykazuje wpisów. Nieruchomość będąca przedmiotem zbycia nie jest obciążona innymi niż ujawnione w księdze wieczystej ograniczonymi prawami rzeczowymi, prawami zobowiązaniowymi i nie ma przeszkód prawnych w rozporządzaniu nią.

2. Nieruchomość została przeznaczona do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.

3. Cena wywoławcza została określona w wysokości:

1.600.000,00 złotych netto (słownie złotych: jeden milion sześćset tysięcy 00/100).

Do ceny zostanie doliczony podatek VAT, zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa, na podstawie ustawy o podatku od towarów i usług z dnia 11 marca 2004 r. (tekst jednolity Dz. U. z 2025 r. poz. 775 ze zm.).

Dla nieruchomości zostanie ustanowiona **służebność gruntowa** prawa przechodu i przejazdu po działkach nr 9307, 9308 i 9309 obręb Czeladź, księga wieczysta SO1C/00000988/2, stanowiących własność Gminy Czeladź, całą ich powierzchnią, tj. 1,4223 ha, za jednorazową odpłatnością w wysokości 5.000,00 złotych netto (słownie złotych: pięć tysięcy 00/100). Kwota ta, wraz z obowiązującą stawką podatku VAT, zostanie doliczona do ceny zbycia działki nr 9312.

4. Kwota wadium ustalona została w wysokości:

320.000,00 złotych (słownie złotych: trzysta dwadzieścia tysięcy 00/100), płatna do dnia **12 października 2026 r.**

Postąpienie nie może wynosić mniej niż 1% ceny wywoławczej z zaokrągleniem w górę do pełnych dziesiątek złotych.

5. Termin i miejsce przetargu: Urząd Miasta Czeladź, ul. Katowicka 45, 41-250 Czeladź**,** sala konferencyjna I piętro:

w dniu 20 października 2026 r. o godzinie 10^{00}

Termin I przetargu: 10 listopada 2025 r. termin II przetargu: 23 lutego 2026 r.; termin III przetargu: 08 maja 2026 r., termin IV przetargu: 13 sierpnia 2026 r.

6. Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu:

Ogłoszenie o przetargu zostało opublikowane w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miasta Czeladź pod adresem www.bip.czeladz.pl oraz wywieszone zostało na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Czeladź – ul. Katowicka 45, 41-250 Czeladź na II piętrze.

7. Informacje dodatkowe dotyczące przetargu można uzyskać w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Czeladź pokój 414 na II p. lub pod numerem telefonu 32 76 37 980.

eprasa.pl 883d017d18

Putin będzie walczył do końca

Iwan Prieobrażenski: – **Putin tej wojny, na warunkach innych, niż zwycięskie, nie skończy. Przegrana w połączeniu z końcem wojny oznaczałaby dla niego wyzwania, z którymi mógłby sobie nie poradzić.**

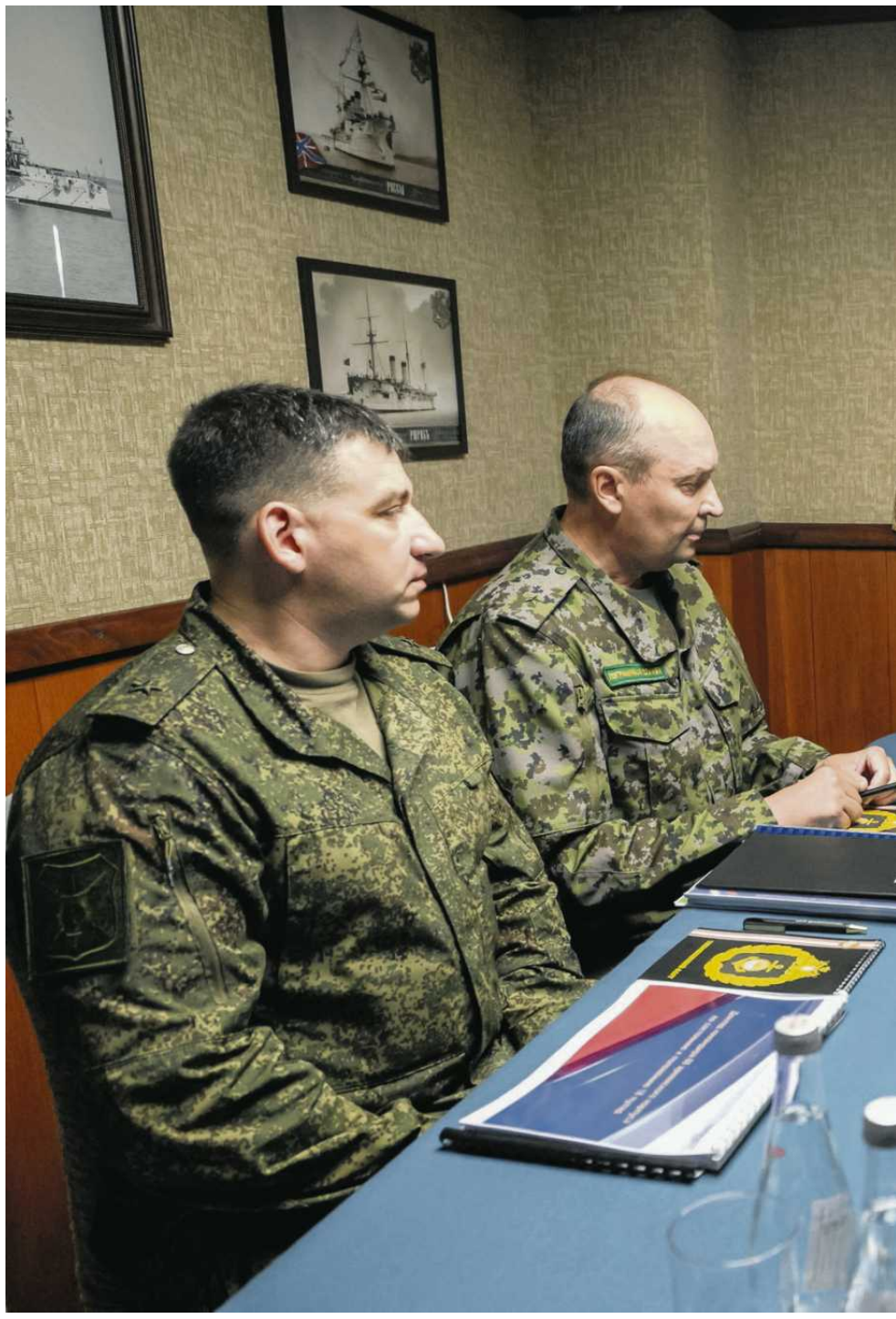

ROZMOWA Z
IWANEM PRIEOBRAŻENSKIM
rosyjskim politologiem i publicystą

WIKTORIA BIELIASZYN: – Ostatnie doniesienia z Rosji wskazują, że władze stresują się nadchodzącymi wyborami do parlamentu.

IWAN PRIEOBRAŻENSKI*: – Rosyjskie władze zasadniczo stresują się tuż przed tzw. „wyborami", choć ja preferuję termin „specjalna operacja wyborcza". Powodem jest fakt, że jedną z funkcji, które rosyjskie „wybory" wciąż mają, jest ustalenie pełnego balansu sił między różnymi grupami w kraju. Oczywiście, o ile nie są to „wybory" prezydenckie. Podczas zbliżającej się „operacji" zapadną decyzje, kto zasiądzie w Dumie Państwowej.

Rzecz jasna, nie ma ona żadnych możliwości, jeśli chodzi o samo rządzenie, bo przyjmuje dokumenty, które otrzymuje z góry, ale ma pewne funkcje lobbystyczne. Nie bez znaczenia jest też fakt, że mandat deputowanego daje pewną, choć bardzo warunkową, nietykalność. Doświadczenie pokazuje, że łatwo można ją stracić, ale trudno zaprzeczyć, że w pewnych sytuacjach nadal może być przydatna. Dlatego właśnie widzimy dzisiaj, że różne grupy walczą bardzo o te miejsca w parlamencie.

Podkreślę: między biorącymi udział w wyborach partiami walka nie toczy się o to, by do parlamentu dostała się opozycja. Oczywiste jest, że są one w gruncie rzeczy odnogami kremlowskiej „Jednej Rosji". Chodzi o to, ile miejsc poszczególne ugrupowania będą w stanie sobie wywalczyć.

Tylko o to?

– Te nerwy, o których pani wspominała, wynikają też z tego, że kryzys benzynowy wpłynął na nastroje społeczne.

Jest też trzecia kwestia, o której dużo się mówi, czyli walka o władzę, która toczy się między tzw. politycznymi administratorami, czyli częścią administracji prezydenta skoncentrowanej wokół Siergieja Kirijenko, a Federalną Służbą Bezpieczeństwa i drugą częścią administracji, orientującą się na przedstawicieli resortów siłowych, czyli tzw. siłowików.

Konflikt między różnymi ośrodkami władzy nie jest czymś nowym, ten zaostrzył się, bo wiosną 2026 roku Władimir Putin przekazał kontrolę nad zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi FSB. Nie jest jednak jasne, kto będzie sprawował kontrolę nad polityką wewnętrzną po tym, jak już się one odbędą: czy FSB ją utrzyma, czy zostanie przywrócona blokowi Siergieja Kirijenko.

Nie jest to więc walka przeciwko komuś, a wyłącznie o zasoby i wpływy?

– Bardzo precyzyjne sformułowanie. Wyrazistym przejawem tej walki było samo zarejestrowanie listy kandydatów antywojennej partii Jabłoko. Są trzy wytłumaczenia tego działania, w dodatku ze sobą sprzeczne.

Pierwszy scenariusz zakłada, że Jabłoko miało umowę z Putinem stanowiącą, iż partia ma prawo brać udział w wyborach. FSB miało tej umowy nie podważać, początkowo zdecydowało się jedynie wyeliminować najbardziej niebezpiecznych i rozpoznawalnych kandydatów, a całą resztę – dopuścić. Sytuacja zmieniła się, kiedy siłowicy zauważyli, że poparcie dla Jabłoka gwałtownie rośnie.

Mieli wtedy zrozumieć, że to może pokrzyżować im plany i poskutkować tym, że szerokie grupy ludzi naprawdę będą oczekiwać wyraźnych zmian po wyborach, domagać się głośno realizacji antywojennych postulatów.

By do tego nie dopuścić i wyeliminować ryzyko, cofnęli Jabłoku zezwolenie na udział w wyborach.

Brzmi to bardzo prawdopodobnie. Faktem jest, że to mogłoby się wydarzyć, bo Jabłoko szybko stało się tym, czym dla Rosjan w 2024 roku był Borys Nadieżdin – symbolem sprzeciwu wobec wojny. I wtedy, i teraz wiele osób było gotowych zjednoczyć się wokół nich i zagłosować nie tyle dlatego, że popierają to konkretne nazwisko, czy tę konkretną partię, ale by zademonstrować w ten sposób swoją niezgodę na działania wojenne.

Dobrze by było, gdyby rosyjska opozycja spróbowała wymyślić długofalową kampanię o pokój, którą mogłaby przedstawić szerokim grupom Rosjan. To mogłoby mocno wpłynąć w dłuższej perspektywie na wielu pozostających w kraju

Jakie są pozostałe opcje, o których pan mówił?

– Drugie możliwe wyjaśnienie jest takie, że Kirijenko, z niezrozumiałych powodów, opracował trudny scenariusz, by pobawić się w tworzenie iluzji demokracji, ale siłowicy mu go zepsuli.

Trzeci, całkowicie sprzeczny z wcześniejszymi wariant zakłada, że Kirijenko chciał, by jego kieszonkowa partia Nowi Ludzie, walcząca w dużej mierze o bardzo podobny, wielkomiejski elektorat, co Jabłoko, zajęła w wyborach drugie miejsce i tym samym rozszerzyć swoje wpływy. By mu to uniemożliwić, FSB miało wywalczyć zarejestrowanie Jabłoka. Osobiście dość sceptycznie odnoszę się do tego wytłumaczenia, choć jest ono całkiem popularne wśród ekspertów. Rzecz w tym, że decyzję o zdjęciu Jabłoka z wyborów podjął sędzia, który doskonale znany jest ze swojej przeszłości w FSB oraz bliskich powiązań z wysoko postawionymi siłowikami. Mimo że ma on też kontakty w administracji prezydenta, dla mnie dość oczywiste jest, że w swoich wyrokach kieruje się raczej interesami FSB, nie zaś Siergieja Kirijenko.

Prawdziwy gambit.

– O tak, to przebiegła gra. Jej uczestnicy na tyle się w niej zaplątali, że niemal ograli teraz siebie samych. Widzimy, że zupełnie nie uwzględnili w swoich potyczkach nastrojów społecznych, choć sami przecież przeprowadzali badania opinii, wrzucali je do publikacji mediom, trąbili, że ponad 60 proc. Rosjan opowiada się przeciwko kontynuacji działań wojennych. W swoim planie nie wzięli jednak pod uwagę, tymczasem przekonali się, że sondaże spełniają niekiedy swoją funkcję.

A czy nie było tak, że władze zdecydowały się dopuścić Jabłoko, bo nie wierzyły, że wielu Rosjan zechce na tę partię zagłosować? I tym samym miały nadzieję pokazać, jakoby większość aktywnie popierała wojnę?

– Nie należy popełniać błędu i traktować rosyjskiej specjalnej operacji wyborczej jako wyborów. Władze były przekonane, zresztą nawet teraz byłyby w stanie to zrobić, że narysują Jabłoku taki procent, jaki będą chciały, niezależnie od tego, ilu Rosjan oddadzą na nie głos. Wszyscy, z politykami Jabłoka na czele oraz mieszkańcami Rosji, zdają sobie z tego sprawę.

Istotne było natomiast to, jakie wrażenia i uczucia będą mieli Rosjanie po wyborach. Czy takie, jak w 2011 roku, czyli że władze totalnie wszystko sfałszowały? Czy może jednak przyjdzie im udawać rozczarowanie, jakoby do urn poszli jacyś mityczni zwolennicy Putina i zagłosowali tak, że władze otrzymały gigantyczną liczbę głosów? Władzom na rękę jest drugi scenariusz, dlatego musiały w taki sposób postąpić: usunąć Jabłoko.

Jasne, tylko że ludzie widzą przecież, iż władze, posiłkując się absurdalnymi zarzutami i oskarżeniami, pozbawiły tę partię możliwości udziału w wyborach.

– Widzą tylko ci, którzy interesują się polityką, a takich jest mniejszość. Wśród pozostałej młodzieży, która nie śledzi sytuacji politycznej, rozpoznawalność Jabłoka oscyluje na poziomie 1-2 proc. Pozostali niczego nie zdążyli zauważyć, kampania wyborcza Jabłoka dopiero się zaczynała. Pod tym względem władze, oczywiście ze swojego punktu widzenia, postąpiły prawidłowo: zdjęły partię z wyborów na samym początku, w momencie, kiedy nie zdążyła im jeszcze stworzyć poważnych problemów.

Pięćset osób protestujących przed budynkiem sądu w Moskwie to jedno, czym innym byłyby protesty w całym kraju, któ-

eprasa.pl 883d017d18

• **13 sierpnia 2026 roku. Prezydent Rosji Władimir Putin na pokładzie krążownika rakietowego „Wariag", podczas ćwiczeń Floty Pacyfiku na dalekim wschodzie Rosji**
FOT. GAVRIIL GRIGOROV

rych nie dałoby się już wyjaśnić ani wyrokiem o odsunięciu partii, ani w ogóle wyborami. Władzom udało się zatrzymać ewentualną kampanię antywojenną, która miałaby szansę rozwinąć się w Rosji. Widać było, że już na samym starcie kampanii Jabłoka ludzie czuli mniejszy strach przed głoszeniem antywojennych haseł, mieli poczucie, że skoro „góra" zezwoliła na start partii, to otwarcie można je głosić. Władze wystraszyły się, że antywojenne nastroje wyjdą na powierzchnię i rozleją się po kraju.

Rosjanie boją się dzisiaj, że po wyborach sytuacja w kraju jeszcze się pogorszy. Twierdzą, że Putin może, tym razem wprost, ogłosić powszechną mobilizację albo wprowadzić stan wojenny. Co pan o tym myśli?
– Moim zdaniem te plotki rozpuszczają rosyjskie władze, by zastraszyć ludność, ale też Ukrainę i Europę. Oczywiste, że Putin może w każdym momencie ogłosić powszechną mobilizację, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego miałby to robić, skoro udaje mu się wcielać do wojska wystarczającą liczbę ludności w ramach tzw. skrytej mobilizacji.

Myślę, że taki scenariusz mógłby zostać zrealizowany, gdyby Władimir Putin jeszcze bardziej oszalał i doszedł do wniosku, iż stoi przed ostatnią szansą na zwycięstwo i do końca roku musi przeprowadzić jak największy atak na Ukrainę. Wtedy, owszem, wbrew logice i wszelkiej racjonalności, mogłoby do powszechnej mobilizacji dojść. I nie jest to niemożliwe, Władimir Putin wielokrotnie udowodnił, że potrafi działać wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Co wtedy z tą większością Rosjan opowiadających się dzisiaj za podpisaniem w jakiejś formie porozumienia pokojowego, o której mówią i państwowe, i niezależne sondażownie?
– Cóż, ogłoszenie powszechnej mobilizacji zmusiłoby Rosjan do ostatecznego samookreślenia. Władze na pewno liczyłyby, że uda im się ludzi zjednoczyć wokół flagi. Wykorzystałyby tzw. krymski efekt. Na Krymie ludność żyje dziś w bardzo trudnych warunkach, ale nie buntuje się, bo strach, że wkroczy ukraińska armia i wojna zacznie toczyć się na półwyspie, przekształcając go w terytorium zniszczone, a może wręcz zrównane z ziemią, jest silniejszy.

Tylko to?
– Władze budują nową strategię, by wyjaśnić ludziom, dlaczego wojna trwa. Nie mówią już o mitycznej „demilitaryzacji i denazyfikacji", bo ludzie zupełnie tego nie kupili. Druga narracja o konieczności zemsty, bo „NATO zabiło waszego ojca/męża/brata/przyjaciela/sąsiada" dość dobrze działała, bo Rosjanie wtedy nie czuli nawet potrzeby zastanawiać się, kto i po co zaczął wojnę, ale w momencie, kiedy wojna przyszła na terytorium Rosji jakoś przestała. Ludziom zaczęło się przypominać, kto to wszystko zaczął. Dlatego teraz władze starają się ludność przekonać, że wojna jest czymś fajnym.

Z tego powodu widzimy nagrania spotkań Putina z wolontariuszami, którzy, niezwykle zatroskani, zadają mu pytania w rodzaju: „co będziemy robić, kiedy specjalna wojenna operacja się zakończy?". Tę ideę propagują też prowojenni blogerzy, którzy opowiadają Rosjanom, że wojna jest czymś potrzebnym i pożytecznym, że angażuje do pracy ogromną liczbę osób.

Ludzie w to wierzą?
– Putin ma taką nadzieję. Dla Kremla ważne, by nie dopuścić do jakiejkolwiek mobilizacji antywojennych Rosjan. I trzeba przyznać, że sobie z tym radzi. Władze zdążyły naprawić swój błąd z Jabłokiem. Rozpuszczają też różne pogłoski o tym, że będzie powszechna mobilizacja, stan wojenny albo inna forma zakazu wyjazdu z kraju, by pozbyć się tych, którzy nie popierają wojny. Tym samym ci, którzy – na fali emocji wokół Jabłoka – mogliby teraz zajmować się antywojenną agitacją, zajmują się teraz przede wszystkim załatwianiem wiz i biletów lotniczych.

I to władzom jest na rękę, przy okazji pozbędą się z kraju niepewnych obywateli.

Jak opisałby pan dzisiaj rosyjskie społeczeństwo?
– Jako skrajnie atomizowane i rozdzielone, znajdujące się w stanie wojny „wszyscy przeciwko wszystkim", więc niezdolne stawiać opór rosyjskim władzom. Jednocześnie widzę jednak, że wypływająca na powierzchnię potrzeba zakończenia działań wojennych przekształca się też w potrzebę zbudowania pewnej wspólnoty, a może wręcz społeczeństwa, bo społeczeństwa w Rosji przecież nie ma. Jest ludność. Czy to się uda? Nie wiem, władze od lat robią wszystko, by do tego nie dopuścić.

Ludzie są jednak żywymi organizmami, podobnie zresztą jak samo społeczeństwo, które potrzebuje jakiejś struktury, możliwości jednoczenia się. W Rosji na razie widzę coraz wyraźniejszą potrzebę ludzi, by coś wspólnie zrobić, zmienić. Nie wiem, czy przełoży się ona w działanie.

Przebywająca na emigracji opozycja może Rosjanom w tym jakoś pomóc?
– Dobrze by było, gdyby rosyjska opozycja spróbowała wymyślić długofalową kampanię o pokój, którą mogłaby przedstawić szerokim grupom Rosjan. To mogłoby mocno wpłynąć w dłuższej perspektywie na wielu pozostających w kraju.

Niestety, nie widzę, by takie działania rosyjska opozycja podejmowała. Nie wiem, czy nie mają zasobów finansowych, czasowych czy intelektualnych, mam jedynie wątłą nadzieję, że ktoś tam się tym zajmuje w tajemnicy i z czasem to ogłosi.

Jaką rolę odgrywają dzisiaj ostatnie wizyty Putina w rosyjskich regionach? Przez wiele miesięcy niemal w ogóle nie ruszał się z Moskwy, teraz w ciągu tygodnia potrafi złożyć wizytę w kilku miastach.
– To część taktyki. Putin musi występować przed wyborami w roli agitatora. Prócz tego demonstruje w ten sposób, że jest silny, mobilny, zaangażowany w pracę. Dzisiaj to szczególnie ważne, bo pseudosondaże zaczynają pokazywać, że całkiem spora część Rosjan, także tych, którzy przez lata na niego głosowali, coraz częściej zastanawia się, czy rzeczywiście nie ma dla Putina żadnej alternatywy, jak od lat twierdzi propaganda.

Krótka wizyta Putina w danym regionie wystarczy?
– Tym, którzy nie widzą dla niego alternatywy – na pewno. A tych, którzy zaczynają się nad tym zastanawiać, może na nowo do niego przekonać. Uwierzą, że Putin niczego się nie boi, skoro przyjechał. Co więcej, utwierdzą się w przekonaniu, że Putin osobiście wszystkim zarządza – w końcu to jego wizyta przyczyniła się do naprawy dróg w ich mieście.

Mało tego, niektórzy wytłumaczą sobie, że ceny na benzynę w odwiedzanych przez niego miejscach spadły na czas jego pobytu, bo wszyscy się go boją. I że widocznie Putin nie wie, że tak wzrosły, dlatego je obniżono: by nie wiedział, jak lokalne władze wykorzystują obywateli. Gdyby miał tego świadomość, na pewno zrobiłby im awanturę i zaprowadził porządek.

Dlaczego państwowe ośrodki badań społecznych, a w ślad za nimi i propagandowe media, publikują badania, z których wynika, że poparcie dla Putina gwałtownie spada?
– Ma to pokazać ludziom, że władze nie boją się przyznać, iż Putin ma pewne trudności. Doświadczenie pokazuje, że później bardzo chętnie będą trąbić na temat rzekomo równie gwałtownie rosnącego poparcia. Wzrost, przy czym zapewne zarówno poparcia Putina, jak i partii Jedna Rosja, przedstawią jako efekt jego podróży po kraju, spotkań z ludźmi w regionach itd.

Jeśli zaś publikowanie tych niskich liczb rzeczywiście jest elementem rozgrywki między administracją prezydenta a FSB, to i tak skończy się tak samo: nagle skala poparcia gwałtownie wzrośnie. Wtedy Siergiej Kirijenko będzie mógł powiedzieć Putinowi, że poparcie dla niego spadło z powodu działań FSB, które za mocno dokręca śrubę, ale znów wzrosło – dzięki strategii bloku politycznego administracji.

Czego w Rosji można spodziewać się w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy?
– Niestety, ale najbardziej prawdopodobny jest scenariusz reaktywny: władze będą udawać, że w kraju odbywają się prawdziwe wybory, zaś ludzie pozostaną pasywni, bo nie mają żadnej infrastruktury, by protestować i nikt nie zaproponował im żadnego scenariusza działań. Do końca wyborów żadnych większych zmian społecznych nie należy się spodziewać. Później będzie nieuchronny wzrost niezadowolenia. Niewykluczone, że w niektórych regionach będzie większy, ale nie na tyle duży, by władze nie były sobie w stanie z nim poradzić. Będzie to, co jest. Z tą różnicą, że Putin prawdopodobnie będzie podejmować bardziej radykalne działania, by do końca roku zwyciężyć.

A w dłuższej perspektywie?
– Nigdy nie da się wykluczyć roli czarnego łabędzia. Jeśli przypłynie, będzie z pewnością silny i niezwiązany z pseudowyborami. Musiałoby się wydarzyć coś znacznie trudniejszego niż dotychczas, co dotknęłoby znaczną grupę ludności. Trudno mi jednak powiedzieć co miałoby to być.

Z całą pewnością mogę jednak stwierdzić, że Putin tej wojny, na warunkach innych, niż zwycięskie, nie skończy. Przegrana w połączeniu z końcem wojny oznaczałaby dla niego wyzwania, z którymi mógłby sobie nie poradzić. Będzie więc walczyć do końca, nawet, jeśli uzna, że już przegrał.

Jakie ruchy względem Europy może planować Putin w najbliższym czasie?
– Jeśli Putin faktycznie spróbuje zadać Ukrainie ostateczny cios, to w Europie będziemy mieć do czynienia z eskalacją działań hybrydowych. Kreml będzie chciał w ten sposób odciągnąć uwagę UE, doprowadzić do drastycznego zmniejszenia europejskiego wsparcia dla Ukrainy. Przypuszczam, że Europie przyjdzie się zmierzyć z większą liczbą ataków dronów, „przypadkowymi" rakietami, grupami dywersyjnymi czy falami migrantów, dobijających się do jej granic.

Putin chciałby, żeby mieszkańcy UE bali się rosyjskiej napaści, zaczęli uważać, że w obliczu zagrożenia nie mogą dłużej pomagać Ukrainie, bo broń jest potrzebna im samym. ●

Rozmawiała Wiktoria Bieliaszyn

*** Iwan Prieobrażenski** – rosyjski politolog i publicysta, koordynator projektu Moskiewski Klub Polityczny. Pracował w Centrum Technologii Politycznych, piśmie „Profil" i dzienniku „Wiedomosti"

eprasa.pl 883d017d18

Branża IT pod lupą PIP

Barbara Skalska-Pater, radczyni prawna specjalizująca się w obsłudze osób na B2B w branży IT, opowiada nam, że **firmy informatyczne i samozatrudnieni sami często „wystawiają się" na kary od inspektorów pracy.**

Leszek Kostrzewski

Nowe przepisy reformy, która wystartowała w środę, 8 lipca, przewidują, że inspektorzy pracy będą mogli zamieniać kontrakty B2B i umowy cywilnoprawne w umowy o pracę. W czasie kontroli inspektor będzie sprawdzał, czy nie ma do czynienia np. z fikcyjnym B2B.

Aby nie narażać się na konieczność zamiany samozatrudnienia w etat, firmy z branży IT, ale też te świadczące usługi konsultingowe oraz centra usług wspólnych, wymyśliły specyficzne rozwiązania w umowach, aneksach do umów oraz zastosowały „autorskie" zmiany organizacyjne w swoich działach HR.

ROZMOWA Z
BARBARĄ SKALSKĄ-PATER
radczynią prawną

LESZEK KOSTRZEWSKI: Napisała pani w mediach społecznościowych, że firmy z branży IT same często proszą się o kary po wejściu przepisów o możliwości przekształcania B2B w etat. „Od czego zaczęłabym kontrole, gdybym pracowała w PIP w realiach nowej ustawy? Od portali z ogłoszeniami o pracy" – czytam w pani wpisie.

BARBARA SKALSKA-PATER: – Wydaje się, że o nowych przepisach powiedziano już wszystko. Tymczasem wystarczy zajrzeć właśnie na popularne portale ogłoszeniowe, by zobaczyć, jak IT podaje się na tacy kontrolerom. Ja zajrzałam.

I co pani zobaczyła?

– Firmy szukające programistów czy testerów piszą wprost, że nakazują przyszłym współpracownikom na B2B, czyli tzw. kontraktorom, obowiązkowo przychodzić do biura – i nie wcale po to, aby podłączali oni tam kable ani nie konserwowali na miejscu serwerownię. Po prostu chodzi o codzienną pracę w biurze. Inni w ogłoszeniu podają, że 80 proc. czasu trzeba spędzać stacjonarnie.

I co w tym złego?

– Zgodnie z Kodeksem pracy jedną z cech umowy o pracę jest wykonywanie jej w określonym i wyznaczonym czasie oraz miejscu. Jeśli więc ktoś wymaga, aby programista na B2B spędzał 80 proc. czy nawet 60 proc. czasu w biurze i nie ma to żadnego uzasadnienia biznesowego, to ten warunek może sugerować, że mamy do czynienia z etatem, a nie działalnością na własny rachunek. Pamiętajmy bowiem, że programować/testować/projektować można wszędzie, np. z domu.

Co jeszcze pani w ogłoszeniach wyczytała?

– W części z nich pojawia się informacja, że można sobie wybrać formę zatrudnienia: etat lub B2B. I to jest jak najbardziej dopuszczalne, pod warunkiem jednak, że każda z tych form spełnia określone w prawie kryteria dla niej przewidziane. Tymczasem w ogłoszeniach nie ma żadnego zróżnicowania warunków dla tych form, a benefity, które są wymienione, obejmują etat i B2B na tych samych zasadach.

• **Firmy szukające programistów czy testerów często piszą wprost, że nakazują przyszłym współpracownikom na B2B obowiązkowo przychodzić do biura**
FOT. GETTY IMAGES

Niezależnie od tego, czy wybierzemy etat, czy B2B, będziemy mieli kartę sportową, lekcje angielskiego, prawo do strefy relaksu w biurze, upominki świąteczne itp. Dla kontrolera PIP to znów będzie sygnał, że nie mamy do czynienia z B2B, ponieważ darmowe benefity dotyczą głównie etatu.

O kłopotach, jakie firma może mieć w związku z tym, że oferuje takie same warunki pracy niezależnie od formy zatrudnienia, chyba już nie muszę mówić.

W sprawie warunków pracy znajomy opowiadał mi kiedyś, że w czasie rozmowy o pracę zapytał szefa jednej z korporacji, ile by zarabiał, gdyby został zatrudniony. „To zależy, czy chce pan etat, własną działalność czy umowę-zlecenie albo o dzieło" – usłyszał. A gdy dopytywał, czym różniłyby się warunki jego pracy w zależności od wyboru umowy, usłyszał, że niczym.

Nie wszyscy w branży IT odrobili lekcję z nowej ustawy o PIP. Nie przygotowali się na zmiany, nie zrobili audytów. A jeśli już coś wdrożyli, to często są to jakieś pozorowane zmiany, które nie uchronią ich przed karami

– Radziłabym zmienić podejście w tej korporacji. Na tym bowiem skupią się w pierwszej kolejności inspektorzy pracy. Jeszcze dodam, że w ogłoszeniach, które sprawdziłam, firmy osobom na B2B oferują płatny urlop w wymiarze jak na etacie i – co ciekawe – nazywają siebie „pracodawcami". Na pozór wydawałoby się, że to nieistotne. Tymczasem w świetle polskiego prawa osoba szukająca współpracownika na umowę B2B nie jest pracodawcą, a osoba zatrudniana nie jest pracownikiem. Te terminy są zarezerwowane wyłącznie dla stosunku pracy (umowy o pracę).

O czym świadczą takie ogłoszenia?

– O tym, że nie wszyscy w branży IT odrobili lekcję z nowej ustawy o PIP.

Nie przygotowali się na zmiany, nie zrobili audytów. A jeśli już coś wdrożyli, to często są to jakieś pozorowane zmiany, które nie uchronią ich przed karami.

Opisywaliśmy w Wyborczej.biz, jak firmy informatyczne poprosiły swoich współpracowników na B2B, aby każdy założył własną stronę internetową i zamieścił na niej informację, że szuka zleceń. A gdy ktoś się zgłosi, ma odmawiać z braku czasu. Ma to świadczyć o tym, że dana firma nie ma fikcyjnych umów B2B, bo przecież jej współpracownicy ponoszą ryzyko gospodarcze, szukając innych zleceń.

– I to jest przykład takiej pozorowanej zmiany. Słyszałam też o rezygnacji w firmach z comiesięcznych faktur dla B2B na tę samą kwotę, bo to może świadczyć, że samozatrudnienie jest tak naprawdę etatem. Zamiast tego wprowadza się różne comiesięczne stawki, które rocznie i tak sumują się do tej samej kwoty, jaką dziś ktoś zarabia. Inne „patenty" na kontrolerów PIP to płacenie przez osoby na B2B za jedzenie na spotkaniach integracyjnych czy zakaz wydawania ich dzieciom paczek świątecznych finansowanych z pieniędzy Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych (ZFŚS).

I jak pani reaguje, gdy słyszy o takich pomysłach?

– Ostrzegam klientów, że inspektorzy nie będą koncentrować się na jednym elemencie przy ocenianiu, czy ktoś powinien pracować na etacie, czy świadczyć usługi na B2B.

Zwracam uwagę na opracowania samej PIP, która wskazuje, że ze stosunkiem pracy (a nie kontraktem B2B) mamy do czynienia, gdy spełnionych jest więcej warunków, w tym:

• podporządkowanie organizacyjne – stanowisko w strukturze firmy, przełożony, zakres obowiązków, bieżące polecenia,
• wyznaczone godziny i dni pracy oraz miejsce pracy narzucone przez firmę,
• wynagrodzenie jako stała kwota płatna za czas pracy, a nie za wykonaną usługę,
• praca wyłącznie na sprzęcie zapewnionym przez pracodawcę,
• wcześniejsze świadczenie takiej samej lub podobnej pracy w ramach stosunku pracy.

Wszystkie te elementy – podkreślam jeszcze raz – będzie sprawdzał inspektor, a nie np. jeden czy dwa zapisy w umowach czy aneksach. Papier zniesie wszystko, ale znaczenie ma to, jak konkretnie wygląda praca czy współpraca.

Jakie jeszcze przypadki, niewłaściwe umowy czy praktyki zauważyła pani w branży IT?

– Obserwuję, że często występuje tzw. przypisywanie roli w strukturze.

To znaczy?

– Zdarza się, że kontrakt na B2B jest ujęty w całym systemie HR danej firmy. Jest włączony w całą strukturę, czyli samozatrudniony znajduje się w hierarchii firmy, ma nad sobą szefa, a z kolei jemu podlegają inni pracownicy. A to jest cecha etatu. Miałam takie przypadki, że osoba na B2B była na oficjalnej stronie internetowej firmy z branży IT w zakładce „zespół naszych pracowników". Przestrzegam, żeby to wykreślić.

Napisała też pani: „Od kiedy temat PIP ruszył, widzę wiele dziwnych 'ruchów'. Coraz bardziej restrykcyjne umowy przenoszące praktycznie całe ryzyko na kontraktora".

– Bo rzeczywiście w umowach między firmą a współpracownikiem na B2B pojawia się coraz więcej kar umownych i to w coraz wyższych kwotach. Za co te kary? Na przykład za naruszenie zasad poufności, za naruszenie zakazu konkurencji itp.

Po co te zapisy o większych karach? Dotychczasowe były niewystarczające?

– Firmy mogą myśleć, że to w jakimś stopniu bardziej uwiarygodni osobę na B2B jako przedsiębiorcę w oczach kontrolerów. Bo skoro jest większa kara, to i większe ryzyko gospodarcze.

Ale podkreślam, że jeżeli praca cały czas będzie wykonywana pod nadzorem w biurze i występować będzie podległość, to zapis o większych karach w niczym nie pomoże.

Podobnie w niczym nie pomoże samozatrudnionemu jakieś drobne zlecenie u kogoś innego, podczas gdy jego głównym źródłem dochodu będzie umowa z firmą, w której pracuje pod nadzorem. Inspektor może uznać, że mamy do czynienia z etatem, bo przecież pracownik na etacie może mieć umowę o pracę i wykonywać dodatkowo mniejsze zlecenia. Nie ma przepisów, które by tego zabraniały.

Jeden z informatyków napisał do nas, że w jego firmie szef po wejściu przepisów o PIP nagle nakazał wprowadzić w umowach osób na B2B zapis o tzw. klauzuli zastępstwa. „Wytłumaczył nam, że wcześniejsze zapisy w kontrakcie o tym, że osoba na B2B nie ma prawa wyznaczyć zastępcy do wykonania zadań zleconych przez firmę, inspektorzy pracy mogą uznać za cechę typową dla etatu. I zmienili to 20 osobom w naszej firmie".

– Według mnie w większości firm już dziś standardem jest, że współpracownik na B2B ma prawo do wyznaczania zastępcy. Bo rzeczywiście brak możliwości wyznaczania takiego zastępcy do wykonywania pracy dotyczy tylko pracownika. Etatowiec nie może bowiem powiedzieć: „Szefie, dziś moją pracę wykona za mnie znajomy".

Natomiast kiedy wynajmujemy jakąś firmę do wykonania danej pracy, to zazwyczaj realizacja tego zlecenia nie opiera się tylko i wyłącznie na tej jednej osobie. I my często nawet nie wiemy, że ktoś korzysta z pomocy dodatkowego pomocnika.

Czasami w umowach z osobami na B2B pojawia się też sformułowanie, „że nie można skorzystać z usług zastępcy bez zgody zlecającego". W takich sytuacjach sugeruję wykreślenie takiego zapisu, aby skorzystanie z usług zastępcy było domyślne. Chyba że są jakieś specjalne powody, dla których to nie mogłoby mieć miejsca, np. względy bezpieczeństwa spowodowane szczególną poufnością. ●

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

Polski rynek pracy potrzebuje cudzoziemców

W tym samym czasie, w którym z rynku pracy ubyło 215 tys. Polaków, liczba pracujących migrantów zwiększyła się o 145 tys. To szacunki Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE) dla lat 2022-2025. Pokazują, że póki co (i szybko się to nie zmieni, jeśli w ogóle) pracownicy z zagranicy nie zapełniają nawet wszystkich luk na rynku.

• **Szczecin – targi pracy**
FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kamil Fejfer

Ile razy w ostatnim czasie słyszeliśmy, że „migranci zabierają pracę Polakom", że „ich wypychają z firm"? Jeśli przyłożymy do tych zagadnień krytyczny aparat naukowy, to okazuje się, że w zasadzie nic z tych obiegowych opinii nie znajduje potwierdzenia w faktach.

Według najnowszych danych GUS (stan na luty 2026) w Polsce pracowało 1,1 mln cudzoziemców (na umowach o pracę i umowach cywilnoprawnych. Jeśli doliczyć samozatrudnionych, ta liczba jeszcze rośnie (niemal 1,3 mln w 2025 według danych Zakładu Ubezpieczeń Społecznych). Zdecydowana większość z nich to Ukraińcy (GUS: 67,9 proc.). Na drugim miejscu są Białorusini, maleje natomiast liczba zatrudnionych Gruzinów (rząd zaostrzył dostęp do rynku pracy dla tej narodowości; jednym z powodów, choć oficjalnie głośno niewypowiedzianym, mogła być rosnąca przestępczość w tej grupie, o czym pisała w Wyborczej.biz Maria Korcz).

W ostatnich latach przeszliśmy ewolucję z kraju emigracyjnego, z którego za chlebem się wyjeżdżało, w stronę państwa imigracyjnego, gdzie się przyjeżdża zarobić na godne życie. Jeszcze dekadę temu pracujących migrantów było u nas o milion mniej. Niektórzy mogliby wysnuć wniosek, że milion Polaków zostało wypchniętych ze swoich miejsc pracy. Nic bardziej mylnego.

Wakaty są problem, nie migranci

Od kilkunastu lat – z uwagi na demografię – Polaków na rynku pracy ubywa. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego tylko między grudniem 2022 roku a grudniem 2025 o 215 tys. spadła liczba pracujących Polaków.

Skąd ta zmiana? Na rynek pracy wchodzi mniej osób niż z tego rynku odpływa na emerytury. Co wynika z faktu, że roczniki okołosenioralne są znacznie liczniejsze niż roczniki osób wchodzących w dorosłość. Jeśli ktoś pyta „o co chodzi z tą całą demografią", to między innymi właśnie o to: z czasem zmienia się proporcja liczby pracujących do liczby emerytów. Spada liczba tych pierwszych i rośnie liczba tych drugich.

Według opracowania PIE (odwołującego się do danych GUS) w tym samym czasie – grudzień 2022 do grudnia 2025 – o 145 tys. wzrosła w Polsce liczba pracujących cudzoziemców. Szacunki odnoszące się do liczby pracujących między GUS i ZUS się nieco rozjeżdżają. Ale są to zmiany o kilkanaście – kilkadziesiąt tysięcy, a nie o rząd wielkości.

Jak byśmy danymi nie obracali, to i tak więcej z rynku osób odpływa niż może uzupełnić migracja.

Proces odpływu polskich pracowników z rynku będzie się pogłębiał. Ale nie będzie to wynikiem większej liczby migrantów, tylko kontynuacji trendów demograficznych. Ten sam Polski Instytut Ekonomiczny w 2024 roku sporządził raport, z którego wynika, że do 2035 roku względem 2024 liczba pracowników zmniejszy się o 2,1 mln. Żeby zalepić powstałe dziury, rocznie przez dekadę musiałoby średnio przybywać około 200 tys. pracowników z zagranicy. To się po prostu nie wydarzy.

Uśredniona roczna liczba migrantów, którzy pojawiali się na polskim rynku pracy w ciągu ostatniego dziesięciolecia, to nieco ponad 100 tys. osób. I już to uważamy za gwałtowny wzrost. A żeby więc tylko wypełnić demograficzne luki musielibyśmy przyjmować dwa razy więcej pracowników z obcym paszportem. To też pokazuje skalę wyzwań gospodarczych przed którymi stoimy.

Jeżeli bowiem chcemy utrzymać poziom wzrostu zamożności oraz stabilność systemu emerytalnego i ochrony zdrowia, będziemy musieli dokonać – jako kraj – gigantycznych inwestycji w innowacyjność (a więc wydajność) gospodarki oraz prawdopodobnie zreformować system danin. Albo te procesy (oraz dalszy przyrost migrantów) nastąpią, albo drastycznie wzrośnie ryzyko stagnacji gospodarczej, która przełoży się na spadek dynamiki polepszania się jakości naszego życia.

Wróćmy jednak do migrantów. I raz jeszcze zanurkujmy w dane z Polskiego Instytutu Ekonomicznego. „W porównaniu z obecnym stanem liczba pracowników, na przykład, w edukacji zmniejszy się [do 2035 roku] o 29 proc., a w ochronie zdrowia o 23 proc. Straci także przemysł, w którym będzie pracowało o 11 proc. osób mniej" – czytamy w raporcie „Konsekwencje zmian demograficznych dla podaży pracy w Polsce".

„Deklaracje przedsiębiorstw badanych przez PIE sugerują, że zatrudnianie cudzoziemców jest przede wszystkim odpowiedzią na niedobory pracowników, a nie sposobem obniżania kosztów pracy poprzez zastępowanie pracowników polskich zagranicznymi. Wśród firm, które zatrudniały, zatrudniają lub planują zatrudnić cudzoziemców, 70 proc. jako przyczynę wskazało niedobór polskich pracowników" – czytamy w opracowaniu PIE.

Proces odpływu polskich pracowników z rynku będzie się pogłębiał

Czego uczy nas przykład Czech

Z tymi danymi koresponduje badanie ekonomiczne dotyczące Czech, które zostało opublikowane w zeszłym roku. Badaczki z uniwersytetu w Groningen (Holandia), Agnieszka Postepska i Anastasiia Voloshyna, przyjrzały się wpływowi powojennej migracji ukraińskiej do naszego południowego sąsiada. W przeliczeniu na 1000 mieszkańców to Czechy (a nie Polska, czy Niemcy) były liderem w przyjmowaniu uchodźców po ataku wojsk Putina. Główne konkluzja? „Napływ ukraińskich uchodźców nie miał żadnego istotnego wpływu na zatrudnienie, bezrobocie ani wskaźniki bierności zawodowej" – pisały naukowczynie na portalu Centre for Economic Policy Research.

Do podobnych wniosków doszli również polscy ekonomiści przyglądając się sprawie na polskim gruncie. „Nasze wyniki ekonometryczne pokazują, że napływ uchodźców nie wpłynął na sytuację na rynku pracy polskiej populacji i innych migrantów" – pisali badacze z Instytutu Badań Strukturalnych Jan Gromadzki i Piotr Lewandowski w artykule „Refugees from Ukraine on the Polish labour market".

Oczywiście pojawia się pytanie, dlaczego migranci nie mają przełożenia na bezrobocie i dlaczego właściwie nie wypychają lokalsów z pracy. Przecież z teorii ekonomii mogłoby wynikać coś przeciwnego – na miejscu pojawia się nadpodaż pracowników, którzy w dodatku są w stanie przyjąć niższe płace niż miejscowi (ponieważ i tak jest to więcej w porównaniu do płac w ich ojczyznach). Jednak bez sprawdzenia, czy takie zjawisko naprawdę występuje, nie można o tym przesądzić, podobnie jak nie można powiedzieć, że „knajpy padają, ponieważ wprowadzono zakaz palenia".

Literatura ekonomiczne udziela kilku wyjaśnień tego fenomenu. Nie jest to problem nowy, są więc liczne badania.

I znaczna większość z nich prezentuje podobne wyniki: cudzoziemcy nie zabierają pracy miejscowym.

Cudzoziemcy „sprzyjają" tworzeniu miejsc pracy

Pierwsze wyjaśnienie zjawiska, zwłaszcza w polskim kontekście, już zostało zasugerowane. Migranci są wchłaniani przez branże, w których brakuje rąk do pracy. Z uwagi na odpływ na emerytury części kadry i niemożność uzupełnienia jej młodym, miejscowym narybkiem do pracy są przyjmowani cudzoziemcy. Czasem również dlatego, że lokalna populacja po prostu nie jest zainteresowana tymi zajęciami. Są lepiej wykształceni, rzadziej więc wybierają prace proste. Ma to oczywiście swoje konsekwencje społeczno-socjologiczne. Niektóre zawody, jak choćby ciesząca się ostatnio kiepską prasą (w zupełności zasłużenie) branża dostaw jedzenia, zostają zdominowana przez migrantów. Powstaje więc społeczne pęknięcie na zawody lepsze i gorsze, które przebiega po liniach etnicznych.

Mamy więc do czynienia z innym rozlokowaniem na rynku miejscowych i migrantów.

Druga sprawa to fakt, że sami cudzoziemcy generują miejsca pracy. Przecież muszą coś jeść, chodzą również do fryzjera, do kina, czy tankują paliwo. Wszystko to oliwi gospodarkę i wytwarza popyt na dodatkowych pracowników. ●

www.nekrologi.wyborcza.pl/34447137

26 lipca 2026 roku zmarła w wieku 89 lat

ŚP

Ewa Kowalska
z domu Bolechowska

mgr inż. chemik

Nabożeństwo żałobne odbędzie się
25 sierpnia 2026 roku o godz. 13:00
w kościele św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach,
po którym nastąpi odprowadzenie Zmarłej do Kolumbarium
na miejscowym cmentarzu,

o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Córka i Mąż

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34447937

ODESZLI.pl
Dziel się wspomnieniami o bliskich
Wejdź na serwis **odeszli.pl**

eprasa.pl 883d017d18

15 godzin czekał na auto zastępcze

Wyprawa do Włoch w góry zakończyła się dla Jaromira i jego kolegów nocowaniem na parkingu i 15 godzinami oczekiwania na samochód zastępczy. PZU nie było w stanie zorganizować transportu do hotelu na jednej z popularniejszych tras turystycznych. – Daliśmy sobie radę, bo byliśmy przygotowani na trudne warunki, ale co, gdyby to trafiło na rodzinę z dziećmi lub osoby starsze? – alarmuje mężczyzna.

Justyna Sobolak

Jaromir wybrał się z kolegami na wypad w góry do Włoch, tuż przy granicy ze Szwajcarią i Francją. Celem wyprawy było wejście na Matterhorn – szczyt w Alpach Pennińskich, szósty pod względem wysokości samodzielny szczyt alpejski.

– Po około 15 godzinach akcji górskiej spędziliśmy noc w schronisku, wsiedliśmy w samochód i ruszyliśmy w drogę powrotną do Polski – opowiada.

Pięć godzin oczekiwania na informację

Około 100 km przed Wiedniem samochód, którym jechali mężczyźni, uległ awarii. – Awaria była dość nietypowa. Jechaliśmy autem hybrydowym, które, prócz zasilania benzyną, jako drugie paliwo ma gaz LPG. Okazało się, że zepsuła się pompa paliwowa, a jako że skończył się także gaz w baku, nie byliśmy w stanie kontynuować jazdy – relacjonuje Jaromir.

Mężczyznom udało się na oparach zjechać na parking. Była godzina 22:30, w drodze byli już 12 godzin. Z parkingu skontaktowali się z firmą ubezpieczeniową – w tym przypadku PZU.

– Zadzwoniliśmy na infolinię, chwilę zajęło ustalenie kwestii technicznych związanych z opisaną usterką. Pracownik infolinii próbował zastosować procedurę awaryjną, byśmy dojechali chociaż do stacji paliw i dotankowali, ale to się nie udało. Otrzymaliśmy informację, że zarezerwowano nam nocleg w hotelu, i czekaliśmy na dalsze instrukcje – opowiada Jaromir.

Dopiero po upływie pięciu godzin mężczyźni dowiedzieli się, że noc będą jednak musieli spędzić w samochodzie. Od pracownika PZU usłyszeli, że nocleg, owszem, udało się załatwić, ale jest problem ze zorganizowaniem transportu do zarezerwowanego hotelu.

– Zostaliśmy poinformowani, że jednak noc będziemy musieli spędzić w aucie na parkingu. Pięć godzin czekaliśmy na tę informację – mówi.

Noc na parkingu

To i tak nic. Łącznie na parkingu spędzili 15 godzin. Dobrze, jak twierdzi, że byli przygotowani na trudne warunki, bo wracali z gór. Mieli ciepłe ubrania, kuchenkę i liofilizowaną żywność. Ogrzewania w aucie nie dało się uruchomić, a na zewnątrz było 10 stopni

– Finalnie laweta wraz z samochodem zastępczym przyjechała o godz. 14:00 następnego dnia – informuje Jaromir.

Dziwi się, że na popularnej podczas letnich czy zimowych wypadów trasie PZU, największa firma ubezpieczeniowa w Polsce, nie była w stanie zorganizować transportu do hotelu czy auta zastępczego. – Trafiło na nas, trzech facetów, którzy wracali z gór, więc mieli jedzenie, śpiwory, ciepłe ubrania. Ale przecież to mogło zdarzyć się każdemu: osobom starszym, rodzinom z dziećmi. Po 15 godzinach jazdy kolejne 15 spędziliśmy na parkingu. To oznacza 30 godzin! Nie wyobrażam sobie, jak wytrzymałyby to dzieci – mówi.

FOT. SHUTTERSTOCK

Mężczyzna dziwi się, że na popularnej podczas letnich czy zimowych wypadów trasie PZU, największa firma ubezpieczeniowa w Polsce, nie była w stanie zorganizować transportu do hotelu czy auta zastępczego

Po powrocie do Polski złożył reklamację. Czeka na jej rozpatrzenie.

„Podjęto natychmiastowe działania"

W biurze prasowym PZU słyszymy, że rzeczywiście zaistniał problem ze zorganizowaniem transportu do hotelu w godzinach nocnych. – Początkowo analizowano różne możliwe przyczyny unieruchomienia pojazdu oraz możliwość przywrócenia jego sprawności na miejscu. Wyniki przeprowadzonej weryfikacji miały bezpośredni wpływ na sposób organizacji pomocy oraz dobór świadczeń assistance przewidzianych do realizacji na rzecz klienta – przekazują przedstawiciele biura prasowego PZU.

Jak podkreślają, po zakwalifikowaniu zdarzenia jako awarii niezwłocznie rozpoczęto organizację pomocy, obejmującej nocleg, transport, pojazd zastępczy oraz dalszą obsługę pojazdu. – Przez cały czas konsultantka pozostawała w kontakcie z klientem i przekazywała informacje o postępach w realizacji pomocy. Nocleg został zorganizowany. Trudność dotyczyła zapewnienia transportu do hotelu w godzinach nocnych. Organizacja pomocy assistance za granicą odbywa się przy współpracy z lokalnymi partnerami i jest uzależniona od faktycznej dostępności usług w danym miejscu i czasie. Mimo podjętych działań przez partnera zagranicznego nie udało się pozyskać taxi ani innego przewoźnika obsługującego wskazaną lokalizację w godzinach nocnych – tłumaczy PZU.

Podjęto natomiast działania związane z organizacją pojazdu zastępczego, który miał umożliwić powrót do Polski. – Jest to rozwiązanie korzystne dla podróżujących, ponieważ pozwala uniknąć wysokich opłat, jakie często wiążą się ze zwrotem wynajętego pojazdu w innym kraju niż miejsce jego odbioru. Dzięki temu klienci mogą kontynuować podróż bez konieczności ponoszenia dodatkowych, nieprzewidzianych kosztów – podają przedstawiciele biura prasowego ubezpieczyciela.

Podkreślają, że organizacja pojazdu zastępczego z Polski wpływa na czas realizacji usługi, o czym klient był na bieżąco informowany. – Przez cały czas prowadzenia sprawy podejmowaliśmy działania mające na celu zapewnienie adekwatnej pomocy, obejmującej nocleg, transport, pojazd zastępczy oraz organizację holowania pojazdu do Polski – słyszymy.

PZU, pytane o to, co gdyby sytuacja spotkała rodzinę z dziećmi lub osoby starsze, podkreśla, że każde zgłoszenie assistance analizowane jest indywidualnie, z uwzględnieniem okoliczności zdarzenia oraz potrzeb osób wymagających pomocy.

– W opisywanej sprawie klienci od początku znajdowali się w bezpiecznym miejscu, na parkingu, a konsultantka pozostawała z nimi w stałym kontakcie. Gdyby okoliczności wskazywały na zagrożenie dla zdrowia lub bezpieczeństwa podróżnych, podejmowane działania byłyby dostosowane do takiej sytuacji, z wykorzystaniem wszystkich dostępnych możliwości organizacyjnych i lokalnych zasobów – przekazuje biuro prasowe PZU.

wyborcza.biz

• Więcej czytaj na Wyborcza.biz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34446370

DO 24 SIERPNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na wrzesień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

CENA 199,99 zł** OSZCZĘDZISZ CO NAJMNIEJ 51 zł

Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
**Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

Praworządność

Jak naprawić TK?

Rząd nie może sobie wybierać, który Trybunał Konstytucyjny uznaje za ważny.

Matczak

Wojciech Sadurski przedstawił w „Gazecie Wyborczej" swój plan naprawy Trybunału Konstytucyjnego. W skrócie: siedmioro nowo wybranych sędziów ma utworzyć alternatywny TK, ma zbierać się poza budynkiem na Szucha, wybrać spośród siebie tymczasowego przewodniczącego i zacząć pracować jako prawdziwy, legalny Trybunał.

W tym tekście polemizuję z tym pomysłem i przedstawiam alternatywny, zgodny z ustawą, literą i duchem prawa, pomysł. Zacznę jednak od dwóch obszarów zgody.

Po pierwsze, diagnoza Sadurskiego jest trafna. Bogdan Święczkowski, człowiek, któremu prokuratura chce postawić poważne, dobrze udokumentowane zarzuty, nie powinien zasiadać nawet w trójce klasowej, a co dopiero w najważniejszym sądzie w Polsce i to jako prezes. Nie dopuszczając do Trybunału sędziów prawidłowo wybranych przez Sejm, używa instytucji państwowej do własnych korzyści, bo wie, że tylko lojalny skład uratuje go przed postępowaniem karnym. Pomaga mu w tym prezydent, który wybiera sobie dowolnie, od kogo przyjmie ślubowanie, choć żaden przepis takiego prawa mu nie daje. To patologia, z którą trzeba skończyć.

Po drugie, paraliż w TK jest symbolem upadku polskiej praworządności i bez jego naprawy niczego naprawić się nie da. A jest to sąd potrzebny i wymagany przez Konstytucję, więc rozmowy o jego likwidacji nie mają sensu. Trzeba go naprawić, a pomysły dotyczące „resetu" nie uwzględniają tego, że prawdziwy reset nie jest możliwy, bo zawsze dokonuje go jakaś polityczna większość. A to oznacza, że nie będzie on neutralny i da się go kwestionować.

Mimo powyższych pól zgody, z pomysłem Wojciecha Sadurskiego głęboko się nie zgadzam, ponieważ jeszcze pogorszy on sytuację.

Jako prawnik uważam, że formalizm jest chorobą. Dlatego konieczne jest w prawie stosowanie zasad, a nie tylko formalistycznych reguł. Formalnie działający TK, który jest kierowany przez byłego polityka z potencjalnymi zarzutami karnymi i ma w składzie dublerów, nie realizuje konstytucyjnych zasad odnoszących się do niezależnego sądu.

Najpierw argument proceduralno-prawny. Zdanie Sadurskiego „Trybunał to nie budynek, ale sędziowie" jest prawdziwe. Ale organ władzy publicznej to nie substrat osobowy, lecz wiązka kompetencji wraz z trybem ich wykonywania. Sędziowie są sercem Trybunału, ale autor zresztą sam przyznaje, że Trybunał jest instytucją większą niż suma indywidualnych sędziów. Otóż właśnie.

Siedmioro sędziów nigdy nie stworzy pełnego, jedenastoosobowego składu TK, który jest potrzebny np. w sprawie kontroli prewencyjnej ustaw czy sporów kompetencyjnych. Siódemka nie da kworum na Zgromadzeniu Ogólnym i nie podejmie uchwały o uchyleniu immunitetu prezesowi, bo wymaga to obecności dziesięciu sędziów. Wreszcie, ta siódemka będzie musiała wybrać z siebie składy trzyczy pięcioosobowe oraz wyznaczyć sprawozdawcę w tych sprawach. Kto to zrobi, skoro nie będzie prezesa? Pisze Sadurski, że wybiorą z siebie przewodniczącego, ale takiej funkcji ustawa nie zna, a więc będzie to sprzeczne z zasadą legalizmu i łatwe do podważenia. Autor zdaje się zakładać, że najstarszy sędzia będzie pełnił funkcję prezesa TK – ale ten przecież formalnie będzie, na Szucha. Dlatego i to będzie łatwo podważyć.

• **Trybunału Konstytucyjnego nie naprawimy aktem secesji, ale nieubłaganym kalendarzem, trzymaniem się procedury i cierpliwością** FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Poza tym bez prezesa nie będzie jak opublikować orzeczeń tego trybunału na uchodźstwie – do publikacji potrzebne jest jego zarządzenie. Jeśli rząd będzie publikował je sam z siebie, a nie będzie publikował orzeczeń tych, którzy zostaną przy Szucha, sam wybierze sobie TK, który uznaje. A władza wykonawcza nie może takich decyzji podejmować. To jest argument z zasad: autor postuluje, by rząd wydał jasny komunikat administracji Trybunału, a Ministerstwo Finansów rozwiązało sprawę wynagrodzeń. A to znaczy, że o tym, który Trybunał jest prawdziwy, rozstrzygnie władza wykonawcza. To dokładnie ten mechanizm, przeciwko któremu protestowaliśmy od 2016 roku.

Kto wreszcie uchwali budżet trybunalski, skoro TK przy Szucha nie może, bo ma za mało sędziów (co przyznaje Sadurski)? Nowy trybunał także nie będzie mógł tego zrobić. Zamiast więc mieć nowy, naprawiony trybunał zamiast starego zepsutego, będziemy mieli dwa zepsute.

To wszystko prowadzi nieuchronnie do pytania o to, czy ten nowy trybunał spełni standard „sądu ustanowionego ustawą" z artykułu 6. Konwencji Praw Człowieka, który był naszą najskuteczniejszą bronią przeciwko TK orzekającemu z udziałem dublerów. Ciało orzekające bez ustawowo wyznaczonego składu i bez legalnie wyznaczonego sprawozdawcy to podręcznikowy kandydat do tego samego zarzutu.

Kolejny argument to argument z dualizmu naszego systemu prawa. Autor pisze, że dwoistość mamy już dziś, więc niczego nie tracimy, gdy wydzielimy nowy TK. Otóż tracimy. Dzisiaj mamy szansę na doprowadzenie do jednolitości – napiszę o tym na końcu. Kiedy formalnie będą dwa ciała, wydające sprzeczne rozstrzygnięcia, bez likwidacji jednego z nich jednolitości nie da się uzyskać. A w jaki sposób „zlikwiduje" się legalnych sędziów TK, którzy pozostaną przy Szucha? Odwoła się ich komunikatem rządu?

Co z sądami powszechnymi, które będą musiały wybierać, do którego TK kierować pytania prawne i którego orzeczenia stosować? To będzie dwoistość do potęgi, której już nie da się normalnie naprawić.

Co więcej, cała ta sytuacja postawi Święczkowskiego w lepszej pozycji – z kogoś, kto musi odpierać ataki, że niszczy Trybunał, stanie się kimś, kto będzie go bronił przed uzurpacją. To o wiele łatwiejsze zadanie komunikacyjne.

Ta formalna dwoistość będzie też wymagała od sędziów TK wybranych przez PiS, o których Sadurski pisze, że się „wykruszają" w swojej lojalności, decyzji o charakterze „wóz albo przewóz" – albo wyjdą z Szucha, albo tam zostaną.

Wyjście to decyzja o wiele trudniejsza niż przyłączenie się do nowej większości w głosowaniu przeciwko Święczkowskiemu. Sędzia, który dziś rozważa „wykruszenie się", potrzebuje legalnej ramy dla swojej decyzji. Chce oprzeć ją na prawie, a nie przystąpić do organu utworzonego bez podstawy ustawowej, z ryzykiem dyscyplinarnym i karnym przy pierwszej zmianie władzy.

Wreszcie argument z odbioru społecznego. Jak pisałem, ludzie myślą, że prawo to litera. Tak nie jest, ale to myślenie umożliwia zaprezentowanie ciała, które proponuje Sadurski, jako kpiny z prawa. Już mieliśmy narrację PiS o grupie sędziów decydujących przy kawie i ciasteczkach, a wtedy była to grupa sędziów obradująca w gmachu Trybunału, z legalnym prezesem. Każdy skrót prawny w sprawie TK się zemścił – niewybieranie sędziów przez wiele miesięcy, niewypłacanie wynagrodzeń tym wcześniej wybranym, niepublikowanie orzeczeń, czy ślubowanie nowych sędziów w Sali Kolumnowej. To wszystko dało paliwo opozycji, która prawie przekonała elektorat, że partia Tuska łamie praworządność poważniej niż PiS. A teraz takie przekonanie będzie jeszcze łatwiejsze. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo to rozwiązanie naraża autorytet nowo wybranych sędziów, którzy z legalnych zmienią się od razu w uzurpatorów.

Z powyższych powodów pomysł z trybunałem na uchodźstwie jest moim zdaniem zły. Ale jaki jest dobry? Oparty na kalendarzu, legalności i cierpliwości. Kadencja Justyna Piskorskiego kończy się 18 września tego roku, kadencja Jarosława Wyrembaka – 30 stycznia przyszłego roku. To dwa ostatnie miejsca zajmowane przez dublerów. Po obsadzeniu obu wakatów sędziowie wybrani przez obecny Sejm będą mieć dziewięć miejsc na piętnaście. To arytmetyka, która działa na rzecz przywrócenia normalnego TK.

Trzeba wybrać sędziów na te dwa miejsca w idealny proceduralnie sposób – tak jak sędziego Patyrę.

W ten sposób wywrze się na Karolu Nawrockim podobną presję zaprzysiężenia. To ważne – ludzie obserwują polityków i generalnie nie lubią łamania prawa, więc to, na kogo pada odium nielegalności, jest politycznie kluczowe.

Po drugie, trzeba zacząć coś, czego nigdy nie zrobiono – zacząć badać nieprawidłowości w działaniu TK za czasów PiS. Potrzebne są postępowania, w których przesłucha się osoby, które mogły widzieć Dworczyka czy innych polityków PiS odwiedzających budynek przy Szucha, którzy mogą coś wiedzieć na temat kontaktów Krystyny Pawłowicz z Kaczyńskim. Nic tak nie kruszy lojalności jak sensownie prowadzone postępowanie karne. Przecież te kontakty polityków z sędziami TK to był jeden z największych skandali tamtego czasu. A nie są ścigane.

Po trzecie, trzeba cały czas pokazywać publicznie, jak poważne zarzuty ma Święczkowski. To może spowodować zmianę lojalności w głosowaniu nad jego immunitetem i/lub zatrzymaniem teraz lub w przyszłości. A to będzie całkowicie legalna droga do usunięcia go ze stanowiska.

Podsumowując: nie potrzebujemy równoległego Trybunału, ale precyzyjnego działania zgodnego z ustawą, legalnego wyboru nowych, całkowicie apolitycznych sędziów i oczekiwania od tych wybranych przez PiS, by porzucili ten obrażający każdego prawnika projekt, kierowany przez osobę, której grożą poważne zarzuty karne. Innymi słowy: to, co plan Sadurskiego chce osiągnąć wbrew ustawie, jest osiągalne zgodnie z ustawą w ciągu kilkunastu miesięcy.

Trybunału nie naprawimy aktem secesji, ale nieubłaganym kalendarzem, trzymaniem się procedury i cierpliwością – czyli tymi samymi nudnymi środkami, których lekceważenie kosztowało nas ostatnie trzy lata bezczynności w tej sprawie. ●

Marcin Matczak

• **Teksty w dziale Opinie wyrażają poglądy autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska redakcji**

eprasa.pl 883d017d18

Po co robić kino?

ŻEBY COŚ WYRAZIĆ, A NIE COŚ ZAŁATWIĆ

Twórca filmowy ma pewną odpowiedzialność wobec autora pierwowzoru literackiego. Oddają mi swoje dziecko, więc muszę o nie zadbać – mówi Agnieszka Holland.

• **23 października 2025 r. Warszawa, Muzeum POLIN. Agnieszka Holland na premierze swojego filmu „Franz Kafka”** FOT. MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA Z
AGNIESZKĄ HOLLAND
reżyserką

DAWID DRÓŻDŻ: Książka, której ekranizację chciałaby obejrzeć Agnieszka Holland, to...
AGNIESZKA HOLLAND: „Wzgórze błękitnego snu” Igora Newerly'ego, które zachwyciło moją córkę jako materiał na film. Szalonym fanem tej książki jest też podobno Zygmunt Miłoszewski. To byłby fantastyczny film albo miniserial. Natomiast nie wiem, czy ja chciałabym go zrealizować, bo jestem na innym etapie swojej kariery.

Mówiło się o „Księgach Jakubowych” Olgi Tokarczuk, ale obawiam się, że adaptacja mogłaby spłaszczyć wizję tej powieści. Myślę, że wiele świetnych filmów mogłoby za to powstać na podstawie opowiadań Olgi z tomu „Gra na wielu bębenkach”.

Na czym polega różnica między pisaniem scenariusza oryginalnego a pisaniem scenariusza na podstawie książki?
– Adaptacja ma w sobie coś z tłumaczenia. Tekst trzeba przełożyć na język innego medium. Czasami okazuje się, że jest to niemożliwe. Niektóre powieści, nowele czy reportaże są zamknięte w swoim gatunku. Kiedy próbujemy je przełożyć, okazuje się, że dzieło traci swój sens i energię. Większość współczesnej literatury polskiej jest trudna do adaptacji, ponieważ w dużym stopniu opiera się na lirycznym „ja”.

Praca nad „Pokotem” była dla mnie pouczająca. Świat Olgi Tokarczuk od zawsze mnie pociągał, ale większość jej powieści ma kapryśną strukturę, która nie nadaje się do adaptacji. „Prowadź swój pług przez kości umarłych” jest wyjątkiem. To rodzaj trzymającego w napięciu thrillera z wyrazistą bohaterką. Przypomina nieco powieść amerykańską, która jest najbliższa kinu.

Autorka książki była też współscenarzystką, co nie jest regułą.
– Przeczytałam jej scenariusz, który kiedyś napisała dla Wajdy. Wydał mi się ciekawy. Pomyślałam, że byłoby dobrze, gdyby napisała też scenariusz do „Pokotu”.

Pierwsza wersja była fatalna, pozbawiona napięcia, tajemnicy i wdzięku pierwowzoru. Usiadłyśmy w moim domu na wsi, rozsypałyśmy te klocki i zaczęłyśmy budować od nowa. Powiedziałyśmy sobie, że po trzech miesiącach chcemy mieć gotowy scenariusz. Rok później nadal szukałyśmy sposobu, jak opowiedzieć tę historię.

Film różni się od powieści, ale mam przekonanie, że udało nam się wyrazić to, co jest w niej najważniejsze. Podobno najtrudniej adaptować dobrą literaturę. Coś w tym jest. Nigdy nie udało się stworzyć udanej adaptacji powieści Franza Kafki, Roberta Musila czy Thomasa Manna.

Jak zaangażowanie samej autorki lub autora książki wpływa na proces powstawania filmu?
– Praca nad „Pokotem” była twórcza dla obu stron. Olga była otwarta na zmiany, ale także samokrytyczna. To był pierwszy raz, gdy pracowałam nad ekranizacją od początku pisania scenariusza. Wcześniej zrealizowałam np. „Całkowite zaćmienie”, ale to był inny proces. Scenariusz napisał Christopher Hampton, a więc autor sztuki, na podstawie której powstał film. Dołączyłam do prac nad tekstem na późniejszym etapie.

Od zawsze pani czerpała z literatury. Naliczyłem w pani filmografii kilkanaście ekranizacji.
– Pierwszą adaptację zrobiłam jeszcze w szkole filmowej, w 1969 roku. To było opowiadanie Isaaka Babla pt. „Grzech pana Jezusa”, które przerobiłam na „Grzech Boga”. Zmieniłam Jezusa na staruszka Boga, pokazując jego bezradność wobec cierpienia kobiet. Bardzo feministyczny film.

A później był krótki metraż „Wieczór u Abdona” na podstawie opowiadania Iwaszkiewicza. To była oryginalna, wręcz nowofalowa ekranizacja, oddająca baśniowość i poetyckość tej prozy.
– „Wieczór u Abdona” powstał na początku istnienia Zespołu Filmowego „X” Andrzeja Wajdy. Filmy w wytwórni realizowali głównie twórcy przed debiutem. Dojrzalsi reżyserzy prawdopodobnie bali się konfrontacji z kimś, kto był już wtedy gwiazdą. Te obawy były nieuzasadnione, bo Wajda okazał się oddanym i wielkodusznym opiekunem.

Wtedy, przed zrealizowaniem debiutu, trzeba było nakręcić dwa filmy telewizyjne. Wajda, który był wielkim zwolennikiem prozy Iwaszkiewicza i miał za sobą udaną adaptację „Brzeziny”, wymyślił, że młodzi twórcy z Zespołu „X” nakręcą serię ekranizacji opowiadań Iwaszkiewicza. Rzeczywiście w ten sposób powstało kilka filmów.

Zabrałam się do opowiadania „Wieczór u Abdona”, bo wydało mi się najbardziej inspirujące i tajemnicze. Telewizja położyła film na półkę, bo uznała, że to zakamuflowana opowieść o Marcu '68. Film nikomu się nie spodobał, włącznie z Andrzejem Wajdą. Pamiętam, że jedynie Piotr Szulkin był jego wielkim zwolennikiem.

W tym filmie swoją pierwszą rolę zagrał młodziutki Michał Bajor. Wciela się w beztroskiego Michasia, który ma romans z aptekarką graną przez Beatę Tyszkiewicz. Jak go pani odkryła?
– Zobaczyłam go na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Pomyślałam, że to zjawiskowa istota.

Teraz sobie przypomniałam, że ten film spodobał się też autorowi. Zorganizowaliśmy projekcję dla Iwaszkiewicza, na którą przyszedł ze swoim sekretarzem, Jerzym Lisowskim. Był bardzo wzruszony. Po projekcji mocno mnie objął i pocałował w czoło. Powiedział, że to piękny film, a najbardziej podobał mu się pies. Pomyślałam: „Gdzie tam jest pies?”. Dopiero później zobaczyłam, że w jednej ze scen widać budę i małego pieska.

Aprobata autora pierwowzoru literackiego stanowi dla pani wyznacznik tego, czy udało się zrealizować udaną ekranizację?
– Twórca filmowy ma pewną odpowiedzialność wobec autora pierwowzoru literackiego. Oddają mi swoje dziecko, więc muszę o nie zadbać. Zawsze było dla mnie ważne, aby nie tylko autor książki, ale też scenarzysta miał satysfakcję z tego, co zrobiłam z tekstem. Chętnie współpracuję z autorami, zapraszam ich na plan zdjęciowy. Nie robię tego, co mi się żywnie podoba.

Autorzy nie próbują ingerować na planie w powstające dzieło?
– Większość pisarzy, którzy nie mają doświadczenia filmowego, na planie czuje się zagubiona. Natomiast scenarzyści, szczególnie zawodowi, rozumieją tę poetykę. Uważam, że dobrze, jeśli partycypują w tym procesie do końca. Zazwyczaj mi się to opłacało.

Pamiętam, jak Olga przyjechała na plan zdjęciowy „Pokotu”. To wszystko wydało jej się dziwne. Siedzimy przed monitorem, powtarzamy w kółko te same sceny. Nie rozumiała, dlaczego nakręcenie małej sceny zajmuje nam tak dużo czasu.

Po tygodniu miała przyjechać na plan raz jeszcze. Zamierzaliśmy udawać, że cały czas kręcimy tę samą, malutką scenę. Ostatecznie ten dowcip nie wypalił, bo przyjechała w dniu, w którym zmieniliśmy dekorację.

A skąd wziął się pomysł na ekranizację „Dziejów jednego pocisku” Andrzeja Struga? To osadzona w czasach rewolucji 1905 roku opowieść o buncie, nadziei i konformizmie. Narracja podąża za bombą przekazywaną z rąk do rąk.
– Scenariusz na podstawie tej książki napisał Krzysztof Teodor Toeplitz. Znalazłam go w Zespole „X” wśród tekstów, które były tam zgromadzone. Wszyscy myśleli, że to nie przejdzie przez cenzurę, ponieważ kojarzyło się z ówczesną rzeczywistością polityczną. Cudem udało się to zatwierdzić. Ówczesny minister do spraw kinematografii chodził ciągle pijany. Basia Ślesicka, szefowa pro-

eprasa.pl 883d017d18

dukcji w Zespole, upiła go na festiwalu w Gdańsku i zgodził się na realizację tego filmu.

„Gorączka", tak jak „Wieczór u Abdona", ma walor uniwersalności. Ta historia rymuje się przecież z wieloma rewolucjami zakończonymi fiaskiem.
– Ten film aktualizował się kilkukrotnie. Inspiracją, poza rewolucją 1905 roku, była Praska Wiosna będąca dla mnie formacyjnym doświadczeniem politycznym. Tymczasem premiera filmu, tuż przed grudniem 1981 roku, zbiegła się z ogłoszeniem stanu wojennego. Był więc to film odbierany jako metafora przegranej rewolucji.

I tu kolejne odkrycie aktorskie: Bogusław Linda.
– To była jedna z jego pierwszych ról. Wtedy nie było reżyserów castingu, więc sami jeździliśmy po teatrach i oglądaliśmy przedstawienia szkół aktorskich. To była kwestia szczęścia i pewnej intuicji. Dobieranie aktorów jest aktem łaski. Następuje spotkanie i postać, którą sobie wyobrażamy, nagle ożywa za sprawą aktora.

„Tajemniczy ogród", kolejna wyreżyserowana przez panią ekranizacja, jest zanurzony w zupełnie innej estetyce. To była duża produkcja zrealizowana przez Warner Bros.
– „Tajemniczy ogród" był moją ulubioną książką w dzieciństwie. Nigdy nie byłam na wrzosowiskach, ale wyobrażałam sobie takie miejsca. Moją fascynację wzmocniła lektura książek Emily Brontë.

Po „Europie, Europie", która była dużym sukcesem w Stanach, zaczęto mi proponować produkcje w Hollywood. Wśród nich był „Tajemniczy ogród". Producentem był Francis Ford Coppola, co było dla mnie zachęcające. Później okazało się, że jako producent nie miał ani doświadczenia, ani odpowiedniego do tego charakteru.

Zrobiłam sobie kalkulację. Uznałam, że jeśli to film z dziećmi, to nikt nie będzie na mnie naciskał, abym zatrudniała gwiazdy. Sądziłam, że będę mogła zrobić ten film po swojemu. To była jednak droga przez mękę. W pewnym momencie wtrącali się we wszystko.

Wtedy rozwinęła się u mnie silna alergia na ryby i owoce morza. Myślę, że z powodu stresu i sił obronnych, które musiałam w sobie uruchomić. Zrozumiałam, że w rzeczywistości była to alergia na pracę z dużymi amerykańskimi studiami. Proces był dość długi i pokrętny, ale koniec końców ten film jest zbliżony do tego, co chciałam zrobić.

Warner Bros. chciał zrobić bardziej mainstreamowe kino?
– To była pierwsza ekranizacja klasyki dziecięcej Warnera. Wyprodukowali jeszcze „Małą księżniczkę", którą wyreżyserował Alfonso Cuarón. Szefowie studia nie mieli pojęcia, co robią. Zadawali mi dziwne pytania, np. dlaczego ojciec jest taki niesympatyczny i trzyma syna w ukryciu. Tłumaczyłam im, że jest człowiekiem z kompleksem: obarczył chłopca i ten ogród winą za śmierć ukochanej. „Jak tak nie lubi tego ogrodu, to dlaczego go nie sprzeda?" – zapytali.

Adaptacja ma w sobie coś z tłumaczenia. Tekst trzeba przełożyć na język innego medium

Disney robił rzeczy przesłodzone, a w powieści „Tajemniczy ogród" jest dużo emocjonalnego symbolizmu i ciemności duszy. Warner chciał osiągnąć sukces komercyjny. Po projekcji testowej pytali, dlaczego dziewczynka się nie uśmiecha. Kazali mi dokręcić sceny ze zwierzątkami i kolorowymi kwiatkami.

To był specyficzny okres w amerykańskim kinie i telewizji. Hollywood odrzucało moje projekty, bo nie były sympatyczne. Dziesięć lat później wszystko się zmieniło. Przychodziłam z tymi samymi projektami, a oni mówili: „To jest zbyt sympatyczne".

Zmienił się trend.
– Ta zmiana jest głębsza niż trend. To kwestia światopoglądu. Zło, które zaczęło ziać z seriali telewizyjnych czy filmów, zaraziło całą Amerykę. Ludzie są podatni na to, co widzą. Bohaterowie, którzy są skurwysynami, stali się atrakcyjni. Realizując epizody do „House of Cards", miałam iluminację, że robimy coś strasznego, wpuszczamy w świadomość widowni przekonanie, że polityka waszyngtońska to kłębowisko żmij, a prezydent może być kłamcą i mordercą.

Serial okazał się profetyczny. „Sukcesja", jedna z najważniejszych produkcji telewizyjnych ostatniej dekady, to z kolei serial, w którym mamy wyłącznie złe postacie.
– „Sukcesja" powstała 20 lat później. Początkiem tej zmiany były seriale „Breaking Bad" czy „Dexter". Trudno było wtedy znaleźć w telewizji bohatera, który reprezentował pozytywne wartości. Jak pan porówna „Prezydenckiego pokera" z „House of Cards", to zobaczy pan, jaką drogę w kierunku ciemności przeszła amerykańska polityka i jej wizja.

No dobrze, wróćmy do polskiego kina. Jakich filmów pani brakuje?
– Najbardziej brakuje mi mocnych, współczesnych historii dających szerszą i głębszą wizję świata w jego totalności. Nie ma współczesnych filmów, które dotykałyby najbardziej palących wyzwań. A żyjemy w czasach, kiedy jest ich mnóstwo. Nie ma tego ani w planie realistycznym, ani metaforycznym.

Wydaje mi się, że jest mało kina interwencyjnego, reagującego na to, co się dzieje. Takim filmem była „Zielona granica".
– Nie lubię sformułowania „interwencyjne", bo kino robi się po to, żeby coś wyrazić, a nie po to, żeby coś załatwić. Byłabym naiwna, myśląc, że jakiś film może zmienić sytuację polityczną.

Chodzi mi raczej o stawianie podstawowych pytań dotyczących tego, co dzieje się tu i teraz. Widzimy gwałtownie narastającą faszyzację różnych społeczeństw, także polskiego, ale to nie znajduje odbicia w kinie fabularnym. Amerykanie boją się mówić o współczesności amerykańskiej. Powstało kilka filmów, które miały później problemy. Kolejni finansiści nie podejmują się już tematów politycznych.

Kino stało się bezpieczne, zachowawcze.
– Powiedziałabym: burżuazyjne. Takie, które nie chce wyjść ze strefy komfortu. To wynika z tego, że w spolaryzowanym świecie trudno sfinansować tzw. filmy kontrowersyjne. Platformy, które są dużym źródłem finansowania, mówią sobie: „No dobrze, jeśli podejmiemy ten temat, to stracimy co najmniej połowę potencjalnej widowni. Po co mamy ryzykować, skoro możemy zrobić kolejny kryminał czy komedię romantyczną?".

Z finansowaniem publicznym też jest pewien problem. Filmowcy, robiąc film krytyczny, np. o środowiskach nacjonalistycznych, ryzykują, że nie dostaną dotacji na kolejny film po dojściu do władzy skrajnej prawicy.
– Owszem, ale nawet teraz można nie dostać pieniędzy, bo komuś nadepnęło się na odcisk. Klientelizm, który rozplenił się za PiS-u, niestety, trwa. ●

Rozmawiał Dawid Dróżdż

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
34448025

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

Neony, które nocą nie świecą

Sosnowiec wyłącza prąd o godz. 23

Neony kojarzą się z nocą. To wtedy widać je najlepiej, więc przynajmniej w teorii powinny działać aż do świtu.

Wojciech Todur

FOT. WOJCIECH TODUR

Nowy neon w Sosnowcu rozbłysnął w ostatni piątek lipca. Na murze starej kamienicy w centrum miasta wiją się teraz szklane rurki, układające się w napis Mikro, Makro, Metro, Polia. Do tego sygnatura GZM, bo to Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia stoi za tym projektem.

– Metropolia organizuje cykl wydarzeń Kierunek GZM. Promuje je m.in. zawieszając neony. Zostały już takie zawieszone w Katowicach, Bytomiu, a teraz przyszedł czas na Sosnowiec. Zdecydowałem się więc odtworzyć szlak dawnych sosnowieckich neonów. Na podstawie dokumentacji fotograficznej, bo do dzisiaj nie zachował się żaden z nich – opowiadał nam Dominik Tokarski z Fundacji Silesia Neon, który z tej okazji opowiedział o historii sosnowieckich neonów.

Neonizacja Polski

Neony przyciągają oko przede wszystkim po zmroku. W czasach PRL-u w Sosnowcu było ich wiele. Było to pokłosie rozporządzenia polskiego rządu o „neonizacji Polski" z roku 1956.

– Katowice, ówczesny Górnośląski Okręg Przemysłowy, z racji wydobycia, skoncentrowanego przemysłu, były oczkiem ówczesnych władz. Nie żałowano pieniędzy by właśnie tutaj skoncentrować dużą ilość neonów. Na ulicach miało być ładnie i nowocześnie. Najbardziej rozbłysły Katowice, ale instalacji nie brakowało też m.in. w Bytomiu, Gliwicach czy w Sosnowcu. Na fali odwilży rozświetlano też inne duże ośrodki, jak Warszawę, Poznań, Łódź czy Wrocław – mówi Tokarski.

W słoneczny dzień ciemno robi się obecnie przed 21, a o 23 już neonu nie widać. Przecież to niepoważne

MIESZKANIEC

W Sosnowcu neony świeciły się nie tylko w centrum miasta, ale i na osiedlach, gdzie trafiły na przykład na dziesięciopiętrowe bloki. Nowy neon w mieście zainteresował naszych czytelników. – Mieszkam po sąsiedzku. Kilka dni po podłączeniu neonu wracałem do domu po północy i zauważyłem, że neon nie świeci. Pomyślałem, że może przytrafiła się jakaś awaria. Kilka dni później sytuacja się powtórzyła. Postanowiłem to sprawdzić i okazało się, że neon jest wyłączany o godzinie 23. W słoneczny dzień ciemno robi się obecnie przed 21, a o 23 już neonu nie widać. Przecież to niepoważne – mówi nam.

W grudniu będzie dłużej

Zapytaliśmy w Urzędzie Miasta czy obserwacja mieszkańca jest zgodna z prawdą. – Podobnie jak w innych miastach, w których wcześniej GZM wieszał neon, tak i u nas neony są wyłączane o 23. To wynika z wcześniejszego doświadczenia GZM-u – przekazał nam Rafał Łysy, rzecznik prasowy UM w Sosnowcu.

Na czym polega to „doświadczenie"? Czy GZM narzuca miastom, jak długo mają świecić neony? – Nie, niczego nie narzuca. Zwyczajnie ma rozeznanie z wcześniejszych realizacji wspólnie z Fundacją Silesia Neon oraz z próśb mieszkańców – dopowiada rzecznik. Więcej światła na neony rzuca Dominik Tokarski. – Cieszy mnie, że są mieszkańcy, którzy chcieliby, żeby neony świeciły dłużej. Ale nie zawsze tak jest. Światło neonów nieraz i przeszkadza. Neony trafiają na mury miejskich kamienic. Zazwyczaj blisko zabudowań, gdzie żyją ludzie, którzy nie zawsze chcą mieć neon za oknem. Neony mają specjalne włączniki czasowe. Obecnie czas, w którym można je oglądać rzeczywiście nie jest zbyt długi. Ale im bliżej zimy, tym czas z neonami będzie się wydłużał. W grudniu neon będzie już widoczny od godziny 15.30 – mówi Tokarski.

wyborcza.pl

• **Więcej czytaj na sosnowiec.wyborcza.pl**

Skarg nie było

A jak to wygląda w innych miastach naszego regionu? – Mamy trzy neony i rzeczywiście światło, które emitują bywa uciążliwe dla części osób. To jednak silne, mocno rozproszone światło – mówi nam Małgorzata Węgiel-Wnuk, rzeczniczka prasowa UM w Bytomiu i dodaje, że były prośby, żeby ograniczyć czas działania neonów. – Ale były i takie, żeby wydłużyć. Tak właśnie stało się w przypadku neonu GZM, który w okresie letnim świeci do północy – dodaje.

Podobnie ma się sprawa w Katowicach. Neon włącza się za sprawą czujnika zmierzchu, a wyłącza o godzinie 24.

Dodajmy, że w Sosnowcu nie odnotowano dotąd żadnych skarg mieszkańców. – Jak już ma świecić krótko, to niech chociaż świeci dobrze. Napis „mikro" wygląda, jakby szwankował – podsumowuje nasz czytelnik. ●

17-latek ciężko poparzony

Został oblany benzyną i podpalony

Nastolatek o własnych siłach dotarł do domu. Obecnie pozostaje w śpiączce farmakologicznej.

Policjanci z Jaworzna zatrzymali trzech młodych mężczyzn, którzy brali udział w zdarzeniu, do którego doszło w dzielnicy Galmany. W jego wyniku 17-letni chłopak został oblany łatwopalną substancją i podpalony. Zatrzymani usłyszeli zarzut usiłowania zabójstwa i zostali już tymczasowo aresztowani.

Do zdarzenia doszło późnym popołudniem 7 sierpnia w rejonie ulicy Pawiej. Podczas spotkania grupy nastolatków 17-letni chłopak został oblany najprawdopodobniej benzyną i podpalony.

Nastolatek o własnych siłach dotarł do domu. Tam matka zaniepokoiła się jego stanem i wezwała na miejsce służby ratunkowe oraz policję. 17-latek został przewieziony do szpitala. Okazało się, że w wyniku podpalenia doznał on poparzeń obejmujących blisko połowy powierzchni całego ciała i obecnie pozostaje w śpiączce farmakologicznej.

W toku prowadzonych czynności policjanci zatrzymali trzech mężczyzn w wieku od 18 do 20 lat. Po doprowadzeniu prokurator przedstawił im zarzuty usiłowania zabójstwa. Na jego wniosek sąd zdecydował o zastosowaniu wobec podejrzanych tymczasowego aresztowania na trzy miesiące.

Policjanci z Jaworzna zatrzymali trzech młodych mężczyzn, którzy brali udział w zdarzeniu, do którego doszło w dzielnicy Galmany. Sprawcom grozi kara dożywotniego więzienia

Sprawa ma charakter rozwojowy. Śledczy ustalają teraz szczegółowe okoliczności zdarzenia. Istotne znaczenie dla dalszego postępowania będzie miało również przesłuchanie pokrzywdzonego, które na ten moment nie jest możliwe z uwagi na stan jego zdrowia.

Za usiłowanie zabójstwa kodeks karny przewiduje karę nawet dożywotniego więzienia. ●

Wojciech Todur

OGŁOSZENIE PŁATNE Katowice/34414054

KATOWICKIE CMENTARZE KOMUNALNE

POMOC W ORGANIZOWANIU POGRZEBÓW

ul. Murckowska 9
40-266 Katowice

CAŁODOBOWE USŁUGI
tel.: 32 255 21 32,
32 255 15 51, 607 399 321
mail: kck@kck.katowice.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34447920

Słówko · Literówka
Quizy · Sudoku
Krzyżówki

Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store

1 S3

eprasa.pl 883d017d18

Podhale

Na drogach zginęły niedźwiedzie

Najpierw była Dolina Kościeliska, teraz Brzeziny. Dwa niedźwiedzie zginęły po zderzeniu z samochodami. Przyrodnicy przypominają: niedźwiedź nie zna granic parku ani znaków drogowych.

Marek Podmokły

• **Gdy niedźwiedź wyskoczy z lasu, kierowca może mieć zaledwie ułamek sekundy na reakcję**
FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Niedzielny wieczór. Droga Oswalda Balzera w rejonie Brzezin. Jest po godz. 19, kiedy młoda niedźwiedzica wychodzi z lasu wprost na jezdnię. Nadjeżdża Mercedes Vito. Kierowca nie ma praktycznie czasu na reakcję. Dochodzi do zderzenia, zwierzę zostaje ciężko ranne. Obrażenia są tak poważne, że pracownicy Tatrzańskiego Parku Narodowego muszą podjąć decyzję o jego uśpieniu.

57 kg – tyle ważyła młoda samica. Dla kierowcy zdarzenie kończy się bez poważnych obrażeń. Dla niedźwiedzicy – śmiercią.

Nie to pojedynczy przypadek

29 lipca tuż przed godz. 15 samochód osobowy Seat zderzył się z niedźwiedziem w rejonie Doliny Kościeliskiej. Zwierzę ważące 110 kg też nie przeżyło. Do wypadku doszło na terenie gminy Kościelisko, poza granicami TPN.

Dwa potrącenia samochodowe oznaczają, że w tym roku na terenie Tatr i Podhala zginęły już trzy niedźwiedzie. Trzeci przypadek był jednak zupełnie inny – mały niedźwiedź padł w Dolinie Lejowej z przyczyn naturalnych.

– Tak się składa, że w tym roku mieliśmy w Tatrach i na Podhalu już trzy przypadki śmiertelne wśród niedźwiedzi. Pierwszy miał miejsce w Dolinie Lejowej, gdzie padł mały, 3,5-kilogramowy niedźwiedź, niedługo po wyjściu z gawry. Tam przyczyna śmierci była całkowicie naturalna. Dwa pozostałe przypadki to potrącenia przez samochody i w obu ginęły samice – relacjonuje Filip Zięba, wicedyrektor TPN i specjalista od niedźwiedzi.

Niedźwiedzica z Brzezin nie była dla pracowników TPN anonimowym zwierzęciem. – Była to młoda niedźwiedzica, samica, która ważyła 57 kilogramów i jeszcze nie prowadziła młodych. Zwierzę było nam już wcześniej dobrze znane – mówi Filip Zięba.

Pracownicy Parku wcześniej odławiali ją w rejonie Doliny Strążyskiej. Zwierzę często pojawiało się w sąsiedztwie ludzkich osad. Zaglądało w okolice dzielnicy Bogdańskiego, przeszukiwało kosze i szukało resztek jedzenia. Miała założonego mikrochipa. Była jeszcze zbyt mała, by założyć jej stałą obrożę telemetryczną. Jak tłumaczy Zięba, miała ją otrzymać jesienią.

Poza obszarami chronionymi

W świadomości części turystów Tatry kończą się tam, gdzie kończy się granica TPN. Dla niedźwiedzia ta granica nie istnieje. Zwierzęta przemieszczają się na duże odległości. Przecinają drogi, wychodzą poza obszary chronione, pojawiają się w pobliżu zabudowań.

Filip Zięba zwraca uwagę, że znane są przypadki niedźwiedzi, które wielokrotnie przekraczały nawet bardzo ruchliwe drogi. Jedno z „zaobrożowanych" zwierząt potrafiło regularnie przekraczać trasę w kierunku Chyżnego, mimo dużego ruchu ciężarowego. Tym razem jednak nie udało się uniknąć tragedii.

Czy za ostatnie wypadki winę ponosi kierowca samochodu? Droga w rejonie Brzezin jest objęta ograniczeniem prędkości. W środku wakacji ruch na Podhalu jest ogromny, a samochody często stoją w korkach. – W tym konkretnym przypadku miało miejsce zdarzenie, w którym niedźwiedź po prostu znienacka wyskoczył z lasu wprost pod koła nadjeżdżającego samochodu – mówi Zięba.

W rozmowie przyznaje wprost, że nie ma podstaw, by w tym przypadku mówić o szarży czy wyścigu. – To jest po prostu nieszczęśliwy wypadek – podkreśla. Nie oznacza to jednak, że kierowcy mogą czuć się zwolnieni z odpowiedzialności. Wręcz przeciwnie.

Na drogach giną też m.in. lisy, zające i sarny

Policja przypomina, że do kolizji z dzikimi zwierzętami najczęściej dochodzi między zmierzchem a świtem. Zwłaszcza wtedy kierowcy powinni zachować szczególną czujność. Szczególne znaczenie ma znak A-18b – „Uwaga! Dzikie zwierzęta". – Widząc ten znak, należy zwolnić i jechać ze stałą prędkością, aby w obliczu zagrożenia mieć czas na odpowiednią reakcję – apeluje asp. szt. Roman Wieczorek, rzecznik zakopiańskich policjantów. Problem w tym, że nawet ostrożna jazda nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Zwierzę może pojawić się na drodze nagle. Może zatrzymać się na środku jezdni albo pobiec wprost pod nadjeżdżający samochód. Dlatego najważniejsza jest nie tylko prędkość, ale również przewidywanie.

Czy po kolejnych takich wypadkach można powiedzieć, że niedźwiedzie tracą lęk przed samochodami? TPN zdecydowanie przestrzega przed takimi uproszczeniami. Zwierzęta przekraczają drogi od lat, czasem robią to wielokrotnie, bez żadnych konsekwencji. W przypadku dwóch ostatnich potrąceń doszło do bardzo podobnego scenariusza: zwierzęta nagle pojawiły się na drodze i znalazły się pod kołami samochodu.

Coraz mniej miejsca dla zwierząt

Wakacje oznaczają dla Tatr jedno: tłum. Na szlakach pojawiają się tysiące ludzi, a na drogach prowadzących przez Podhale – sznury samochodów. Przestrzeń, którą zwierzęta przez lata traktowały jako swoją, staje się coraz bardziej podzielona.

Czy niedźwiedzie czują się osaczone? – Problem leży bardziej po stronie organizacyjnej i po stronie zarządzania tym ruchem – odpowiada Filip Zięba. TPN podkreśla, że kluczowe znaczenie ma pozostawienie zwierzętom przestrzeni wolnej od człowieka. – Jest ona dla tatrzańskich zwierząt niezwykle istotna – mówi wicedyrektor Parku. Dlatego tak ważne jest przestrzeganie zasady pozostawania na wyznaczonych szlakach.

W ostatnich tygodniach uwagę turystów przyciąga jeszcze jedna historia. Dotyczy niedźwiedzicy z trzema młodymi, regularnie pojawiającej się w rejonie Doliny Chochołowskiej. Turyści fotografują ją, filmują i publikują nagrania w internecie. TPN ją obserwuje.

Na razie zwierzę zachowuje bezpieczny dystans i nie stwarza bezpośredniego zagrożenia dla ludzi. Ale sytuacja może się bardzo szybko zmienić. – Wystarczy jedno nieodpowiedzialne zachowanie ze strony turystów, na przykład podrzucenie kanapki czy zbyt bliskie podejście w celu zrobienia zdjęcia, aby wywołać reakcję drapieżnika, która może doprowadzić do niebezpiecznego incydentu – ostrzega Zięba.

I właśnie tego TPN najbardziej się obawia: nie niedźwiedzia, który spokojnie przechodzi przez las, tylko człowieka, który chce podejść jeszcze metr bliżej.

Pracownicy TPN nie mogą być wszędzie. Dlatego proszą turystów o reakcję również wtedy, gdy zauważą niewłaściwe zachowanie innych osób. – Chcielibyśmy, aby wśród tego ogromnego tłumu odwiedzającego Tatry byli ludzie, którzy staną się naszymi sprzymierzeńcami i strażnikami – tłumaczy Zięba.

Jeżeli ktoś schodzi ze szlaku, próbuje podejść do niedźwiedzia, dokarmia go albo robi zdjęcie z bardzo bliskiej odległości – powinien zostać upomniany. Bo niedźwiedź, który zaczyna kojarzyć człowieka z łatwym dostępem do jedzenia, może stać się problemem nie tylko dla siebie.

Przeszkoda, nie droga

Śmierć niedźwiedzia wzbudza ogromne emocje. To jeden z najbardziej charakterystycznych i chronionych mieszkańców Tatr. Ale problem jest znacznie większy: na drogach giną również lisy, zające, sarny i inne zwierzęta. O ich śmierci mówi się zdecydowanie mniej. – Na ten problem trzeba patrzeć globalnie, w kategorii śmierci zwierząt na drogach w ogóle, niezależnie od tego, czy ginie niedźwiedź, czy wiewiórka – podkreśla wicedyrektor TPN. Droga przecinająca las jest dla człowieka szlakiem komunikacyjnym. Dla zwierzęcia może być po prostu przeszkodą, której nie rozumie. ●

wyborcza.pl

WYBIERZ SWÓJ PAKIET PRENUMERATY

• **Wejdź: Wyborcza.pl/prenumerata**

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraków/34447891

INFORMACJA

PREZYDENT MIASTA TARNOWA

informuje,

że w budynku Urzędu Miasta Tarnowa – ul. Nowa 3 i Nowa 4, na tablicy ogłoszeń został wywieszony wykaz nieruchomości stanowiących własność **Gminy Miasta Tarnowa**, przeznaczonych do wydzierżawienia w trybie bezprzetargowym:

1. dzierżawy działki nr 85/1 obr. 308 o pow. 522 m², położonej przy Al. Tarnowskich w Tarnowie, stanowiącej uzupełnienie do działki nr 85/2 obr. 308, na okres 5 lat;
2. części działek nr 356/1, 388/1 w obr. 8 o pow. łącznej 133 m², położonych w rejonie ul. Niezapominajek – ul. Sadowej w Tarnowie, stanowiących uzupełnienie do działki nr 356/2 w obr. 8, na okres 5 lat;
3. części działek nr 356/1, 387/1 w obr. 8 o pow. łącznej 133 m², położonych w rejonie ul. Niezapominajek – ul. Sadowej w Tarnowie, stanowiących uzupełnienie do działki nr 356/2 w obr. 8, na okres 5 lat;
4. działki nr 214/11 w obr. 286 o pow. 93 m², położonej przy Armii Krajowej w Tarnowie, stanowiącej uzupełnienie do własności tj. do działki nr 22/14 obr. 286, na okres 5 lat;
5. działki nr 201/5 w obr. 327 o pow. 147 m², położonej przy ul. Batalionów Chłopskich – Armii Krajowej w Tarnowie, stanowiącej uzupełnienie do własności tj. do działki nr 100 obr. 327, na okres 5 lat;
6. części działki nr 200/3 w obr. 327 o pow. 56 m², położonej przy ul. Batalionów Chłopskich w Tarnowie, stanowiącej uzupełnienie do własności tj. do działki nr 66 obr. 327, na okres 5 lat;
7. części działki nr 200/3 w obr. 327 o pow. 98 m², położonej przy ul. Batalionów Chłopskich w Tarnowie, stanowiącej uzupełnienie do własności tj. do działki nr 65 obr. 327, na okres 5 lat;
8. części działki nr 200/3 w obr. 327 o pow. 145 m², położonej przy ul. Batalionów Chłopskich w Tarnowie, stanowiącej uzupełnienie do własności tj. do działki nr 64 obr. 327, na okres 5 lat.
9. części działki nr 163/12 obr. 230 o pow. 10 m², położonej w rejonie ul. Chopina – ul. Rogoyskiego w Tarnowie z przeznaczeniem pod altanę śmietnikową, na okres 3 lat.

Informacja pod numerem telefonu 14 68 82 770.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraków/34447791

Skawina, dnia 10.08.2026 r.

INFORMACJA

Burmistrz Miasta i Gminy Skawina informuje, że wykazy dot. dzierżawy nieruchomości ozn. jako:
1. dz. nr 2063/38 część o pow. 0,0286 ha, poł. w Skawinie;
2. dz. nr 3224 o pow. 0,15 ha, poł. w Woli Radziszowskiej;
3. dz. nr 910 o pow. 0,84 ha, poł. w Woli Radziszowskiej;
4. dz. nr 3667/97 część o pow. 0,0396 ha, poł. w Skawinie;

zostały wywieszone na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta i Gminy w Skawinie, ul. Rynek 3, na okres 21 dni w terminie od dnia 10 sierpnia 2026 r. do dnia 30 sierpnia 2026 r. Wykazy zostały również zamieszczone na stronie internetowej www.gminaskawina.pl w zakładce Urząd i Rada (Ogłoszenia urzędowe) i w Biuletynie Informacji Publicznej. Szczegółowe informacje zamieszczono w wykazach. Informacji udziela Wydział Mienia i Geodezji Urzędu Miasta i Gminy w Skawinie, ul. Rynek 3, pok. nr 5, tel. (12) 277-01-55.

eprasa.pl 883d017d18

Kościół reaguje na przemoc wobec Ukraińców

Przemoc uderza w dobro wspólne

Jak podało MSWiA, w całej Polsce rośnie liczba aktów przemocy na tle narodowościowym wobec Ukraińców. Głośno było np. o brutalnym pobiciu pary młodych we Wrocławiu. Tymczasem to miasto, w którym wrogość wobec uchodźców powinna być szczególnie piętnowana – uważa katolicka Fundacja Obserwatorium Społeczne.

Magda Nogaj

Pod koniec lipca dwoje Ukraińców zostało pobitych po wyjściu ze sklepu Żabka we Wrocławiu. Zaatakowali ich mężczyźni, którym nie spodobał się wschodni akcent pary. Nie była to odosobniona sytuacja. W środę, 12 sierpnia, jeden z internautów zamieścił na platformie X film z wrocławskiego Rynku. Nagranie zaczyna się niewinnie, ale szybko okazuje się, że nawet niewinna zabawa może się skończyć ksenofobicznym atakiem.

„Trwała symulowana walka maskotki z panem w czerwonej koszulce. Do akcji wkroczyła grupka facetów i pobiła brutalnie faceta, krzycząc antyukraińskie hasła. Okazało się, że pobitym był Polak. Bili też Polacy. Co za patologia" – napisał użytkownik. Inni komentowali, że takich zdarzeń będzie więcej, jeśli prawicowi politycy nie przestaną straszyć imigrantami i szczuć na nich.

Ofiarami wrogości wobec Ukraińców padają nawet dzieci. W lipcu 26-latka uderzyła trójkę 13-letnich dziewczynek w Legnicy, które bawiły się na placu zabaw. Kobieta, która sama przyszła z dwójką dzieci, zwróciła małym uchodźczyniom uwagę, by mówiły po polsku.

Przemoc a katolicka nauka

Do takich wydarzeń odnosi się oświadczenie Fundacji Obserwatorium Społeczne, która została ustanowiona przez Archidiecezję Wrocławską. Czytamy w nim: „Z głębokim niepokojem przyjmujemy informacje o aktach przemocy, których motywacją stają się różnice narodowościowe, etniczne czy religijne. Każdy taki akt, niezależnie od tego, kto jest jego sprawcą, a kto ofiarą, wymaga jednoznacznego sprzeciwu. Nie ma i nie może być usprawiedliwienia dla agresji wobec drugiego człowieka ze względu na jego

pochodzenie, narodowość, język czy wyznanie". Fundacja podkreśliła, że Wrocław i Dolny Śląsk są miejscem, którego historia została ukształtowana przez ludzi doświadczonych wojną, utratą domu i przymusową wędrówką. „Dlatego szczególnie tutaj powinniśmy umieć dostrzegać cierpienie drugiego człowieka i odpowiadać na nie solidarnością" – wyjaśniają autorzy oświadczenia.

Piszą też, że „katolicka nauka społeczna przypomina, że godność każdej osoby ludzkiej, solidarność, troska o dobro wspólne i poszanowanie zasady sprawiedliwości nie są jedynie postulatami życia prywatnego, ale powinny kształtować relacje społeczne i sposób organizowania wspólnoty. Przemoc, pogarda i wykluczenie uderzają nie tylko w pojedynczego człowieka, lecz także w dobro wspólne całej społeczności".

Reakcja katolika

Obserwatorium Społeczne przywołało przykład kardynała Bolesława Kominka: „Uczył, że przyszłość narodów buduje się na pojednaniu, a nie na wrogości". Podkreśliło też słowa błogosławionego kardynała Stefana Wyszyńskiego: „Kto nienawidzi, ten już przegrał".

Autorzy uważają, że warto pamiętać także o wrocławskiej świętej, Teresie Benedykcie od Krzyża OCD – Edycie Stein. Zginęła w Auschwitz-Birkenau. Jej przykład pokazuje więc, do czego prowadzi dehumanizacja drugiego człowieka. Według fundacji „w tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera zasada solidarności. Nie oznacza ona bezkrytycznej zgody na wszystko, lecz gotowość do stawania po stronie człowieka, którego godność została zagrożona. Społeczeństwo nie może budować swojej przyszłości na lęku, pogardzie i wzajemnej wrogości".

Obserwatorium zaapelowało o odpowiedzialność za słowa i czyny: „Mowa pogardy rodzi przemoc, a chrześcijanin nie może być jej uczestnikiem ani biernym świadkiem. Każdy z nas ma wpływ na to, czy przestrzeń publiczna będzie miejscem wzajemnego szacunku i dialogu, czy też stanie się przestrzenią pogardy i wykluczenia. Jednocześnie apelujemy o zdecydowane reagowanie na wszelkie akty przemocy i konsekwentne egzekwowanie prawa".

W oświadczeniu czytamy też: „Niech Wrocław pozostanie miastem spotkania, dialogu i pojednania – wiernym dziedzictwu kardynała Kominka i Edyty Stein. Niech będzie również wspólnotą, w której godność każdego człowieka, solidarność i troska o dobro wspólne znajdują wyraz nie tylko w słowach, lecz także w codziennych postawach i działaniach". ●

wyborcza.pl

• Więcej czytaj na wroclaw.wyborcza.pl

Czytelnik o problemach z biletomatem

„Zabrał pieniądze i był cały w wymiocinach"

– Zamiast pokazać zagranicznym gościom Wrocław z jak najlepszej strony, musiałem tłumaczyć się z niesprawnego, brudnego biletomatu – opisuje pan Wiktor.

Pan Wiktor relacjonuje w liście do „Wyborczej", że chciał skorzystać z urządzenia zlokalizowanego przy ul. Kołłątaja i Podwale we Wrocławiu. „W sobotę, 1 sierpnia, około godz. 18.50 próbowałem zakupić bilety komunikacji miejskiej. Do automatu wrzuciłem bilon o łącznej wartości 15 zł. Automat przyjął pieniądze, po czym nie wydał biletów ani nie zwrócił wpłaconej kwoty. W efekcie nie tylko nie mogłem kupić biletów, ale również bezpowrotnie straciłem 15 zł" – pisze.

Utrata pieniędzy nie była jedynym problemem. Jak dalej relacjonuje pan Wiktor, urządzenie pozostawało w stanie całkowicie uniemożliwiającym korzystanie z niego, bo było pokryte wymiocinami. Pan Wiktor dodaje: „To po prostu wstyd i bardzo zły obraz zarówno Wrocławia, jak i Polski w oczach zagranicznych gości".

Zwróciliśmy się o komentarz do Wydziału Transportu Urzędu Miejskiego Wrocławia, który nadzoruje system biletowy i współpracę z Mennicą Polską. Joanna Urbańska-Jaworska z biura prasowego wrocławskiego magistratu relacjonuje, że 3 sierpnia do urzędu wpłynęła reklamacja dotycząca biletomatu nr 581 – otrzymała ją również Mennica Polska, operator systemu. – Urządzenie zostało niezwłocznie sprawdzone i naprawione 4 sierpnia o godz. 6.42. Biletomat został wyczyszczony, zdezynfekowany oraz sprawdzony pod względem technicznym – dodaje.

Urząd przypomina, że w sytuacji, gdy biletomat pobiera pieniądze, ale nie wydaje biletu, pasażer może złożyć reklamację do Biura Obsługi Klienta Mennicy Polskiej lub za pośrednictwem Wydziału Transportu.

Na terenie Wrocławia funkcjonuje ponad 160 biletomatów. ●

Jessica Krysiak

www.nekrologi.wyborcza.pl/34447958

Z ogromnym smutkiem informujemy, że dnia 7 sierpnia 2026 roku odszedł

dr hab. inż. arch.

Paweł Kirchke

Członek SARP O/Wrocław od 1982 r.,
wybitny pedagog, promotor i mentor wielu pokoleń, badacz i ekspert w dziedzinie obiektów zabytkowych, recenzent książek i publikacji.

Wspominany jako wspaniały kolega,
aktywnie współpracujący z kolegami architektami ze stowarzyszenia

Uroczystości pogrzebowe odbędą się we wtorek,
18 sierpnia 2026 roku , o godz. 11.20
na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu.

W obliczu tej bolesnej straty łączymy się z

Rodziną i Bliskimi,

którym składamy najszczersze wyrazy współczucia

Zarząd SARP O/Wrocław
oraz
koleżanki i koledzy architekci

www.nekrologi.wyborcza.pl/34447951

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

architekta

Pawła Kirschke

Żegnamy wybitnego architekta, badacza i znawcę historycznej architektury,
a przede wszystkim człowieka niezwykłej życzliwości i skromności.

Przez wiele lat mieliśmy zaszczyt współpracować z Pawłem,
czerpiąc z Jego ogromnej wiedzy, doświadczenia i pasji.
Pozostanie w naszej pamięci jako wspaniały fachowiec i wyjątkowy człowiek.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Maćków Pracownia Projektowa

www.nekrologi.wyborcza.pl/34447902

Dnia 7 sierpnia 2026 roku zmarł

ŚP

Paweł Kirschke

Żegnaj Starszy Bracie!

Byłeś niedoścignionym wzorem i najlepszym przyjacielem.
Nasze drogi rozeszły się zbyt wcześnie.
Pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci.

Pogrążony w smutku i żalu

Piotr z żoną Claudią

Pogrzeb w dniu 18 sierpnia 2026 roku o godzinie 11:20 na cmentarzu Osobowicki

1 S3

eprasa.pl 883d017d18

NEWSLETTERY
WYBORCZEJ

Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny
Nasi najlepsi redaktorzy.

Możesz wybrać z bogatej oferty ponad **40** różnych newsletterów.

Zapisz się na:
wyborcza.pl /newslettery

wyborcza.pl

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe

KARAWAN GRUPA FIRM POGRZEBOWYCH
TRADYCJE OD 1981 ROKU

CAŁĄ DOBĘ
również w Niedziele i Święta
12 411 11 11
12 658 21 11

ul.Bieżanowska 24 (8.00 - 20.00 - tel. całą dobę)	Tel.12 658 21 11	ul.Sieroszewskiego 5B (8.00 - 15.30 - tel. całą dobę)	Tel.12 686 61 45
ul.Rakowicka 26a (8.00 - 18.00 (XI-IV godz 8.00-16.00))	Tel.12 222 00 30	ul.Dolnych Młynów 3 (8.00 - 15.00)	Tel.12 632 11 22
ul.Rakowicka 33a (8.00 - 16.00)	Tel.12 412 89 83	ul.Reduta 3B (Cm. Batowice - 8.00 - 15.00)	Tel.12 222 50 49
Cm. Batowice (ul. Powstańców - 8.00 - 15.30)	Tel.12 413 63 46	ul. Ćwiklińskiej 10 (8.00 - 15.00)	Tel. 606 793 279
Cm. Grębałów (8.00 - 15.30)	Tel.12 645 14 35	ul.Wrocławska 8 (8.00 - 16.00)	Tel.12 631 77 95

www.karawan.pl

Kraków/34444699

Prezydent Miasta Opola
zawiadamia,

że na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Opola przy ul. płk. W. Pileckiego 1,
(hol budynku Centrum Usług Publicznych)
podawane są do publicznej wiadomości na okres 21 dni:

1. wykaz garażu przeznaczonego do najmu w drodze przetargu – garaż nr 29 położony przy ul. Budowlanych w Opolu (dz. nr 3/109 obręb Opole),
2. wykaz garażu przeznaczonego do najmu w drodze przetargu – garaż nr 151 położony przy ul. Budowlanych w Opolu (dz. nr 3/147 obręb Opole),
3. wykaz lokalu użytkowego przeznaczonego do najmu w drodze przetargu – lokal użytkowy położony w Opolu przy ul. Krakowskiej 51 (dz. nr 2142 obręb Opole),

Dodatkowo pełną informację o ww. wykazach nieruchomości można znaleźć na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miasta Opola, w zakładce ogłoszenia: https://www.bip.um.opole.pl.

Wrocław/34447963

ŚRÓDMIEJSKA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA W CZĘSTOCHOWIE
przy Al. Armii Krajowej 1/3

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY NA WYNAJĘCIE LOKALU UŻYTKOWEGO.

Przetarg odbędzie się w siedzibie Spółdzielni jw. w pokoju nr 218

W dniu 25 sierpnia 2026 roku o godz.10.00 – lokal użytkowy przy ul. Zana 9 lok. 80
o pow. użytk. 44,00 m² stawka wyjściowa – 15,00 zł/m² wadium 660,00 zł

Warunkiem udziału w przetargu jest wpłata wymaganego wadium na konto Spółdzielni **24 1160 2202 0000 0000 3186 7006** najpóźniej 2 dni przed przetargiem oraz złożenie pisemnego oświadczenia o zapoznaniu się z warunkami przetargów. Oświadczenie należy złożyć w pokoju 214 .

Z regulaminem przetargów można zapoznać się w Spółdzielni (p.214) oraz w Administracji Osiedla „Trzech Wieszczów" przy ul. Boh.Monte Cassino 10 i Administracji Osiedla „Śródmieście" przy ul Kościuszki 3. Informacje o lokalach są udzielane w siedzibach jw. oraz telefonicznie pod numerem 34 372-36-22. Spółdzielnia zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu bez podawania przyczyn.

Częstochowa/34447959

INFORMACJA
Starosta Częstochowski,

wykonujący zadanie z zakresu administracji rządowej w odniesieniu do nieruchomości stanowiących własność Skarbu Państwa informuje, zgodnie z art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2026 r., poz. 399), że w dniu 13 sierpnia 2026 r. wywieszono na okres 21 dni, na tablicy ogłoszeń w siedzibie Starostwa Powiatowego w Częstochowie, ul. Sobieskiego 9

wykaz nieruchomości Skarbu Państwa przeznaczonej do sprzedaży w drodze bezprzetargowej, położonej w miejscowości Koniecpol, gmina Koniecpol oznaczonej w ewidencji gruntów i budynków jako działka nr 1461/8 o pow. 0,0237 ha

Wykaz umieszczony został również na stronach internetowych Starostwa:
strona www: http://www.czestochowa.powiat.pl., strona BIP: http:// powiat–czestochowski.4bip.pl.
oraz na stronie podmiotowej wojewody w Biuletynie Informacji Publicznej.

Szczegółowe informacje dot. nieruchomości można uzyskać w Starostwie Powiatowym w Częstochowie, ul. Sobieskiego 9, od poniedziałku do piątku w godzinach urzędowania (I piętro, pokój nr 127 lub tel. 34 3229-233).

Częstochowa/34447964

Burmistrz Miasta i Gminy Wleń informuje,

że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta i Gminy Wleń na okres 21 dni wywieszono

wykaz nieruchomości przeznaczonych do dzierżawy

podany do publicznej wiadomości zarządzeniem Burmistrza Miasta i Gminy Wleń o numerze 0050.51.2026 z dnia 11 sierpnia 2026 r. Wykaz został również opublikowany w BIP.

Wrocław/34447901

WÓJT GMINY KOBIERZYCE
informuje,
że na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Gminy Kobierzyce, Aleja Pałacowa 1 oraz w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Gminy Kobierzyce od dnia 13.08.2026 r. do dnia 02.09.2026 r. wywieszono

WYKAZ NIERUCHOMOŚCI

przeznaczonej do dzierżawy na cele rolne w trybie przetargu ustnego nieograniczonego położonej w obrębie Żurawice – działka ewid. nr 56.

Wrocław/34447961

GAZETA wyborcza
DLA FIRM, URZĘDÓW I INSTYTUCJI

Przetargi • Ogłoszenia
Nekrologi

kontakt_komunikaty@wyborcza.pl
nekrologi@wyborcza.pl

Komunikaty.pl

nekrologi.wyborcza.pl

KURYŁÓWKA

INFORMACJA

Wójt Gminy Kuryłówka

informuje, że w dniu 17.08.2026 r. na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Gminy Kuryłówka oraz na stronie internetowej Gminy Kuryłówka (BIP) został zamieszczony

wykaz nieruchomości przeznaczonych do dzierżawy.

Wykaz zostaje wywieszony na 21 dni.

Szczegółowe informację zawiera wykaz lub można uzyskać pod nr telefonu 17 249 95 34.

Rzeszów/34446876

AU-01-6.6740.4.14.2026.EŚW

Obwieszczenie Prezydenta Miasta Krakowa
o wydaniu zezwolenia na realizację inwestycji drogowej

Na podstawie art. 49 i art.10 § 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) w związku z art. 11f ust. 3 Ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz. U. z 2024 r., poz. 311)

Prezydent Miasta Krakowa zawiadamia,

że w dniu **12.08.2026r., została wydana decyzja nr 20/6740.4/2026, znak: AU-01-6.6740.4.14.2026.EŚW, o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej pn.:**

Budowa odcinka drogi kategorii gminnej klasy dojazdowej – ulicy Dolnej (602329K), przebudowa drogi kategorii gminnej klasy dojazdowej – ulicy Dolnomłyńskiej (602330K), wraz z budową i przebudową infrastruktury naziemnej i podziemnej w Krakowie

na działkach ewidencyjnych oznaczonych numerami:

a) w liniach rozgraniczających teren budowanej drogi ulicy Dolnej (602329 K), – zgodnie z przepisem art. 11f ust. 1 pkt 2 ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych: *działki w całości*: 118/8 (118/6), *działki w części*: 383, położonych w obrębie ewidencyjnym 0049, j. ewid. 126103_9 Nowa Huta;

b) w granicach pasów drogowych innych dróg publicznych, w tym terenów dla których istnieje potrzeba ustalenia obowiązku przebudowy innych dróg publicznych zgodnie z przepisem art. 11f ust. 1 pkt 2 oraz art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. g ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych – w zakresie istniejącej drogi gminnej (602330 K) – ulicy Dolnomłyńskiej: *działki w części*: 360/3, położonych w obrębie ewidencyjnym 0049, j. ewid. 126103_9 Nowa Huta;

c) w granicach terenu, dla którego istnieje potrzeba ustalenia obowiązku budowy lub przebudowy sieci uzbrojenia terenu zgodnie z przepisem art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. e ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych: *działki w części*: 360/3, położonych w obrębie ewidencyjnym 0049, j. ewid. 126103_9 Nowa Huta;

d) w granicach terenu, dla którego istnieje potrzeba ustalenia obowiązku budowy lub przebudowy zjazdów zgodnie z przepisem art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. h ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych: *działki w części*: 116/1, 117/1 położonych w obrębie ewidencyjnym 0049, j. ewid. 126103_9 Nowa Huta;

e) w granicach terenu, dla którego istnieje potrzeba ustalenia obowiązku i terminów rozbiórki istniejących obiektów budowlanych nieprzewidzianych do dalszego użytkowania, zgodnie z przepisem art. 11f ust. 1 pkt 8 lit. c ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych: *działki w części*: 360/3, położonych w obrębie ewidencyjnym 0049, j. ewid. 126103_9 Nowa Huta;

(przed nawiasem podano nr działki powstającej w wyniku podziału, natomiast w nawiasie podano nr działki, która podlega podziałowi).

Decyzja zawiera rozstrzygnięcia w zakresie udzielenia zezwolenia na realizację ww. inwestycji drogowej, w tym w szczególności dotyczące ustalenia: linii rozgraniczających teren budowanej drogi gminnej; obowiązku przebudowy innych dróg publicznych; obowiązku budowy sieci uzbrojenia terenu, obowiązku budowy zjazdów, obowiązku rozbiórki; zatwierdzenia podziału nieruchomości; oznaczenia nieruchomości, które stają się własnością właściwej jednostki samorządu terytorialnego lub Skarbu Państwa; zatwierdzenia projektu zagospodarowania terenu oraz projektu architektoniczno-budowlanego; określenia szczególnych warunków zabezpieczenia terenu budowy i prowadzenia robót budowlanych; określenia szczegółowych wymagań dotyczących nadzoru na budowie oraz określenia terminu wydania nieruchomości położonych w liniach rozgraniczających teren planowanej inwestycji na 121 dzień od dnia, w którym decyzja o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej stanie się ostateczna.

Ww. decyzji został nadany rygor natychmiastowej wykonalności.

Decyzja, której został nadany rygor natychmiastowej wykonalności, zgodnie z art. 17 ust. 3 specustawy, zobowiązuje do niezwłocznego wydania nieruchomości, opróżnienia lokali i innych pomieszczeń, uprawnia do faktycznego objęcia nieruchomości w posiadanie przez właściwego zarządcę drogi, uprawnia do rozpoczęcia robót budowlanych oraz uprawnia do wydania przez właściwy organ dziennika budowy.

Strony postępowania mogą zapoznać się z treścią decyzji w Wydziale Architektury i Urbanistyki Urzędu Miasta Krakowa, ul. Mogilska 41, 31-545 Kraków od poniedziałku do piątku w godzinach pracy urzędu. Zaleca się wcześniejsze uzgodnienie terminu spotkania telefonicznie pod numerem telefonu (0-12) 616-58 67.

Od ww. decyzji służy stronom odwołanie do Wojewody Małopolskiego ul. Basztowa 22, 31-156 Kraków, za pośrednictwem Wydziału Architektury i Urbanistyki Urzędu Miasta Krakowa, ul. Mogilska 41, 31-545 Kraków, adres do doręczeń elektronicznych organu (AE:PL-44247-71066-ISSHB-24), w terminie 14 dni od dnia jej doręczenia. Zgodnie z art. 11g ust. 1a specustawy odwołanie strony od decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej zawiera zarzuty odnoszące się do tej decyzji, określa istotę i zakres żądania będącego przedmiotem odwołania oraz wskazuje dowody uzasadniające to żądanie.

Nadmienia się, że zgodnie z art. 63 ustawy Kodeks postępowania administracyjnego podania (żądania, wyjaśnienia, odwołania, zażalenia) wnosi się na piśmie, za pomocą telefaksu lub ustnie do protokołu. Podania utrwalone w postaci elektronicznej wnosi się na adres do doręczeń elektronicznych lub za pośrednictwem konta w systemie teleinformatycznym organu administracji publicznej. Jeżeli przepisy odrębne nie stanowią inaczej, podania wniesione na adres poczty elektronicznej organu administracji publicznej pozostawia się bez rozpoznania.

Wyjaśnia się, że doręczenie ww. decyzji uważa się za dokonane w dniu odbioru decyzji przez wnioskodawcę, a dla pozostałych stron po upływie 14 dni od dnia publicznego ogłoszenia, tj. ukazania się niniejszego obwieszczenia o wydaniu ww. decyzji, zgodnie z art. 49 ustawy Kodeks postępowania administracyjnego.

W odwołaniu od decyzji strony mogą złożyć wniosek o przeprowadzenie przez organ II instancji postępowania wyjaśniającego w zakresie niezbędnym do rozstrzygnięcia sprawy.

Przed upływem terminu do wniesienia odwołania strona może zrzec się prawa do wniesienia odwołania. Z dniem doręczenia Prezydentowi Miasta Krakowa oświadczenia o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania przez ostatnią ze stron postępowania, decyzja staje się ostateczna i prawomocna.

Informuje się, że obwieszczenie Prezydenta Miasta Krakowa podlega zamieszczeniu na tablicy ogłoszeń urzędowych Urzędu Miasta Krakowa oraz w urzędowym publikatorze teleinformatycznym Biuletynie Informacji Publicznej UMK, a także w prasie lokalnej.

Ww. przepis zobowiązuje także organ wydający decyzję do przesłania zawiadomienia o wydaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej dotychczasowemu właścicielowi lub użytkownikowi wieczystemu na adres określony w katastrze nieruchomości. Doręczenie zawiadomienia na adres wskazany w katastrze nieruchomości jest skuteczne.

Kraków/34447811

eprasa.pl 883d017d18

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NEWSLETTERY WYBORCZEJ

Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny
Nasi najlepsi redaktorzy.

Możesz wybrać z bogatej oferty
ponad **40** różnych newsletterów.

Zapisz się na:

wyborcza.pl/newslettery

wyborcza.pl

eprasa.pl 883d017d18

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nowa gra Skojarzenia

Łączysz fakty? Sprawdź się

Graj za darmo w APLIKACJI WYBORCZEJ

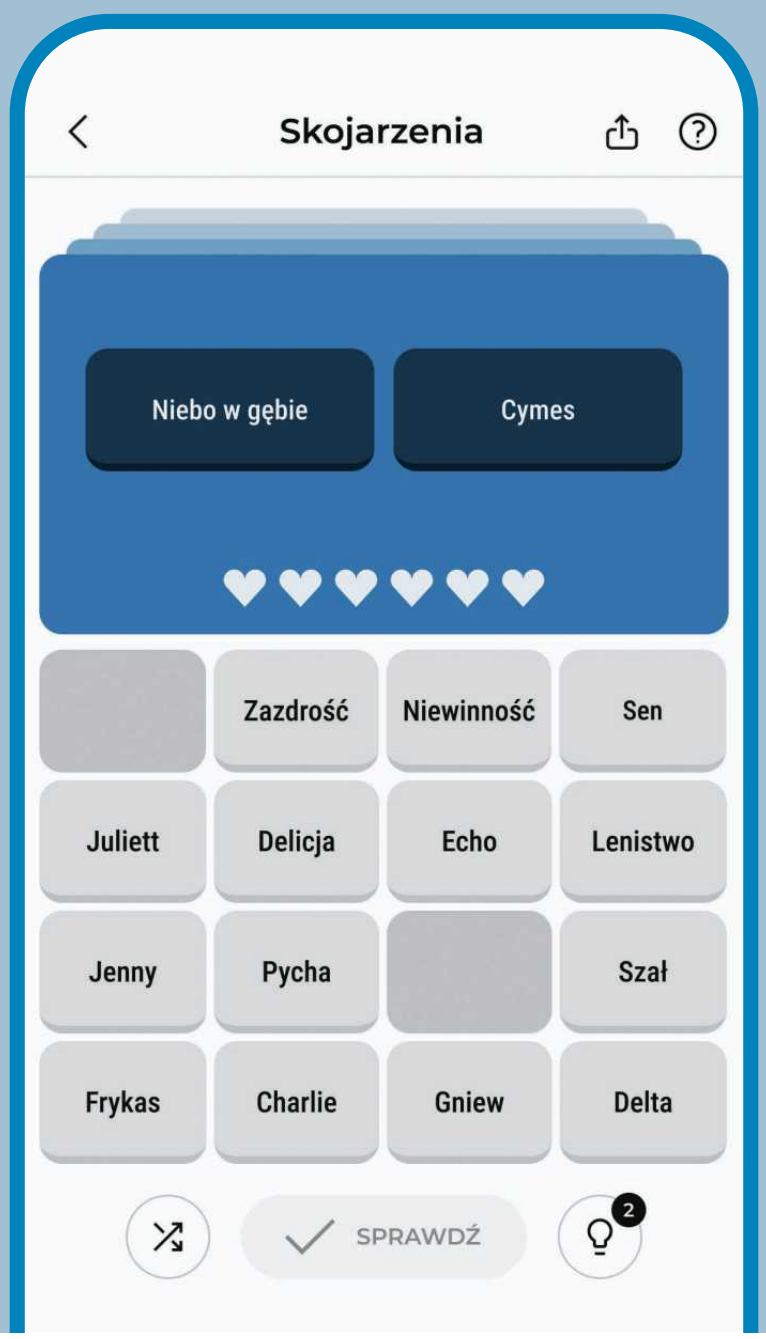

eprasa.pl 883d017d18

Iga Świątek: Radość, szczęście, euforia. Znów jest pięknie!

Czy w nieco ponad tydzień można rozprawić się z tym, co męczyło nas przez rok? Iga Świątek pokazuje, że tak. Pokonując 6:2, 6:3 Jelenę Rybakinę w finale turnieju WTA 1000 w Toronto polska tenisistka odebrała coś więcej niż okazałe trofeum i czek.

Łukasz Jachimiak

• **Iga Świątek świętuje zwycięstwo z maskotką kortów w Toronto – golden retrieverem o imieniu Elway**
FOT. REUTERS / JOHN E. SOKOLOWSKI

Jelena Rybakina nie dała Idze Świątek szans w ćwierćfinale Australian Open. Marta Kostiuk równie bezlitośnie zagrodziła Polce drogę do ćwierćfinału Rolanda Garrosa. A Elina Switolina sprowadzała Świątek na ziemię w ćwierćfinale w Indian Wells i w półfinale w Rzymie. Cztery tegoroczne porażki z tymi trzema rywalkami musiały Igę boleć. A teraz w kilka dni Iga Świątek pokonała Switolinę, Kostiuk i Rybakinę w Toronto. Dzięki czemu? Sama o tym powiedziała w trakcie turnieju. – Czuję, że najbardziej stresująca część sezonu już się skończyła – stwierdziła po wygranym ćwierćfinale (z Dianą Sznajder). A po finale z Rybakiną Świątek wymownie wskazywała na swoją głowę.

Mecz po meczu w Toronto widzieliśmy, że Świątek się odnajduje. Do Kanady przyleciała z kiepskim jak na swoje standardy bilansem sezonu. Miała wygrane 23 mecze przy 12 przegranych. Mizernie dla kogoś, kto w 2022, 2023, 2024 i 2025 roku miał bilanse, kolejno: 67:9, 68:11, 64:9 i 64:17. Aż do teraz Świątek nie wygrała w tym sezonie żadnego turnieju. I nawet nie dotarła do finału. Na coś takiego czekała prawie rok, od września, gdy wygrała turniej w Seulu. Znowu odnieśmy to do minionych lat: od 2020 roku, gdy jako 19-latka sensacyjnie triumfowała w Rolandzie Garrosie, Świątek w każdym kolejnym sezonie wygrywała turnieje. Sześć lat z rzędu. W sumie to było aż 25 tytułów, w tym sześć wielkoszlemowych.

Świątek dźwigała zbyt duży ciężar. Teraz go zrzuciła

Presja powtarzania wielkich wyników, bronienia tytułów – to wszystko Świątek dźwiga na swoich barkach i widzieliśmy, jak jej ciążyło. Wymowne były łzy ulgi, jakimi reagowała po wyszarpaniu zwycięstwa w pierwszej rundzie Wimbledonu 2026, gdzie grała jako mistrzyni z 2025 roku. Znamienne były przeróżne trudne, emocjonalne reakcje w wielu turniejach w tym sezonie.

A teraz, w Toronto, wreszcie nasza tenisistka pokazała inne emocje – te, których dawno nie oglądaliśmy. Radość, szczęście, chwilami wręcz euforia. Teraz znów jest pięknie!

To wszystko rodziło się w bólach. Nie tylko bólach całego sezonu, w którym według Igi konieczna była nawet wymiana trenera (Wima Fissette'a zastąpił Francisco Roig). W Toronto Świątek też musiała pocierpieć. W czwartej rundzie z Kostiuk w pierwszym secie przegrała wszystkie swoje gemy serwisowe i po 17 serwisach wygrała tylko jeden punkt. Ale odwróciła to.

W półfinale ze Switoliną popełniała dużo niewymuszonych błędów (w sumie aż 54), podobnie jak w przegranych z nią meczach w Indian Wells i w Rzymie, bo Ukrainka taki ma styl, że wspaniale się broni i trudno zachować cierpliwość, gdy się ją atakuje. Ale tym razem w kluczowym momencie pojedynku Świątek nie pękła. I choć już naprawdę mocno się frustrowała (w serwisach społecznościowych furorę robi krótkie wideo z soczystym przekleństwem skierowanym przez Igę chyba do kogoś z jej sztabu), to jednak wytrzymała. Piękne było, jak od stanu 2:3 w decydującym secie nie dała „odjechać" serwującej wtedy przeciwniczce, tylko sama wrzuciła wyższy bieg i wkrótce po wygraniu już wszystkich gemów do końca słyszeliśmy jej firmowy okrzyk: „Jazda".

Okazało się, że Iga Światek może serwować lepiej nawet od tej tenisistki, która uchodzi za najlepszą na świecie w tym elemencie

Świątek jak skała. A na koniec wskazała na swoją głowę

A finał z Rybakiną? To było najlepsze! – Iga Świątek jest skałą – stwierdził w drugim secie komentujący mecz w Canal+ Sport Bartosz Ignacik. Wtedy Świątek kolejny raz przełamywała Kazaszkę. Okazało się, że Polka może serwować lepiej nawet od tej tenisistki, która uchodzi za najlepszą na świecie w tym elemencie. I że znów – jak za starych, dobrych czasów – Świątek potrafi rozumieć, że mocniej nie zawsze znaczy lepiej.

Na siłę fizyczną Rybakiny odpowiadała inteligencją, sprytem. W pierwszym secie, wygranym gładko 6:2 w równo pół godziny, Świątek zagrała tylko dwa uderzenia kończące. Ale czy to jakiś problem, skoro popełniła zaledwie trzy niewymuszone błędy? Teoretycznie grę prowadziła rywalka (miała 6 winnerów i 12 niewymuszonych błędów), ale tak naprawdę to były tylko pozory. Świątek potrafiła przedłużyć niemal każdą wymianę. Kapitalnie biegała, w defensywie była wszędzie. A gdy przechodziła do ataku, budowała go cierpliwie, mądrze. Po prostu punktowała rywalkę, z którą nie opłacało się iść na zwarcie, na wymianę ciosów.

Co ogromnie cieszy, to wszystko Świątek pokazywała przez cały mecz. Nie było „falowania i spadania". Było metodyczne załatwianie sprawy. Była absolutna kontrola wydarzeń, choć przecież po drugiej stronie siatki grała jedna z najtrudniejszych rywalek Polki (do teraz bilans ich starć był remisowy: 6:6). I zarazem coraz poważniejsza kandydatka na nową numer 1 światowego tenisa (Rybakina jest druga i ma coraz mniejszą stratę do prowadzącej Aryny Sabalenki).

W całym finale Świątek popełniła zaledwie osiem niewymuszonych błędów. A Rybakina – 23. W winnerach był prawie remis: 11 uderzeń kończących zagrała Polka, a 13 Kazaszka.

Wielkie gratulacje i zarazem wielkie „ufff"! Bo przecież martwiliśmy się, widząc, jak przez wiele tygodni Świątek się miotała i słuchając, jak mówiła, że tenis jej nie cieszy oraz że stres ją usztywnia.

Pięknie jest przeżywać zwycięstwa najlepszej polskiej sportsmenki XXI wieku. Widząc, jak Polka świętuje 26. tytuł WTA w karierze, cieszymy się razem z nią. I liczymy na więcej. Bo wiemy, że ona sama na to liczy i bardzo tego chce.

To może być kolejny przełom w karierze byłej liderki światowego rankingu (teraz awansuje z miejsca ósmego na piąte). Odzyskując przekonanie, że może wszystko, Świątek może mieć świetną końcówkę sezonu, z wielkoszlemowym US Open już wkrótce (startuje 30 sierpnia). Sezonu, o którym sama mówiła, że jest dla niej najtrudniejszy ze wszystkich, jakie dotąd rozgrywała.

A jeśli ktoś jeszcze ma wątpliwości, dzięki czemu Świątek podniosła się i wygrała ten turniej, niech popatrzy, jak tuż po ostatniej piłce finału wskazywała na swoją głowę, chyba komunikując się w ten sposób z siedzącą na trybunach psycholożką Darią Abramowicz. Świątek nie mogła bardziej dać do zrozumienia, że to w głowie jest klucz do sukcesu/sukcesów. ●

SPORT.PL

• **W niedzielę wieczorem, po zamknięciu tego wydania, Iga Świątek zagrała swój pierwszy mecz na turnieju w Cincinnati, z Kolumbijką Emilianą Arango (95. WTA).**

• **Relacja – na Sport.pl**

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34447980

Siarkopol Tarnobrzeg sp. z o.o.
ul. Zakładowa 50, 39-400 Tarnobrzeg

ogłasza pisemny przetarg nieograniczony na wykonanie zadania:

Opracowanie dokumentacji projektowo-kosztorysowej i uzyskanie pozwolenia na budowę dla magazynu energii pod istniejącą instalację fotowoltaiczną PV Jeziórko 3
znak 14-1/OM/26

Pełną treść ogłoszenia zamieszczono na stronie internetowej:

www.siarkopol.pl

34446289

wyborcza

REDAKCJA
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
KOLPORTAŻ: Michał Szałański
Problemy z dostępnością „Wyborczej" lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455

Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Bartosz Wysocki
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Polska Press
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

Natalia Bukowiecka ożywia wspomnienia o Irenie Szewińskiej

W polskim sporcie najlepsza jest Iga Świątek, a za nią jest Natalia Bukowiecka. I wcale nie chodzi o ostatnie dni, tylko o ostatnie lata. Srebrem mistrzostw Europy w Birmingham polska biegaczka kolejny raz dowiodła swej ogromnej klasy.

Łukasz Jachimiak

• **Natalia Bukowiecka po zdobyciu srebra mistrzostw Europy**
FOT. REUTERS / ANDREW BOYERS

SPORT.PL

- Relacje z meczów turniejów ATP i WTA w Cincinnati
- Co wydarzyło się w ostatnim dniu lekkoatletycznych mistrzostw Europy w Birmingham
- Podsumowanie pierwszej kolejki Ekstraklasy i pierwszych meczów nowego sezonu La Liga

Wiadomości, wyniki, historie sportowe znajdziesz na SPORT.PL

Zapraszamy na **Sport.pl+.** Subskrypcja za 1 zł miesięcznie przez pół roku. Płatność 6 zł z góry za 6 miesięcy, potem 9,90 zł co cztery tygodnie.

– Tak łatwo tego złota nie oddam – zapowiedziała Natalia Bukowiecka po półfinałach ME w Birmingham. Była w nich najszybsza, urwała pół sekundy z tego, co biegała przed mistrzostwami. W finale potężną kontrę wyprowadziła liderka europejskiej listy, Norweżka Henriette Jaeger. Ale srebro Polki to też dobra zapłata. Dlaczego zapłata? Bo, jak mówił w rozmowie ze Sport.pl trener Marek Rożej, razem z Bukowiecką poleciał do Birmingham po wynagrodzenie swojej pracy. Tak ciężkiej, żeby dała kolejny medal olimpijski za dwa lata.

Było zimno i wietrznie. To nie były warunki do bicia rekordów. Teoretycznie, bo kapitalnie przygotowanej Norweżce pogoda nie przeszkodziła. Wygrała finał ME z wynikiem 49,04 s – aż o sekundę wyprzedziła drugą na mecie Bukowiecką. Jaeger poprawiła najlepszy tegoroczny wynik w Europie, swój. Cóż, 23-latka z pewnością dołącza do gwiazd jednej z najpopularniejszych, najpowszechniej uprawianych na świecie konkurencji lekkoatletycznych. A Bukowiecka, znana przez lata jako Kaczmarek, kolejnym medalem potwierdza swój status. Po pierwszej: jednej z największych gwiazd 400 metrów, po drugie – jednej z największych gwiazd polskiego sportu.

Cały świat biega jedno okrążenie

Bukowiecka uprawia sport globalny. Konkurencja w jej dyscyplinie jest ogromna, na jedno okrążenie biega cały świat. Gdy w 2023 roku Natalia stanęła na podium mistrzostw świata, zdobywając srebro w Budapeszcie, to była pierwszą Europejką z medalem MŚ od dziesięciu lat i pierwszą białą zawodniczką z takim medalem od 14 lat. Gdy w 2024 roku zdobyła brąz na igrzyskach olimpijskich w Paryżu, została pierwszą Europejką na olimpijskim podium od 12 lat i pierwszą białą biegaczką na tym dystansie z medalem od 20 lat.

W tym roku Bukowiecka wywalczyła srebro halowych mistrzostw świata i teraz srebro mistrzostw świata na stadionie. Nieźle, jak na powrót do prawdziwego reżimu treningowego, z myślą już o igrzyskach Los Angeles 2028.

– Już pracujemy z myślą o igrzyskach w Los Angeles. Posmakowaliśmy olimpijskich sukcesów i wiemy, że nic się z nimi nie równa. Ale mistrzowskie imprezy po drodze zawsze będą dla nas ważne. Natalia poleci do Birmingham jako obrończyni mistrzostwa Europy i zapewniam, że jest głodna kolejnego sukcesu. Do tego jest zdrowa, widzę, że jej forma idzie w górę, więc nie możemy się doczekać zawodów – mówił nam nieco ponad tydzień temu trener Marek Rożej.

Szkoleniowiec tłumaczył, że jego zawodniczka wraca do swojej najwyższej normy treningowej po ubiegłorocznym „wypuszczeniu". Czyli po poluzowaniu mającym na celu zregenerowanie zarówno fizyczne, jak i psychiczne tak, żeby od 2026 roku znów móc znosić ogromne obciążenia.

Co warto podkreślić, to „wypuszczenie" nie oznaczało zjazdu na słaby poziom. Oznaczało czwarte miejsce na mistrzostwach świata. Ze świetnym wynikiem 49,27 s – najlepszym w historii dającym tylko czwarte miejsce, a nie medal MŚ bądź igrzysk.

Niezmęczona jak młodzieżówka

Bukowiecka, która w tym roku wróciła do kolekcjonowania medali, ma już w dorobku złoto, srebro i brąz z igrzysk olimpijskich, srebro z MŚ i dwa złota oraz trzy srebra z ME. Dodajmy jeszcze medale z hali: na MŚ dwa srebra i brąz, na ME – brąz. To wszystko wywalczyła między 2018 a 2026 rokiem.

Ma dopiero 28 lat. – Kiedyś, jak ktoś miał 30 lat, wszyscy oceniali, że zbliża się do końca kariery, a dziś już nie ma takiego myślenia. Zmiany są spowodowane przede wszystkim większą wiedzą trenerów i innym podejściem zawodników, którzy lepiej dbają o siebie, lepiej się odżywiają, profesjonalnie regenerują. Procesy starzenia się w sporcie naprawdę daje się opóźnić. I to mocno. My z Natalią z jednej strony mamy tę świadomość, a z drugiej jeszcze jeden wielki atut – ona wciąż ma jeszcze mały staż treningowy. Natalia bardzo późno zaczęła uprawianie lekkoatletyki [miała 15 lat]. Nawet na tle aktualnych młodzieżówek jej staż treningowy wygląda skromnie. Naprawdę pod tym względem jest jak młodzieżówka, dlatego mam nadzieję, że jeszcze kilka ładnych i mocnych lat przed nią. Myślę, że na igrzyska za dwa lata w Los Angeles mogą być na swoim rekordowym poziomie – mówi trener Rożej.

Rekord Szewińskiej pobity

To brzmi świetnie. A prawda jest taka, że Bukowiecka imponuje już tym, co wygrała do tej pory. W polskim sporcie przed nią jest dziś już chyba tylko Iga Świątek, bo Robert Lewandowski po transferze do Chicago Fire, a więc po zejściu z wielkiej sceny, już chyba nie. W każdy razie tylko z tymi naszymi dwiema światowymi gwiazdami tenisa i piłki nożnej Bukowiecka nie mogła się równać na przestrzeni kilku ostatnich lat. Ale czy ktoś inny na naszym podwórku ją wyprzedza(ł)? Ze sceny schodzi wspaniała mistrzyni wspinaczki Aleksandra Mirosław, mamy genialnych siatkarzy, mamy Bartosza Zmarzlika, który czarny żużel zamienia w złoto, mamy sportsmenkę roku 2025, kajakarkę Klaudię Zwolińską. Ale nikt z tego wspaniałego grona nie ma aż tak mocnej konkurencji, jak Bukowiecka.

Dziś, gdy zasadna staje się dyskusja czy najlepszą polską sportsmenką w historii była Irena Szewińska, czy już jest nią Iga Świątek, Bukowiecka ożywia wspomnienia o naszej wielkiej biegaczce. Szewińska to legenda, której pewnie nikt nie dorówna. To aż siedmiokrotna medalistka olimpijska, która na igrzyskach w 1976 roku pobiła rekord świata, a jej czas na 400 m – 49,28 s – aż do 2024 roku był rekordem Polski. Dopiero prawie 50 lat później pobiła go Bukowiecka, jeszcze wtedy Kaczmarek, zdobywając złoto ME 2024 w Rzymie (48,98).

Tamten rekord Natalii Kaczmarek i jej mistrzostwo Europy, a później kolejny rekord (48,90) i jej olimpijski brąz, traktowaliśmy już jako coś naturalnego. Bo już zdążyła nam pokazać, że naprawdę zawsze i wszędzie, na każdych wielkich zawodach, ją na to stać. Kaczmarek najpoważniejszy test zdała w 2023 roku. Przed tamtym srebrem przez kilka lat medale MŚ na 400 m zdobywała nasza sztafeta. Suma umiejętności i waleczności kilku świetnych biegaczek dawała nam sukcesy. Ale indywidualnie żadna z nich nie była na tyle mocna, żeby błysnąć gdzieś poza Europą. Gdy wreszcie Justyna Święty-Ersetic i Iga Baumgart-Witan weszły do finału MŚ w Dosze (w 2019 roku), Aleksander Matusiński, trener sztafety, z radości trochę żartobliwie porównywał je do pierwszych ludzi, którzy stanęli na Księżycu.

Polki zajęły tam siódme i ósme miejsce. Prawda jest taka, że dla Europejek jedno okrążenie piekielnie szybkiego sprintu to obca planeta. Ona od lat należy do inaczej zbudowanych, fizjologicznie bardziej predestynowanych do takiego biegania zawodniczek z Ameryk i Karaibów. Dawno temu, gdy te biedniejsze kraje w swoich sportowców jeszcze nie inwestowały, widzowie pasjonowali się walką Europejek z biegaczkami z USA. Na igrzyskach w Montrealu w finale z trzema Amerykankami ścigało się aż pięć Europejek – poza naszą Szewińską po dwie reprezentantki NRD i Finlandii. Natomiast Kaczmarek na MŚ 2023 została dopiero pierwszą Europejką na podium od wielu lat.

Wymowne, że po srebrze ME 2026 Bukowiecka czuje niedosyt. Mówi wprost: „Chciałam to wygrać, nie pokazałam tu do końca tego, co chciałam". Ale też przed kamerą TVP Sport nasza niezawodna biegaczka podkreśliła, że docenia kolejny medal i że traktuje go jak dowód, że zawsze jest w formie wtedy, kiedy trzeba walczyć o medale dla siebie i dla nas, dla kraju. ●

W sobotę w Birmingham srebrne medale dla Polski zdobyły też Katarzyna Zdziebło (chód) i Maria Żodzik (skok wzwyż), a brązowy – sztafeta 4x100 metrów.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34447766

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Burmistrz Miasta Limanowa ogłasza II przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości zabudowanej budynkiem targowiska Mój Rynek położonym przy skrzyżowaniu ulicy Bulwary i ul. Targowej w Limanowej oznaczonej jako działka ewid. nr 459/54 obr 5 m. Limanowa o pow. 0,1704 ha stanowiącej własność Miasta Limanowa, objętej księgą wieczystą nr NS1L/00030579/5.

I przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż przedmiotowej nieruchomości został przeprowadzony w dniu 23 lipca 2026 roku i zakończył się wynikiem negatywnym.

Działka leży w większości w terenach zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej lub usług symbol MW-U w strefie ochrony konserwatorskiej oraz w niewielkiej części w terenach drogi lokalnej symbol KDL.

Na działce znajduje się budynek targowiska Mój Rynek. Budynek składa się z trzech poziomów. Na poziomie „-2", „-1" znajdują się miejsca parkingowe oraz pomieszczenia magazynowe, zaś na poziomie „0" zlokalizowanych jest 30 drewnianych stoisk handlowych oraz zadaszone stoliki sprzedażowe. Dojazd do poziomu -1 odbywa się bezpośrednio z ulicy Bulwary zaś do poziomu -2 poprzez drogę zlokalizowaną na działce ewid. nr 459/56 obr 5 m. Limanowa, która stanowi prywatną własność.

Obecnie trzy pomieszczenia magazynowe zlokalizowane na poziomie -1 i -2 targowiska Mój Rynek w Limanowej o łącznej powierzchni 96,91 m2 są przedmiotem najmu z których dwie umowy zawarte są na czas nieoznaczony z możliwością rozwiązania za 3 miesięcznym okresem wypowiedzenia, zaś jedna zakończy się z dniem 4 lutego 2028 roku.

Przedmiotowa nieruchomość wolna jest od obciążeń (obciążenie ujawnione w dziale III księgi wieczystej nr NS1L/00030579/5 nie dotyczy nieruchomości objętej procedurą przetargową).

Cena wywoławcza: **8 437 355,97 zł brutto.** Wadium: **850 000,00 zł.** Przetarg ustny nieograniczony odbędzie się w dniu **29 października 2026 roku o godz. 10^{00}** w budynku Urzędu Miasta Limanowa przy ul. J. Pawła II 9, 34-600 Limanowa, sala nr 207. Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie wadium w terminie do 23 października 2026 roku na konto Urzędu Miasta Limanowa Bank Spółdzielczy w Limanowej nr 71 8804 0000 0000 0023 3100 0004.

Pełną treść ogłoszenia o przetargu wywieszono na tablicy informacyjnej w Urzędzie Miasta Limanowa, opublikowano w Biuletynie Informacji Publicznej https://bip.malopolska.pl/umlimanowa na stronie internetowej www.miastolimanowa.pl w zakładce inwestycje i gospodarka - gospodarka nieruchomościami oraz na stronie internetowej www.limanowa.in. Szczegółowe informacje można uzyskać w Wydziale Zagospodarowania Przestrzennego, Nieruchomości i Ochrony Środowiska pok. 304, 305 tel. 18 506 5853, 18 506 5865. Urząd Miasta Limanowa zastrzega sobie prawo odwołania przetargu w uzasadnionych przypadkach.

eprasa.pl 883d017d18

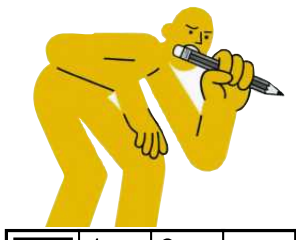

krzyżówka

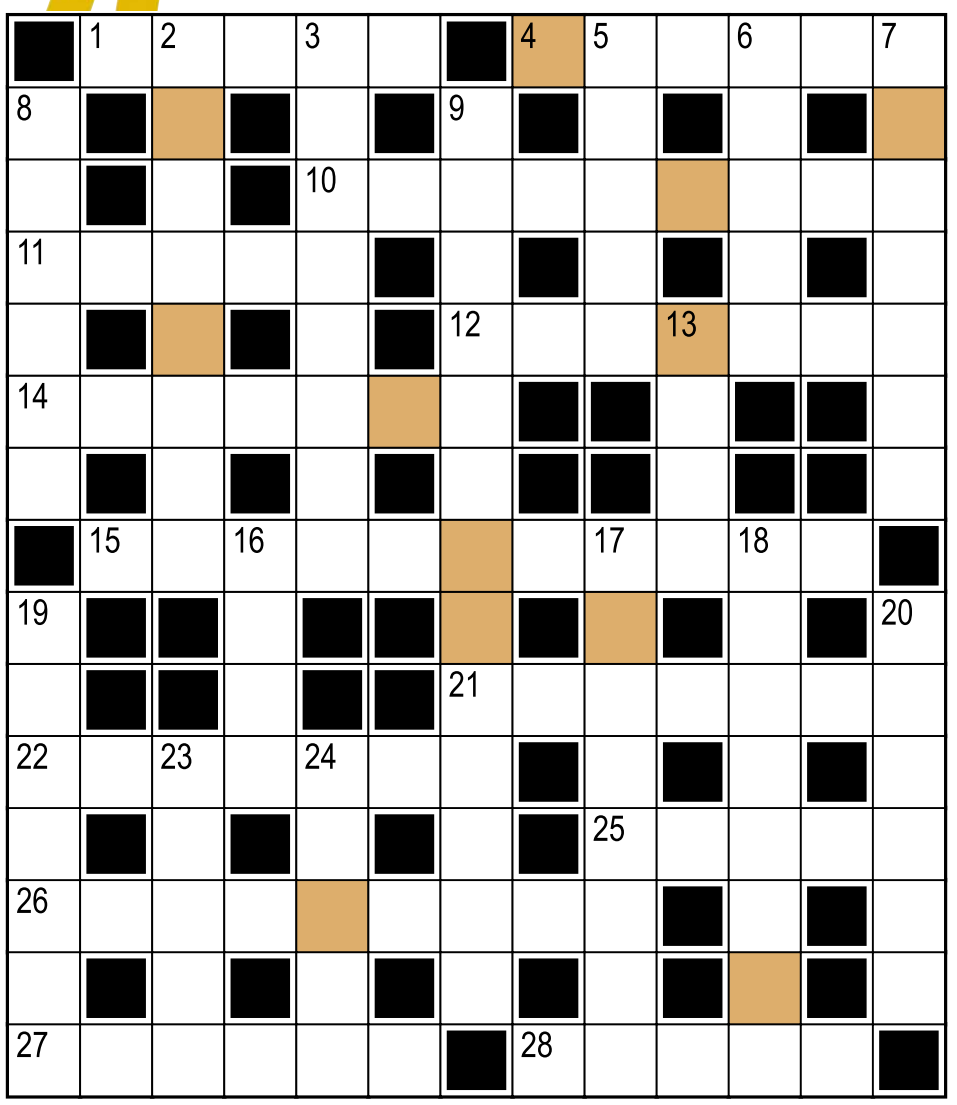

Hasło:

Litery w kolorowych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) może być zwieńczony bocianim gniazdem
4) MW – megawat, kΩ – ?
10) ... lotnicze, popisy pilotów, szybowników
11) Bóg, ..., Ojczyzna (na sztandarach Wojska Polskiego)
12) pociąg do kawy
14) SUV albo quad
15) wypalana przez Indian Ameryki Północnej na znak przyjaźni
21) „... nieśmiertelności", film grozy, w którym wystąpił David Bowie
22) w mitologii greckiej: muza poezji lirycznej
25) na zakwasie, z piekarni
26) skorpiony, tarantule, kleszcze...
27) polodowcowy głaz narzutowy (anagram: karety)
28) ... WOŚP, zwykle odbywa się w styczniu

Pionowo:
2) o Basię lub o kasę
3) Bartosz, żużlowiec, wielokrotny mistrz świata
5) drapieżnik z rodziny kotowatych; pantera śnieżna
6) nagroda pożądana przez niejednego filmowca
7) „Tu jest twoje ...", piosenka Andrzeja Cierniewskiego
8) ... na szczyt wieży Eiffla, mają 1665 stopni
9) wcześniejsze rozpoczęcie dystrybucji biletów na jakieś wydarzenie
13) Belg – autor komiksów o smerfach
16) imię w tytule piosenki Beatlesów (ale nie Rita)
17) pierzaste – w refrenie „Kolorowych jarmarków"
18) mesa na statku
19) pieczęcie
20) w szachach: poświęcenie piona lub figury w zamian za uzyskanie inicjatywy w partii
23) rozległy syberyjski las
24) niepodległościowe lub górotwórcze

Rozwiązanie „krzyżówki" nr 96 z 14.08:
Poziomo: 1) kwasy **4)** globus **10)** wioślarze **11)** Tęcza **12)** prawiek **14)** premier **15)** chiromancja **21)** Tiranki **22)** gruszka **25)** Ibsen **26)** Urugwajka **27)** Tetyda **28)** szpik
Pionowo: 2) Wojciech **3)** szwagier **5)** Lalka **6)** barki **7)** szejker **8)** ostępy **9)** kompromitacja **13)** wiec **16)** irys **17)** narciarz **18)** janosiki **19)** Zygmunt **20)** wiśnia **23)** upust **24)** zawód
Hasło: Sos winegret.

sudoku

	5	4		3	8	7		
				1	5		8	4
8	1		4	6		3	5	
		6			4			5
	8	5			1	4		7
	9	1						8
5				4	7	2		6
7	6		1	5	3	8		9
	4	8		2		5	7	

4	8					1		
		5	6					
3	7	1	4					
				5	1	6		
	4	8	3					
5					6	2		3
		2						7
	6				7		1	2
						3		6

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34427030

Czekamy na Twoje uwagi i pomysły

ROZRYWKA @WYBORCZA.PL

zakreślanka

Zakreślaj słowa z listy na planszy. Mogą być ukryte w wierszach, kolumnach lub prowadzić wężykiem. Niewykorzystane litery czytane rzędami utworzą hasło

D	P	K	I	Y	B	I
A	L	Ę	S	T	N	Z
W	O	U	P	O	E	S
C	Y	A	D	D	O	M
R	Z	S	P	F	Ł	E
A	A	L	I	E	T	N
N	I	A	K	M	B	N
Y	A	P	O	I	Y	G
W	Y	T	A	N	R	T

owad, lęki, spoty, biznesmen, tryb, tło, feminatywy, narcyza, apokalipsa

Hasło z 14.08: infant

skojarzenia

Ikona	Kopa	Polana	Wielka gra
Ruszt	Miś z okienka	Supergwiazda	Sonda
Mendel	Szyber	Gros	Bohater
5-10-15	Tuzin	Pogrzebacz	Legenda

Znajdź powiązania między hasłami i połącz je w cztery grupy po cztery hasła, by każdą grupę łączyło jedno wspólne skojarzenie.

Rozwiązanie z 14.08:
Efektowne zwieńczenie czegoś: Wielki finał, Łabędzi śpiew, Kropka nad i, Wisienka na torcie. **Miejscowości w Belgii:** Ostenda, Waterloo, Spa, Bruksela. **Tytuły musicali filmowych:** Dźwięki muzyki, Mamma mia, Deszczowa piosenka, Evita. **Piosenki zespołu Wilki:** Aborygen, Na zawsze i na wieczność, Baśka, Bohema

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

Słówko
Wybierz słowo, sprawdzaj litery i kombinuj, aż skończą Ci się próby

Literówka
Kilka liter i jedno zadanie: ułożyć jak najwięcej słów

Jeszcze więcej rozrywki w Aplikacji Wyborczej
Szukaj w aplikacji

Zakreślanka

Skojarzenia

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

wyborcza

DUŻY FORMAT

REDAGUJĄ: Mariusz Burchart (red. naczelny), Ariadna Machowska

MAGAZYN REPORTERÓW

17 SIERPNIA 2026 | NR 32 / 1692

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Reportaż Olgi Zagórskiej

POLKA W OBOZIE ICE

eprasa.pl 883d017d18

Polka trzy miesiące w obozie ICE

GORZEJ NIŻ W więzieniu

Otwierała samochód, kiedy ktoś klepnął ją w ramię. Myślała, że sąsiadka. Zobaczyła kamizelki ICE. Usłyszała, że już nigdy nie wróci do swojego mieszkania w Chicago.

OLGA ZAGÓRSKA

Kwaśny zapach uderza zaraz po odchyleniu folii. W środku szara kleista breja z rozgotowanych ziaren, polana ni to sosem, ni to tłuszczem. Jedno i to samo. Na śniadanie, obiad, kolację. Od miesiąca.

– Jak tylko czuję ten zapach zgnilizny, zbiera mi się na wymioty. Ale dziewczyny mówią: „Eli, musisz jeść. Zatykaj nos, łap powietrze, przełykaj na siłę". No to z pudełka wygrzebuję sam ryż czy kaszę. A jak widzą, że chcę odłożyć pojemnik na wózek, mówią, żebym im oddała. I po mnie wyjadają.

TY JUŻ STĄD NIE WYJDZIESZ

Cztery tygodnie wcześniej Elżbieta Czyż wstaje o szóstej w swoim mieszkaniu w Chicago. W pracy ma być o dziewiątej, ale rano nie lubi się spieszyć. Prysznic, makijaż, ubranie. Robi kanapki, pakuje przygotowaną wieczorem sałatkę. Do pracy ma osiem minut samochodem, ale wychodzi o 8.30. Chce wstąpić do apteki.

– Otwieram samochód i ktoś mnie klepie po ramieniu. Myślę, że to sąsiadka. Obracam się. Widzę kamizelki ICE, w jednym momencie robi mi się gorąco i zimno. Jest z nimi dwóch policjantów, z tyłu jeszcze jeden samochód z funkcjonariuszami. Na jedną mnie, 65-letnią. I do mnie, że jestem zatrzymana. Kajdanki na ręce, wsadzają do auta. Jak stoję.

– Masz telefon? – pyta funkcjonariusz.

Zostawiła na stole. Chce po niego iść.

– Nie, ty już stąd nie wyjdziesz. Powiedz, gdzie leży?

Bierze klucze, przynosi telefon. Już go jej nie oddaje.

– Coś jeszcze ważnego potrzebujesz? Zastanów się, bo już nigdy nie wrócisz do swojego mieszkania.

– Nie wiem.

W szoku nie pomyśli o tabletkach. W torebce ma inhalator na astmę, portfel, klucze, jakieś pierdoły.

– Jak nie wiesz, to jedziemy – odpala samochód i dodaje: – Takie piękne, zadbane mieszkanie. Żal zostawiać.

W samochodzie ma jeszcze takie myślenie: że to pomyłka. Że sprawdzą kartotekę, spytają sąsiadów, ludzi, u których pracowała – żadnych mandatów, perfecto opinia wszędzie – i wypuszczą. Najwyżej będzie potem sprawa w sądzie.

Elę zabierają spod domu. Innych z pracy, z kolejki w sklepie, a nawet z sądu imigracyjnego, do którego przyszli na własną rozprawę. Od końca stycznia 2025 do początku marca 2026 roku agenci służb imigracyjnych (ICE) zatrzymali w USA blisko 400 tysięcy osób; dwie trzecie z nich nie miało żadnego wyroku skazującego.

MAMA, PAKUJEMY SIĘ

Ela przyjechała do Chicago z synem na turystycznej wizie. Myślała, że zarobi i wróci do Polski. Została dwadzieścia lat. Długo mieszkali w wynajętym pokoju. Pracowała u Polki. Sprzątała prywatne apartamenty: wany, kuchenki, fugi, podłogi, pranie, prasowanie, okna. Miała wtedy zespół cieśni nadgarstka; mieszkania szorowała na zastrzykach.

– Straszny zapierdziel. Szefowa sprawdzała po nas każdy kąt. Jak smuga była na szybie prysznicowej, trzeba było z domu wracać autobusem i poprawiać. Ja się u niej tak pracy nauczyłam, że już nic mnie nie złamie, jeśli chodzi o sprzątanie. Wymagała, ale dobrze płaciła. Człowiek wracał do domu po ośmiu godzinach, to ledwo na oczy widział.

A w domu czekał szesnastolatek. Wieczorami siadała przy nim i tłumaczyła, że jeszcze trochę, że będzie lepiej. W lekcjach nie potrafiła mu pomóc.

– Prawie codziennie płakał, mówił: „Mama, pakujemy się i jutro wracamy. Mama, koniec, dłużej tu nie zostajemy. Wszyscy po angielsku, ja angielskiego nie znam. Jak mam chodzić do tej szkoły?". Później go wzięli na taki system, gdzie byli polscy nauczyciele i więcej uczniów Polaków. To tak łatwiej mu było.

Z czasem znalazła własne domy do sprzątania. Pieniądze trochę lepsze, wynajęli małe mieszkanie. Sprzątała dziesięć lat. Aż wylądowała w szpitalu. Guz na nerce. Kiedy wyszła, do cudzych domów już nie wróciła. Lubiła gotować, zawsze coś wymyślała, więc – jak mówi – „z głupia" dała ogłoszenie. Zadzwoniła kobieta, która robiła imprezę na czterdzieści osób. I się zaczęło. Cały czas ktoś dzwonił z polecenia.

– Bałam się trochę, ale ja zawsze wszystko czyściutko, świeże, jak dla siebie.

Gotowe dania woziła osobową Toyotą. Ale przyszło lato i nie chciała ryzykować, że coś się zepsuje. Zaczęła pilnować dzieci. Miała piątkę wychowanków. W telefonie pokazuje mi zdjęcia.

– Najpierw z Tomikiem byłam trzy lata. Później z dwiema dziewczynkami, też prawie trzy lata. Potem był Tylerek, trzy lata. No i ostatnio, do listopada, Rosalka.

Ela wynajęła mieszkanie na peryferiach Chicago, za to z widokiem na jezioro. Wokół drzewa, cisza.

– U mnie zawsze posprzątane, wszystko musi być na tip-top. W mieszkaniu pełno kwiatów miałam, a balkon to cały kolorowy był, gdy kwitły. I sąsiedzi tacy, z którymi pogadasz na klatce, pośmiejesz się na parkingu.

KAŻDY SIĘ BAŁ, KAŻDY

Dlaczego przez tyle lat nie próbowała zalegalizować pobytu?

– Bo człowiek cały czas pracował, żył spokojnie i jakoś na co dzień o tym nie myślał. Gdy zachorowałam, okazało się, że miasto ubezpiecza imigrantów w ramach takiego programu, a ja jeszcze seniorka, to miałam sto procent pokrycia. Wszystko: dentysta, leki [stanowy program Health Benefits for Immigrant Adults dla imigrantów o niskich dochodach w wieku 42-64 lata, wykluczonych z opieki federalnej ze względu na status pobytowy; zniesiony 1 lipca 2025]. Nikt nie sprawdzał, czy jestem legalnie. Prawo jazdy zrobiłam,

eprasa.pl 883d017d18

policja kilka razy zatrzymała mnie do kontroli. Syn normalnie chodził do szkoły.

Nikt nie sprawdzał, bo w Illinois nie wolno było sprawdzać: stanowe prawo zabraniało policji pytać o status, szkołom żądać papierów, a stan ubezpieczał nieudokumentowanych z własnej woli i własnego budżetu.

Ela miała z tyłu głowy, że jeszcze trochę popracuje i na stare lata wróci do Polski. W ostatnim roku zaczęła się niepokoić.

– Cały czas się o tym mówiło w mediach, ludzie rozmawiali, te tematy się wałkowało. Że strach, że to, że tamto. Każdy się bał, każdy się bał... Ale też każdy mówił: „Jak masz rekord czysty, to nie musisz się martwić". Ja i tak się denerwowałam. No może trzeba było wcześniej starać się o zieloną kartę, ale wydawało mi się, że i tak jej nie dostanę. Trzeba mieć pracodawcę, który płaciłby ubezpieczenie i podatki, jakąś rodzinę albo męża Amerykanina. Nawet miałam propozycje trzy razy, ale byli dużo starsi. A ja bym tak nie potrafiła – wziąć ślub, by później opiekować się kimś w zamian za legalny pobyt.

„Ustalenie dokładnej liczby Polaków o nieuregulowanym statusie imigracyjnym w USA jest niemożliwe z powodu ukrytego charakteru tego zjawiska" – informuje mnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Natomiast w styczniu ubiegłego roku wiceszefowa MSZ Henryka Mościcka-Dendys powiedziała na antenie TOK FM, że według szacunków konsulów w Stanach może przebywać do 30 tysięcy Polaków bez uregulowanego statusu.

ŁAŃCUCH PRZEZ BRZUCH

Ela od kilku miesięcy pracuje u Magdy, mamy Rosalki. To polsko-amerykańska rodzina. Ela nigdy się nie spóźnia. Gdy nie pojawia się o dziewiątej, zaczynają wydzwaniać. Najpierw do niej, potem do jej syna. Jak wygląda to przedpołudnie, Ela dowiaduje się później.

– Syn mówi do Magdy: „Nic innego, tylko mama musiała stracić przytomność, jak się rano kąpała". Wsiadają w samochód i przyjeżdżają. Na parkingu stoi moje auto, drzwi do mieszkania zamknięte. No więc wyważają drzwi, patrzą, że mnie nie ma – to od razu na policję, na pogotowie, po szpitalach dzwonią. Ktoś z sąsiadów chyba musiał widzieć i mówi, że mnie zabrali. No to dzwonią do ICE.

Polska znajduje się na amerykańskiej liście państw objętych obowiązkową notyfikacją konsularną, więc władze USA powinny niezwłocznie powiadamiać polski konsulat o zatrzymaniu polskiego obywatela.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyznaje: „Odnotowujemy jednak przypadki niewywiązywania się z tego obowiązku, gdy zatrzymań dokonują funkcjonariusze ICE".

Elę zawieźli na ulicę dwudziestą piątą – do aresztu w Broadview, na podchicagowskim przedmieściu. Trzymają ją tam dobę, w małej, okratowanej celi. Nie dostaje ani jedzenia, ani picia. Wodę, małą butelkę, przynoszą następnego dnia.

Skuwają mi kajdankami ręce, nogi, łańcuch idzie przez brzuch. Jak najgorszego bandytę

• Elżbieta Czyż została aresztowana przez agentów służb imigracyjnych ICE. Zabrali ją sprzed domu w Chicago i trzymali w ośrodkach detencyjnych od 11 listopada 2025 do 30 stycznia 2026 r. Na zdjęciu Ela po powrocie do Polski

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 883d017d18

– W celi jest tylko kibel oddzielony niskim murkiem i wąska metalowa ławka przy ścianie. W nocy wolę już spać na betonie, bo ławka jest zimniejsza. Język kołkiem mi staje. Biorę łyk tej wody i od razu zwracam. Później zdjęcia, odciski palców i papier, że jadę do El Paso w Teksasie. Termin rozprawy: 17 grudnia. A jest 11 listopada. Wtedy dopiero zaczynam płakać.

Skuwają mi kajdankami ręce, nogi, łańcuch idzie przez brzuch. Jak najgorszego bandytę. Autobus cały zakratowany, z tyłu faceci, z przodu ja i jeszcze jedna kobieta. Jedziemy, nie wiem, z siedem godzin. Zatrzymujemy się w jakimś mieście, by zabrać innych z aresztu. Czekamy tam parę godzin. Później wiozą nas na lotnisko. Lecimy takim małym samolotem, tylko my i ci z ICE, następne kilka godzin. W końcu dają jakąś bułkę i wodę. Muszę pić po łyczku, bo ręce mam spięte z nogami. Proszę, żeby mnie odpięli, bo chcę iść do toalety. Ale nie.

Nie wie, w jakim mieście zatrzymuje się autobus ani z którego lotniska startują. Wiadomo tylko dokąd: lądują w bazie wojskowej Fort Bliss, na obrzeżach El Paso.

– Na tej pustyni czekają na nas namioty i baraki. Idąc, przewracam się w tym łańcuchu. Jakiś facet chce mnie podnosić, to ci z ICE się z niego śmieją: „Co ty taki dobry jesteś?”. A ja nie mogę wstać z tego piasku. Kostki to granatowe mam od tego łańcucha.

W czasie drugiej wojny światowej na terenie Fort Bliss internowano osoby pochodzenia japońskiego i niemieckiego. W sierpniu 2025 roku otwarto tu Camp East Montana. Pierwszych zatrzymanych przywieziono, gdy obiekt był jeszcze placem budowy – z maszynami, niedokończonymi konstrukcjami i toaletami, które nie działały. Największy ośrodek detencyjny w kraju. I najgłośniej krytykowany. Sześć długich białych hal namiotowych na pustyni Chihuahua, otoczonych płotem z żyletkowym drutem. Obóz powstał jako tymczasowe centrum zatrzymań, w którym nieudokumentowani mieli czekać na decyzje sądów do dwóch tygodni.

Ela spędzi w ośrodkach prawie trzy miesiące.

ODDAJĘ JEDZENIE ZA MLEKO

– Ustawiają nas w namiocie pod ścianą – z pięćdziesiąt osób. Ręce do góry, nogi szeroko, wszystko sprawdzają. Później wzywają po kolei papiery wypełniać. Siedzimy i leżymy wszyscy w kupie na podłodze.

Przyjmowanie trwa dwa dni.

– Zabierają nam ubrania i dają używaną bieliznę – w chlorze wyprana, mówią – dwie pary majtek i dwa biustonosze. Spodnie... jak kurtki robocze, sztywne. Koszulki dwie i cztery pary skarpet. Buty zostawiają, tylko sznurówki muszę oddać. Nie wiem, boją się, że samobójstwo może...

Zanim trafia na salę, odbiera jednorazowy przydział środków higieny: saszetkę płynu do mycia, szczoteczkę i pastę do zębów w wersji podróżnej.

Jej sąsiada z Chicago zatrzymano niedługo po niej. Trafia do tego samego ośrodka, wyjdzie później. Wychodząc, zabierze saszetkę z płynem i batonik.

Ela pokazuje mi w telefonie zdjęcie, które sąsiad przysyła jej już z Polski: saszetka z datą ważności – kwiecień 2018.

– To były rzeczy z hoteli, na kartonach widzieliśmy ich nazwy. Przeterminowane, miały pewnie pójść na śmietnik, a wykorzystują w ośrodkach. Te batony dawali nam raz w tygodniu. Żeby ugryźć, moczyliśmy je w wodzie.

Zatrzymani to biznes. Około 90 procent zatrzymanych przez ICE trafia do ośrodków prowadzonych przez prywatne firmy. Dwie największe wpłaciły miliony dolarów na kampanię i inaugurację Trumpa; po jego wygranej dostały od ICE kontrakty bez przetargów. W marcu 2026 roku, gdy Ela była już w Polsce, ICE odebrało kontrakt operatorowi Camp East Montana, po inspekcji samej agencji, która wykazała 49 naruszeń standardów.

– Prowadzą mnie na salę, gdzie jest, nie wiem, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kobiet. W większości młode, z Ameryki Południowej. Nie znają angielskiego. Ja nie znam hiszpańskiego.

W sali stoją rzędy piętrowych, metalowych łóżek. Żadnych szafek. Ubranie, które dostały na zmianę, zastępuje poduszkę; na łóżku oprócz materaca przykrytego szmatą jest tylko koc. Śpią w tym, w czym chodziły cały dzień. Przy jednej ze ścian sześć toalet, cztery prysznice i dwa zlewy. Na kilkadziesiąt kobiet.

– Dostaję łóżko na górze, ale dziewczyny coś krzyczą do strażniczki, no i jakąś młodą Chinkę wysyłają na górę, a ja idę na dół. Pierwsze dwa tygodnie prawie nie śpię. Leżę, siedzę, płaczę i nic więcej. Bardzo się boję. Ale te obce dziewczyny jakoś tak się mną opiekują. Codziennie biorą mnie i kółka po sali robimy. Mówią, żebym wstała z łóżka, poszła się umyć. Jak jedzenie przywożą na wózku, to one zawsze: „Elizabeth!” – i pokazują, żebym do kolejki nie szła, tylko pierwsza brała. Robię tak, ale co z tego, jak ja nie jem.

Mam jeden darmowy telefon. Do syna nie dzwonię. Oni zaraz by go namierzyli i złapali

Fatalne wyżywienie jest jednym z zarzutów w pozwie przeciwko ICE. Złożyły go pod koniec maja 2026 roku organizacje praw człowieka i kancelaria prawna, w imieniu czterech mężczyzn przetrzymywanych w Camp East Montana. Niektóre z tych organizacji już w grudniu 2025 roku, gdy jest tam Ela, pisały do władz federalnych skargi i alarmujące raporty o warunkach w największym ośrodku detencyjnym w kraju. W pozwie czytamy, że jedzenie bywało częściowo zmrożone, zjełczałe, nadpsute – w jednym przypadku w posiłku znaleziono robaka. Porcje były tak małe, że zatrzymani tracili na wadze i chorowali. Rząd odpowiedział, że nikt nie jest głodzony ani bity, a posiłki ocenia dietetyk.

W ciągu trzech miesięcy w ośrodkach Ela chudnie siedem kilogramów.

– Raz w tygodniu jakieś mięso na obiad dają. I dwa razy w tygodniu mleko w kartoniku. I to mleko trzyma mnie chyba przy życiu, bo dziewczyny mi oddają za jedzenie.

Za jedzenie, którego i tak Ela nie zjada – biorą jej porozgrzebywane porcje i dają mleko, żeby chociaż coś wypiła.

TRZY RAZY DZIENNIE POD ŚCIANĄ

Prawa do obrońcy z urzędu w sprawach imigracyjnych nie ma – deportacja to w amerykańskim prawie procedura administracyjna, nie karna. Zatrzymany dostaje listę organizacji, które pomagają znaleźć adwokata pro bono. Kto może, wynajmuje prawnika prywatnie.

O tym, czy ktoś może zostać w Stanach, decyduje sąd imigracyjny. Do sądu federalnego można się zwrócić o jedno: żeby na tę decyzję czekać w domu, a nie w ośrodku. Między październikiem 2025 a marcem 2026 roku zatrzymani złożyli ponad 31 tysięcy takich wniosków. Sędziowie ponad cztery tysiące razy orzekli, że ICE przetrzymywało ludzi w ośrodkach bezprawnie. W obozie East Montana, w którym siedzi Ela, ośmiu na dziesięciu zatrzymanych nie ma kryminalnej przeszłości. To dane samego ICE z połowy lutego 2026 roku.

– Syn dzwoni do najlepszego adwokata od tych spraw w Chicago. Amerykanin. Obiecuje mu złote góry, że mama wyjdzie po dwóch tygodniach. Bierze dziesięć tysięcy dolarów i w ogóle się nie pokazuje na rozprawie, tylko aplikanta, gówniarza, wysyła.

Pierwsza rozprawa odbywa się zdalnie, Ela siedzi przed ekranem w ośrodku. Trwa trzy minuty.

– Na koniec mówią mi, że nie mogę zostać w Stanach, bo się nie kwalifikuję: nie mam żadnej rodziny ani papierów. Adwokat później telefonów nie odbiera. W końcu syn się dodzwoni i tak mu nawtyka, tak się z nim pokłóci, że w mojej sprawie ten adwokat współpracuje już tylko z Magdą. Mówi jej, że będzie się odwoływał.

W Camp East Montana prawo wstępu ma tylko adwokat. Kontakt z bliskimi jedynie przez telefon – rozmowy są płatne. Każdy zatrzymany ma w ośrodku konto, na które ktoś z zewnątrz może wpłacić pieniądze. Nikt nie prowadzi długich rozmów. Nie każdy ma kogoś, kto to konto zasili.

– Żeby zadzwonić, musisz zgłosić strażniczkom, że potrzebujesz tablet. Proszę dziewczyny z Wenezueli, żeby mi pokazały, co robić. Najpierw mam jeden darmowy telefon, dzwonię do Magdy i mówię: wpłaćcie mi pieniądze na to konto, to będę mogła się z wami kontaktować. Do syna nie dzwonię. Oni zaraz by go namierzyli i złapali.

Dni w obozie są identyczne, zlewają się w jeden. O godzinę trzeba pytać strażniczek.

– Cały czas jesteśmy pod kluczem zamknięte. I tylko te strażniczki na sali się zmieniają. W więzieniu mają bibliotekę, wychodzą na spacerniak. Tu jest gorzej niż w więzieniu. Koleżanka paczkę z książkami i krzyżówkami mi wysłała. Nigdy ich nie dostaję. Nie masz książki, telefonu, gazety, nie możesz – jak w moim przypadku – z nikim rozmawiać. Nie masz nic. Z braku zajęcia można zwariować. Trzy razy dziennie stajemy pod ścianą. Mamy na rękach elektroniczne opaski i strażniczka chodzi ze skanerem. Jak leżę chora, bardzo źle się czuję, to przychodzi i się na mnie wydziera, że mam iść pod ścianę i dać rękę do skanowania. A przecież mogłaby mi to na łóżku zrobić. Do tego przeszukują łóżka. I co miałybyśmy tam mieć? Nikt nas nie odwiedza. Wszystko nam zabrali. Ja chowam pod materac to mleko w kartonikach. Po rewizji ląduje w ich worku na śmieci.

POBUDKA PIĄTA PIĘTNAŚCIE

W lutym 2026 roku dziennikarze Associated Press uzyskują zgodę od władz El Paso na dostęp do 130 nagrań z połączeń alarmowych na numer 911 z Camp East Montana. Większość wykonał personel medyczny obozu. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy działania ośrodka pogotowie wzywali niemal codziennie.

Lekarz zgłasza, że jakiś mężczyzna uderza głową o ścianę, mówiąc, że chce się zabić; pielęgniarka, że ciężarna z koronawirusem skarży się na ogromne bóle. Co najmniej dwadzieścia zgłoszeń dotyczy napadów drgawkowych, część z nich kończy się urazami głowy.

W East Montana średnio dziennie przebywa około 3 tys. osób. Dzień i noc słychać rozmowy, płacz, modlitwy i bezustanny warkot generatorów prądu.

– Między salami ściany są z dykty, sufitów nie ma, tylko na górze, wysoko, szmaciany dach, więc cały czas jest hałas. Krzyczą z jednej sali do drugiej jakieś wyzwiska, słychać kłótnie albo śpiewy. Do tego długo światło jest zapalone, czasami w ogóle nie gaszą. A pobudka codziennie piąta piętnaście, o szóstej śniadanie. Potem do dziewiątej musimy siedzieć na łóżkach – oprócz tych z dyżuru: toalety, prysznice, zamiatanie, mycie podłogi. Każdego dnia ktoś inny sprząta.

Przez miesiąc wychodzimy na dwór tylko dwa razy, po pół godziny. Spacerniak jest osiatkowany dołem i górą, z drutami kolczastymi. Ale w końcu niebo, słońce. Dziewczyny trochę włosy mi rozczesują, bo mam wielkie kołtuny. A grzebyczek taki mały, wąski. Ja na nic nie mam już siły. Nic mi się nie chce. Naprawdę myślę, że już tutaj umrę.

TO NIEMOŻLIWE, ONA JEST SUPERBABA

W toaletach krótkie, wahadłowe drzwi zasłaniają tylko środek ciała – głowa musi być na widoku, żeby strażniczka ją widziała. A jedzące na łóżkach dziewczyny, chcąc nie chcąc, patrzą.

Po obozowym jedzeniu rewolucje żołądkowe są częste.

– Wszyscy chorują na okrągło. Kiedy zapiszesz się do lekarza, to idziesz do niego dopiero za trzy, cztery dni. Ja ataki astmy mam, ale inhalatora nigdy nie dostałam. W nocy zdarza się, że na sali wszyscy kaszlą, kichają czy siedzą w kiblu.

W pozwie z 29 maja czytamy o zatkanych toaletach, z których ścieki wylewają się na salę. Personel widział, co się dzieje, ale serwis pojawił się po kilku dniach. Zarządca ośrodka nie zapewnił profesjonalnego sprzątania ani dezynfekcji. To zatrzymani ścierali ścieki z podłogi, samą wodą.

– Bardzo często jest pozatykane. Smród koszmarny. Jak przyjeżdża serwis to odtykać, to każą wychodzić na korytarz. Później długo mam odruch wymiotny. Pod prysznicem deski są zgniłe, boję się stawać boso. Nie mam klapek. Więc zawsze gacie zdejmuję z siebie, kładę na tych deskach i się myję. A później, po założeniu na siebie rzeczy, to te majtki piorę.

Przemoc fizyczna i zastraszanie ze strony strażników są jednym z głównych zarzutów majowego pozwu. Eli nikt nie bije. Jedna ze strażniczek wybiera inną metodę.

– Potrafi przyjść do mnie o drugiej w nocy, szarpać mnie – śpię czy nie – żebym przeliterowała swoje nazwisko, bo tam nikt mojego nazwiska nie potrafi wymówić. Robi to za każdym razem, gdy ma zmianę.

Ela idzie na skargę do innej strażniczki.

– Mówię, muszę ci coś powiedzieć, tylko włącz mi ten translate. Włączyła. I opowiadam, że tamta się do mnie ciągle czepia.

– To niemożliwe – słyszę. – Ona jest superbaba.

W nocy Ela dostaje ataku paniki.

– Podobno strasznie wrzeszczę. Ja tego nie pamiętam. Serce mnie mocno boli, nie mogę oddychać. Lekarze przyjeżdżają, biorą mnie na wózek i wywożą. Ciśnienie mierzą, jakieś leki podają i odwożą na salę. Później powtarza się to jeszcze kilka razy.

Wiele zgłoszeń pod numer 911 dotyczy właśnie ataków paniki, problemów z oddychaniem, a także samookaleczeń i prób samobójczych. Odpowiedzią strażników nie jest pomoc. Często psychiatrę i psychologa zastępują kajdanki, obezwładnianie i izolatka.

eprasa.pl 883d017d18

PILNUJ ŚMIECI JAK OKA W GŁOWIE

Nikt im nie mówi, co się z nimi stanie. Kiedy rozprawa, czy będzie deportacja, co z rodziną, jak długo to potrwa. Ciągła niepewność. Tygodniami. Miesiącami.

Na początku grudnia Ela rozmawia z Magdą, która jest w kontakcie z adwokatem: będzie druga rozprawa, 17 grudnia. W ośrodku potwierdzają – piętnastego wyjeżdża, najprawdopodobniej do Chicago.

– No to ja cała happy, myślę: może tam coś pozałatwiali. Rano wychodzę, a tam czeka autobus więzienny, pełen ludzi.

– Gdzie ja jadę? – pytam strażnika.

– Do Nowego Meksyku.

– Ale po co?

– Do innego ośrodka.

– Ale ja mam mieć sprawę siedemnastego, w Chicago.

– Przełożymy ci sprawę. Na Meksyk.

– I jak stoję, tak wsiadam do tego okratowanego autobusu. I zamiast upragnionego końca, wszystko zaczyna się od nowa.

W ośrodku Otero w Nowym Meksyku na dzień dobry każą się rozebrać do naga. Stajemy po cztery pod prysznicami, z których leje się wrzątek. Dają płyn dezynfekujący. Momentalnie plam na ciele dostaję, z jednej strony włosy na głowie mi wypala...

Po odkażeniu każdemu robią zdjęcie do plastikowej karty, która zastępuje tu elektroniczne opaski. Ela pokazuje mi swoją kartę. Nie poznaję jej na zdjęciu: zapadnięte policzki, na głowie folia.

– Na głowie mam worek foliowy, bo pod prysznicem na koniec dawali płyn na wszy i trzeba było czepek nałożyć. Przez trzy dni nie mogłam go ściągać.

W Nowym Meksyku sale wyglądają podobnie. Gorsze są ubikacje. Bez drzwi. Prysznice też bez drzwi. Muszę się załatwiać i myć przy wszystkich. Na widoku.

Zatrzymani dostają jednorazowy płyn do mycia z chlorem i minipastę do zębów. Do tego rolkę papieru toaletowego. Nowe wydawane są tylko po oddaniu pustego opakowania lub tekturowej rolki. Swoich śmieci pilnują więc jak oka w głowie.

Do Otero przywożą Elę 15 grudnia, spędza tam święta i Nowy Rok. Pierwsze dwa dni znów tylko leży i płacze.

– Koło mnie łóżko ma dziewczyna z Afryki, Ama. Gada po angielsku. Wyjmuje masło orzechowe, smaruje mi krakersa i daje soczek. Aż siadam, bo długo nic nie jadłam.

W Otero raz w tygodniu można zamawiać różne rzeczy – w aplikacji na tablecie, który wypożycza się od strażniczek. Pieniądze ściągane są z konta, które ośrodek zakłada każdemu zatrzymanemu.

– Później Magda wysyła mi na to konto pieniądze od syna. Zamawiam sobie prawdziwy szampon do włosów, odżywkę, pastę do zębów i zwykłe mydło, żeby normalnie się wymyć.

Po dwóch dniach Ela ma rozmowę z psychiatrą – przez WhatsAppa, a psycholog, z którą potem będzie spotykać się raz w tygodniu, siedzi obok. Przepisują leki, robią badania, przez tydzień codziennie mierzą ciśnienie. Gdy dostaje ataku astmy, sadzają ją przy inhalacjach. Dostaje też podręczny inhalator.

– Po lekach czuję się trochę lepiej, inaczej. Przestaję płakać.

Pobudka podobnie, około piątej. Tylko tu chodzą do stołówki. Można wyjść z sali, zamienić z kimś słowo.

– Zaczynam jeść, bo czasem jajko jest na śniadanie, kawa, a nawet woda z sokiem. Ale jedzenie dalej okropne, kurczak z wody, fasola wyschnięta. Owoce w pudełkach, przeterminowane, sfermentowane. Dziewczyny mówią: „Upijemy się nimi, lżej nam będzie".

W stołówce trzeba jeść szybko, strażnicy popędzają – raz się zdąży, raz nie. Dla tych, którzy mają pieniądze, jest jeszcze sklepik.

– Robię drugie zamówienie. Nagle przynoszą mi taki worek, a tam zupki chińskie, kawa rozpuszczalna w saszetkach, batoniki, masło orzechowe. Nie wiem, co jeść, wszystko to na łóżko wysypuję. I czekam tylko, żeby iść do stołówki, łyżeczkę ukraść i to masło otworzyć. Albo dżem z czarnych porzeczek, krakersy nim posmarować. Boże, jakie to pyszności. Ale człowiek oczami je po takim głodowaniu. Trochę zje i już nie może.

Ten ośrodek jest lepszy. Dziewczyny ćwiczą sobie, jedną matę wypożyczają od strażniczki. Możemy zamówić książkę z biblioteki. Dostałam od psychologa kolorowanki. Dużo osób koloruje. Dziewczyny z Meksyku robią kosmetyczki z papieru takie nawet z zamknięciem na klapkę. Bez kleju, bez nożyczek. Składają stare gazety, które dostają od strażniczki, przedzierają na paski i plotą. To pracochłonne, ale mają zajęcie.

Niektóre są w ośrodku od ośmiu, dziesięciu miesięcy.

– Ta moja sąsiadka, Ama, z Ghany. Bardzo inteligentna, po studiach. Z pracy ją zabrali. Jak przyszłam, była już siódmy miesiąc. Mówi, że nie wyjdzie, dopóki nie dostanie pozwolenia na pobyt. Jej prawnik odwołuje się ciągle, od rozprawy do rozprawy, a ona cierpliwie czeka.

Ela nie zna drugiego terminu swojej sprawy. Znów przestaje wstawać z łóżka.

– Ama mówi: „Eli, nie możesz tak... doprowadzisz się do choroby. Poukładaj to sobie jakoś w głowie". Ja pytam: „Ale jak poukładaj?" A ona: „Trzeba wypracować sobie rutynę. Musisz każdy dzień zaliczać i patrzeć, żeby do jutra, bo inaczej nie wytrzymasz".

Ela wytrzymuje dzięki kobietom. Tym po obu stronach.

JESZCZE BĘDZIECIE ŻYĆ SWOIM ŻYCIEM

– W Nowym Meksyku są naprawdę fajne strażniczki, takie życiowe. Jedna przychodzi do mnie i mówi: „Elizabeth może przeniesiemy cię na inną salę". Odpowiadam: „Nie, nie chcę, bo już z Amą się zakolegowałam i jeszcze dziewczyny z Teksasu przywieźli, które znam". A ona: „To coś jeszcze pomyślimy".

Nie mija tydzień i przyprowadzają do mnie Milenę. Z Bułgarii. „Dzień dobry", mówi po polsku. Okazuje się, że miała kiedyś chłopaka Polaka. Trochę śmiesznie mówi, ale się dogadujemy. Milena mieszkała w New Jersey. Cztery miesiące przed aresztowaniem wzięła ślub z Amerykańcem. Gdy załatwiali sprawy jej obywatelstwa, to z pracy ją zabrali. Też jak stała, wywieźli i zamknęli na siedem miesięcy.

W święta nikt nie ubiera choinki. Żaden zapach, żaden dźwięk, żaden smak ich nie przypomina. I minęłyby niezauważone, gdyby któraś ze strażniczek nie zaczęła składać dziewczynom życzeń.

– Mówi: „Trzymajcie się, będzie dobrze. Jeszcze będziecie żyć swoim życiem". I w płacz. I od razu my wszystkie też. Zaczynamy bić brawa, dziękować.

W sylwestra dziewczyny szykują sobie prezenty. Te, które mogą, kupują słodycze. Robią karteczki, jest losowanie. Wieczorem zebrane w kółku wymieniają się podarunkami.

– Na inhalacji ukradłam mały woreczek foliowy i mam do czego zapakować batonika. Na papierze piszę życzenia noworoczne. Nakupiłam jeszcze wszystkiego i idę dać dziewczynom, które nie mają pieniędzy. Bo widziałam, że nikt im nic nie wpłaca, nie mogą nawet zadzwonić.

Słodycze zanosi też Meksykance, która pomagała jej robić zamówienia na tablecie.

– A ona, że nie potrzeba, że zrobiła to tak po prostu, że trzeba sobie pomagać, i tyle. Za dwa dni przynosi mi kosmetyczkę: „Dla ciebie, na pamiątkę".

Jednak z każdym dniem Ela czuje się coraz gorzej, nie tylko psychicznie.

– Mam zapalenie oskrzeli, później zapalenie płuc. Dają mi silne antybiotyki. Potem zapalenie pęcherza. Codziennie na czczo dostaję garść leków. Żołądek mi już wysiada.

Terminy rozprawy przepadają jeden po drugim. Powodów nikt nie podaje. W końcu nie wytrzymuje.

– Idę do tych z ICE w ośrodku i mówię: „Nie chcę sprawy, już nie chcę tu być, po prostu muszę stąd wyjść, bo z dnia na dzień jest ze mną gorzej". To już trzeci miesiąc, nie daję rady psychicznie. Pytają, czy chcę dobrowolnie wyjechać z Ameryki.

Podpisuje papiery. Po dwóch tygodniach ma bilet.

– Milena, ta z Bułgarii, wychodzi tydzień przede mną. Mąż po nią przyjeżdża. Tak się cieszy, siedem miesięcy się nie widzieli. Ale do czasu decyzji sądu musi chodzić z obrączką na nodze i jest cały czas kontrolowana telefonicznie przez ICE. Nie może wyjeżdżać z miasta, o którejś godzinie musi być w domu. Nawet rok może to trwać. Dopiero będzie wolna. Po moim przylocie do Polski utrzymujemy kontakt, telefonujemy do siebie.

Rozprawa odbywa się zdalnie. Trwa trzy minuty. – Mówią mi, że nie mogę zostać w Stanach, bo się nie kwalifikuję

– Mogłabym z nią porozmawiać, do niej napisać?

– Nie zgodzi się, boi się, że jest podsłuchiwana. Cały czas bardzo się boi.

CZY ZOBACZĘ JESZCZE KIEDYŚ SYNA?

Ela dostaje informację, że leci w piątek 30 stycznia. Ale skąd i dokąd – nie mówią.

Ela przekazuje to Magdzie.

– Syn dzwoni do konsulatu w Houston i mówi, że nawet nie wie, kiedy mama wylatuje. Oddzwaniają za pół godziny z numerem lotu.

Ela opuści Otero za kilka dni.

– Boże, mówię do Amy, jak ja wsiądę do tego samolotu, to wszyscy uciekną, bo to wszystko śmierdzące w depozycie w worku trzy miesiące leży.

Dziewczyny piszą do pralni. Może wypiorą.

– Nie wierzę do końca, że polecę, tyle razy już kłamali. Ale wieczorem przychodzi strażnik i mówi: „Elizabeth, zbieraj się, rano jedziesz do domu". No szok. Wszystkie płaczemy. Jedzenie rozdaję. Podaję dziewczynom też PIN do mojego konta, bo zostały mi jeszcze pieniądze na dzwonienie. Wymieniamy się numerami telefonów i ściskamy. A potem mnie biorą. Całą noc to trwa, masa papierów do wypełnienia, wizyta u lekarza.

Aż w końcu dają jej rzeczy z depozytu.

– Patrzę, a one czyste wszystkie. Jednak się udało.

Rano, wciąż w kajdankach, jedzie autobusem do Teksasu. Zdejmują je dopiero w samolocie do Los Angeles, skąd ma lecieć do Polski. Pilnuje jej sześciu uzbrojonych funkcjonariuszy ICE.

– Ci strażnicy, co nas przywieźli do Los Angeles, nie są tacy źli. Jeden daje mi na chwilę mój telefon, ale jest rozładowany. To wyjmuje ładowarkę ze swojej torby, w podłodze jest kontakt i mówi: „Włącz". Karta mi działa. Dzwonię do Polski, do rodziny, że jadę już na lotnisko. I do Magdy.

W Los Angeles czeka siedem godzin na lotnisku zamknięta w małym pomieszczeniu z metalową ławką i ubikacją. Bez jedzenia. Ale wtedy myśli już tylko o tym, by wsiąść do samolotu. Do Warszawy.

– To jest normalny rejsowy lot, dużo Polaków czeka. ICE eskortuje mnie aż do rękawa. Pierwsza wchodzę do samolotu, dopiero potem inni pasażerowie. Ulgę czuję dopiero, gdy samolot odrywa się od ziemi. Z jednej strony ulga, a z drugiej smutek i strach. Zostawiam tam syna i nie wiem, czy jeszcze go zobaczę.

KIEDY TO MINIE

Z samolotu w Warszawie wysiada jako ostatnia. Z torebką, z którą trzy miesiące wcześniej wyszła do pracy. Czeka na nią „chłopak" ze Straży Granicznej.

Wręcza jej paszport: – Jest pani wolna.

Elę odbierają znajomi. Mieszka teraz czasowo u rodziny. Po aresztowaniu koleżanki spakowały jej mieszkanie w Chicago, syn zorganizował kontener. Pozamykał wszystkie sprawy i po dwóch miesiącach też wrócił do Polski.

– Dziewczyny całe nasze dwudziestoletnie życie tam schowały: talerze, szklanki, łyżki, garnki, patelnie, stół, krzesła. Dobrze, wszystko się przyda.

Teraz remontują mieszkanie, w którym spotykam się z Elą. Rozmawiamy kilka razy.

– Zaraz po przylocie bałam się wyjść z domu. Przez parę dni schodziłam na dół, robiłam parę kroków i wracałam. Nie wiem, czego się bałam, taki jakiś miałam strach, że ktoś za mną zaraz będzie stał. Na ulicy do dziś się obracam, sprawdzam, kto za mną idzie.

Potrafię się położyć i godzinami patrzeć w sufit. Ostatnio śniło mi się wszystko z detalami: to łóżko, ten koc, obrazek, który wisiał nad łóżkiem.

– Jaki obrazek?

– Taki z kolorowanki, od jednej z dziewczyn dostałam.

Po takich snach ręce trzęsą się jej przez cały dzień.

– Nie wiem, kiedy to minie. Lekarz psychiatra powiedział, że mam zespół stresu tego... jak to się mówi? Chodzę co tydzień na terapię, do psychiatry co dwa miesiące. W środę jeszcze mocniejsze leki mi przepisał.

Wiele w życiu przeszłam, ale nie sądziłam, że może spotkać mnie coś takiego. Niepojęte, że można traktować tak ludzi. Powiedziałam sobie, że nie zostawię tak tego, niech wszyscy wiedzą, co tam się dzieje. Tak, nie zalegalizowałam pobytu, ale nie zasłużyłam sobie na taki koszmar. Uczciwie pracowałam, nikomu krzywdy nie zrobiłam, a potraktowali mnie jak najgorszego bandytę. Jak śmiecia. ●

Imiona wszystkich osób oprócz głównej bohaterki zostały zmienione

eprasa.pl 883d017d18

Rezydencje dobrostanu

WĘDRUJĄCE kamyki

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA

Chętnych było cztery razy więcej niż miejsc. Każdy przed wyjazdem pozostawił w laboratorium próbkę moczu i krwi.

– Pierwszy raz w życiu zobaczyłam na żywo sarenki. Wieś kojarzyła mi się zawsze z egzotyką. Nie miałam na wsi nikogo bliskiego. Ale odkryłam, że dobrze mi tam. Sadziłyśmy drzewka, śliwy czy brzoskwinie. Cięłam drewno piłą.

Elżbieta Jankowska, lat 69, do programu „Rezydencja dobrostanu" zgłosiła się przez ciekawość. Od kilku lat jest na emeryturze. Całe życie w pracy siedzącej. Głównie na kasie w różnych zakładach przemysłowych. Urodziła dwie córki. Wychowała je sama. Od czasu rozstania z ich ojcem z nikim się nie związała.

– Nie boję się samotności. Nie raz wyjeżdżałam sama na wczasy. Jestem otwarta na świat, ciekawa nowych ludzi. Ale nic na siłę. Jak środowisko jest plotkarskie lub oceniające, to szybko się ewakuuję. Paulinę pierwszy raz zobaczyłam na targach rolniczych w Łodzi. Miała stoisko ze swoimi wyrobami z jabłek. Po spotkaniu integracyjnym rezydencji pokazuję córce w telefonie fotki, a córka: „Mama, a czy to nie ta babka od tego pysznego soku?". Świetnie, że trafiłyśmy na siebie. Paulina jest szczera, otwarta. Taka normalna.

KTO BĘDZIE PRACOWAŁ ZA DARMO?

Aktywność zawodowa Polaków i Polek po 50. roku życia rośnie. Stopniowo doganiamy pod tym względem naszych sąsiadów z Unii Europejskiej. Osoby w wieku 50-64 lata z wyższym wykształceniem pozostają u nas na rynku pracy niemal równie często co osoby z takim wykształceniem w całej Unii. A ci, którzy przekroczyli 65. rok życia, nawet lekko unijną średnią wyprzedzają.

Jak pokazuje europejskie badanie SHARE (Survey of Health, Ageing and Retirement in Europe), to właśnie poziom wykształcenia najsilniej rzutuje na decyzję o przechodzeniu na emeryturę. Najszybciej robią to osoby z wykształceniem gimnazjalnym i niższym, zwłaszcza pracownicy fizyczni. Ma to oczywiście związek i z zarobkami, i ze stanem zdrowia. A zdrowie polskich seniorów – zarówno fizyczne, jak i psychiczne – jest wciąż na niższym poziomie niż u ich rówolatków za granicą.

Pomysłodawczyni innowacji społecznej „Rezydencja dobrostanu" Celina Maciejewska, rzeczniczka do spraw seniorów w Urzędzie Miejskim w Łodzi, lat 59, zwraca uwagę na pewien paradoks:

– Często słyszę: emerytura to jest coś pewnego, a czy ja będę coś dalej robić zawodowo, to sam zdecyduję. Otóż, najczęściej nic nie robisz. Bo nie ma dla ciebie oferty. Emerytura okazuje się biletem w jedną stronę. Często nie potrafimy tego czasu w satysfakcjonujący dla nas sposób zagospodarować. Zaczyna dokuczać samotność, poczucie pustki, pojawiają się myśli depresyjne. Prawie 50 procent osób po 50. roku życia ma dziś objawy depresji. Choć to i tak mniej niż jeszcze 20 lat temu. Odpoczynek jest ważny, ale nasz mózg i nasze ciało potrzebują codziennych wyzwań, sprawczości i celu. A ten musimy po przejściu na emeryturę na nowo zdefiniować.

Jej pomysł polegał na tym, że Łodzianie na emeryturze pojadą na dwutygodniowy pobyt w gospodarstwach wiejskim. I nie na bierny wypoczynek, ale po to by uczestniczyć w życiu rolników. Z nimi pracować, jeść, rozmawiać. Praca ma być lekka, dostosowana do możliwości każdego z uczestników i zajmująca nie więcej niż cztery godziny dziennie, ale jednak konkretna i użyteczna. Wszystko odbywa się na zasadach wolontariatu. Rezydenci wolontariusze nie ponoszą dodatkowych kosztów.

Celem innowacji miało być zbudowanie środowiska, w którym aktywność, sens działania, nowa znajomość przyczyniają się do polepszenia dobrostanu seniora. Przy okazji chodziło o przekłucie społecznych baniek i zburzenie murów: pomiędzy miastem a wsią, pomiędzy seniorami a osobami o pokolenie młodszymi. A także o wyjście naprzeciw dwóm równoległym kryzysom: samotności seniorów i braku rąk do pracy w gospodarstwach wiejskich.

Inspiracją była brytyjska psychiatrka i psychoterapeutka Sue Stuart-Smith, autorka książki „Kwitnący umysł. O uzdrawiającej mocy natury", w której dowodzi, że kontakt z przyrodą stanowi skuteczną terapię dla osób zmagających się z traumami.

Celina Maciejewska najpierw wypróbowała tę ideę na sobie. Od kilku lat kilka razy w tygodniu jeździ po pracy 40 kilometrów na swoje gospodarstwo. Urządziła tam hodowlę kur rasowych „Kurrum ptasi ogród" i zarazem miejsce regeneracji dla siebie i swojego partnera.

Drugą inspiracją była jej znajoma Jagoda Kropidłowska. Kiedyś wspomniała przy Celinie, że marzy o wyjeździe na prawdziwą wieś, by popracować w ogrodzie, wśród zwierząt: „Tylko nie mam z kim i dokąd". Teraz często jeżdżą do „Ptasiego ogrodu" razem.

Jagoda uosabia w oczach Celiny ideę dobrego starzenia się. O jakość swojego życia na emeryturze zadbała wkrótce po pięćdziesiątce. Zainwestowała w szkolenia z obsługi smartfonów i komputerów. Dziś w wieku lat 76 prowadzi zajęcia dla seniorów na Uniwersytecie Trzeciego Wieku, śpiewa w chórze Muzyczne Perły. Wspiera osoby starsze, zmagające się z samotnością i wykluczeniem społecznym.

Obie wspólnie dopięły szczegóły rezydencji dobrostanu. Ubiegając się o grant, stanęły online przed komisją konkursową. Usłyszały wątpliwość: „A kto będzie chciał pracować za darmo?".

Chętnych do pracy jednak nie brakowało. Trudniej było pozyskać gospodarzy – tu z kolei pojawiała się inna obawa: „Tyle pracy na wsi, jeszcze mam się opiekować starszą osobą?

„Za darmo" i „opieka" – te dwa stereotypy należało skruszyć.

KOBIETA NA ZAKRĘCIE

Jadę obejrzeć miejsce, gdzie swoją rezydencję odbyła Elżbieta. Siedlisko Pauliny Gortat-Gapińskiej nosi nazwę „Za kredensem" i znajduje się we wsi Szczecin w powiecie brzezińskim. 15 hektarów pola i sad. Porośnięty bluszczem piętrowy dom z czerwonej cegły ma 40 lat. Stoi w pewnym oddaleniu od szosy przecinającej wieś. W środku pusto. Trwa remont.

Paulina mieszka na stałe w Poddębicach, 60 kilometrów od Szczecina.

– Mąż na początku tutaj przyjeżdżał ze mną – opowiada. – Ale on tylko: szybko, szybko. Ogarniamy, co jest do ogarnięcia i lecimy. A mnie chodziło o to, że tutaj

eprasa.pl 883d017d18

mamy się nie śpieszyć. Tu jest miejsce bez krzyku i bez poganiania. W którymś momencie mąż powiedział, że jest tu ostatni raz. No i dobrze.

Paulina wynajęła sobie kogoś do pomocy. Urządziła sobie sypialnię i spędza w Szczecinie coraz więcej czasu. Wychodzi rano na ganek, patrzy na pole i rozmyśla o swoim życiu.

Ma 49 lat. Skończyła ekonomię rolniczą w Warszawie na SGGW. Wróciła na wieś, wyszła za mąż za kolegę ze szkoły, urodziła trójkę dzieci. Właściwie wychowywała je sama, bo mąż zajmował się zarabianiem. Ona podjęła pracę w ośrodku doradztwa rolniczego. Na 20. rocznicę ślubu mąż zaproponował podsumowanie. Wyszło na to, że on przez dwie dekady zbudował dwie firmy, a Paulina nie osiągnęła nic. Siedziała w domu.

„Nic". To słowo zabolało. Spadły różowe okulary.

– Wolno idzie ten remont, wiem. Kiedy mam trochę gotówki, wymienię okno, za jakiś czas wymienię kolejne. Po każdym oknie przychodzi mi do głowy nowy pomysł. Zrobić tu warsztaty agroturystyczne, ogródki warzywne dla dzieci, warsztaty kulinarne... Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale już skręciłam w swoją stronę.

Na rezydencję przeznaczyła swój urlop w pracy. Potraktowała jako inwestycję w siebie. Żeby otworzyć się na nowych ludzi. Tak w jej życiu pojawiła się Ela.

– Ela jest fantastyczna. Rzutka, pełna pomysłów. Jak widzi, że krzak porzeczki pełznie po ziemi, to mówi, chodź, musimy ją podeprzeć. Poszłyśmy zbierać kamienie z pola. Kładziemy je na miedzy, a Ela: „Jakie genialne kamienie. Czy mogę sobie wziąć kilka?".

– Po co były jej kamienie? – pytam.

– Nie mówiła ci, że ona maluje wędrujące kamienie? Malujesz kamyk markerem akrylowym, oznaczasz go kodem pocztowym, zostawiasz gdzieś. Ktoś go znajduje, robi sobie z nim zdjęcie, wrzuca do internetu, a potem domalowuje coś na nim i wywozi w nowe miejsce. Pomyśl, ja sobie siedzę tu w Szczecinie, maluję na kamyku ślimaka. A potem patrzę w internecie, a ten mój kamyk wylądował w Nowym Jorku i ktoś domalował ślimakowi okulary. I ja się czuję, jakby ktoś wybudował most pomiędzy Szczecinem a Nowym Jorkiem. Od razu urządziłam z Elą warsztaty z malowania kamieni. Chwyciło. Wiele osób w okolicy maluje teraz kamienie.

Wczoraj rozmawiałam na ten temat z moją mamą. Powiedziała, że to głupie. Że zamiast zająć się czymś poważnym, to ja kamyki maluję.

PANUJĄCY NAD OTOCZENIEM

Ostatecznie gospodarstw zgłosiło się kilkanaście. Ktoś potrzebował pomocy przy ogródku warzywnym, ktoś przy karmieniu zwierząt, przy uprawach szklarniowych. Jedna rolniczka szukała kogoś, kto ugotuje obiad, wtedy, gdy ona jest zajęta w polu.

Kandydatów na rezydentów było cztery razy więcej. Celina i Jagoda musiały przeprowadzić selekcję i rekrutację. Nie przeszły jej osoby, co do których zaistniało podejrzenie, że liczą na darmowe wczasy pod gruszą.

Celina Maciejewska jest z wykształcenia rolniczką, psycholożką i pedagożką. Jej innowacja to nie aktywizm, ale eksperyment naukowy, który ma wytyczyć nowe szlaki. Każdy uczestnik przed wyjazdem wypełnił więc test: opracowany przez amerykańską psycholożkę Carol Ryff kwestionariusz (Psychological Well-Being Scales, PWBS) badający dobrostan w ujęciu eudajmonistycznym.

Eudajmonizm to kluczowe słowo dla rezydencji. Wywodzi się z filozofii Arystotelesa i oznacza dążenie do pełni szczęścia poprzez samorealizację oraz życie w zgodzie z własnymi wartościami.

Ankietowani ocenili w punktach, jak widzą siebie w sześciu wymiarach: samoakceptacji, rozwoju osobistego, celu w życiu, autonomii, panowania nad otoczeniem i relacji z innymi. Zaraz po powrocie wypełnili go ponownie. Wszystkim wzrosła punktacja w każdym z wymiarów. Najbardziej w zakresie „panowania nad otoczeniem" i „celu życiowego".

Każdy przed wyjazdem pozostawił w laboratorium próbkę moczu i krwi w celu zbadania poziomu kortyzolu i dopaminy. Po powrocie badanie powtórzono. Wszystkim imponująco wzrosła dopamina. Co do kortyzolu, było różnie. Niektórym hormon stresu opadł, innym lekko się podniósł, co jest naturalne w sytuacji zmiany otoczenia. Ale w bezpiecznych granicach. Komuś, kto miał bardzo wysoki poziom, kortyzol opadł znacznie. Innej osobie, która miała niebezpiecznie niski – wzrósł do połowy normy.

◀ **Mirek u Magdaleny Deki w jej gospodarstwie w Ralewicach**
FOT. MARCIN STĘPIEŃ/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Korzyści z rezydencji mają więc niekwestionowany efekt wymierny.

KROWA TO JEST KROWA

Ciekawe, że po stronie rolników zgłosiły się wyłącznie kobiety – rolniczki angażujące się w życie lokalnych społeczności. Po stronie seniorów: sześć pań, czterech panów.

Mirek, 72 lata, szukał zapachów. Końskiego łajna, skoszonego siana, zapachu sieczki dla krów z liści buraków pastewnych. Zapachów wsi z dzieciństwa, gdy jako kilkulatek jeździł z braćmi do cioci. Na spotkaniu integracyjnym, gdzie rolniczki prezentowały swoje oferty, wypatrywał kogoś ze zwierzętami:

– Jedna pani prowadziła gospodarstwo z lamami czy alpakami. Szukała kogoś, kto będzie ich doglądał i oswajał z obcymi. Bo one mają być zwierzętami terapeutycznymi. Już miałem brać lamy, ale wtedy weszła Magda i powiedziała, że ma krowy i króliki. Natychmiast zmieniłem zdanie i zarezerwowałem Magdę. Lama to miłe zwierzątko. Ale krowa to jest krowa.

WIEŚ BEZ PUDRU

Magda Deka, lat 43, z Ralewic w gminie Zadzim jest znaną w regionie i nagradzaną serowarką. Prowadzi gospodarstwo „Sery zza gaja", a także hodowlę psów rasy jack russell terrier.

Babcia nauczyła ją, że kobieta musi mieć swoje pieniądze. Choć sama pracowała na gospodarstwie i prowadziła dom, to jeszcze, pomimo protestów dziadka, chodziła do pracy w pegeerze. No i na starość miała dwie emerytury krusowską i zusowską. Bardzo to sobie chwaliła.

Magda do programu „Rezydencja dobrostanu" zgłosiła się jako jedyna w gminie.

– Niektórzy sąsiedzi nadziwić się nie mogli. A ty się nie boisz wpuszczać obcych do domu? A skąd wiesz, kto ci przyjedzie? A ja im odpowiadam: trzeba zawsze z ludźmi szukać wspólnego mianownika. Jak będziemy mieć cały czas na siebie pomstować, to do czego to dojdzie? – opowiada mi. – A poza tym lubię towarzystwo starszych osób. Cenię ich doświadczenia, dystans, cierpliwość, empatię. Mój teść taki był. Zmarł 17 lat temu. Brakuje nam go bardzo. Ja lubię z kimś porozmawiać, a nie mam za bardzo z kim. Praktycznie cały dzień jestem sama w domu. Mąż pracuje do późna.

Chciała też pokazać światu swoje gospodarstwo, z którego jest dumna, które nazywa gospodarstwem bez pudru. U niej jest tak, jak powinno być na wsi. Krowy pasą się na pastwisku, marchew i sałatę zrywa się w ogrodzie, a po jaja zachodzi się do kurnika, a nie do Dino.

Myślała też o synach, zwłaszcza o tym młodszym, dwunastolatku. Żeby pokazać mu, że starsi ludzie to nie tylko babcia i dziadek. Że takich ludzi jest więcej, każdy ma inne przyzwyczajenia i inny pogląd na świat, inne ułomności swojego wieku.

Tylko czy Mirka można nazwać starszym panem?

JEST I KOŃ

Siedzimy w trójkę u Magdy w kuchni. Popijamy kawę. Na kolanach każde z nas trzyma małego pieska. Mój artykuł to pretekst dla Mirka, żeby przyjechać do Magdy ponownie.

To jego pierwszy dłuższy kontakt ze wsią od jakichś sześćdziesięciu lat. Jest budowlańcem. Po 89 roku trochę pracował w szwalni jako krojczy, przez pewien czas prowadzili z żoną sklep spożywczy. Później na 11 lat wyjechał do Francji, pracował na budowie w małej firmie rodzinnej. Żona trochę się tam nudziła, więc wróciła od Polski zająć się wnuczką. On został aż do emerytury.

– Podoba mi się luz Francuzów – mówi. – U nas nawet w małych firmach szef zawsze pod krawatem, pilnuje się hierarchii. A tam wszyscy na ty. Szef, jak trzeba było, sam przywoził materiał. Siadał za drążkami na koparce.

W Łodzi mieszkają z żoną w czteropiętrowym bloku. – Żona lubi poczytać w domu. A mnie ciągnie do ludzi. I ona to rozumie.

Jedyne, co go martwiło, to to, że w Ralewicach nie ma koni. Co się okazało? Jest i koń. U ojca Magdy w sąsiedniej wiosce. W ciągu dwóch tygodni rezydencji Mirek kursował więc pomiędzy dwoma gospodarstwami. Z ojcem Magdy oporządzał konie. Z mężem Magdy siał kukurydzę na traktorze, z ich synem wyrzucał obornik i karmił króliki, pomalował farbą antykorozyjną płozy pługa. Z Magdą natomiast snuł długie rozmowy w kuchni przy kawie.

Siedzę sobie tu na wsi i maluję na kamyku ślimaka. A potem patrzę w internecie, a ten mój kamyk wylądował w Nowym Jorku i ktoś domalował ślimakowi okulary

• **Ela (po prawej) w siedlisku Pauliny Gortat-Gapińskiej we wsi Szczecin**
FOT. MARCIN STĘPIEŃ/ AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 883d017d18

Jak wyglądały te ich rozmowy? Pewnie tak jak ta nasza. O psach. Jak to mają słabo w mieście, zamknięte w mieszkaniu, gdzie cały dzień czekają na właściciela. Potem zeszło na chrzty. Chrzcić niemowlęta czy nie? Co robić z naciskami rodziny? Nie przyszło nam do głowy rozmawiać o polityce. To by zakłóciło błogość tego dnia.

DOBRO POCOVIDOWE

Polska jest najszybciej starzejącym się krajem w Unii Europejskiej. Osoby w wieku 65 lat i więcej stanowią u nas już ponad 21 procent populacji. Jednocześnie mamy niespełna sześciuset czynnych zawodowo lekarzy geriatrów. Przy zapotrzebowaniu szacowanym na trzy tysiące.

Kiedy kilka lat temu Celina Maciejewska zaczynała studia podyplomowe z psychogeriatrii, na jej kierunek zgłosiło się 15 osób. Było ryzyko, że w ogóle go nie otworzą.

W 2023 roku przeprowadziła w swoim urzędzie w Łodzi badania na temat postrzegania osób starszych. Wyniki ją przeraziły:

– Stereotypy sypały się jak z rękawa – opowiada. – Że osoby starsze pracują wolniej, że nie ogarniają technologii, nie rozumieją współczesnego świata, że częściej chorują... A to wcale nie jest prawda. Co gorsza, kiedy rozmawiałam z psychologami, słyszałam też straszne rzeczy. Na przykład, że wszelkie oddziaływania terapeutyczne to tylko do 60. roku życia. Bo potem rzekomo pojawia się „sztywność".

Wielką traumą była dla starszych osób pandemia koronawirusa. Pogłębiła izolację, poczucie wykluczenia, ich lęk o zdrowie i życie. Istnieje jednak mądre powiedzenie, że żadna katastrofa nie powinna się zmarnować. Jagoda Kropidłowska widzi, jak bardzo COVID seniorów uaktywnił:

– Kiedyś słyszałam: ja nie potrzebuję internetu, wystarczy mi zwykły telefon. Teraz starsze osoby garną się do smartfona, polecają sobie wzajemnie nowe aplikacje. Częściej robią zakupy online, poznają ludzi w social mediach. Te covidowe kompetencje zostają z nami. W wiek senioralny wchodzi pokolenie, które zmienia tradycyjny wizerunek starszej Polki, starszego Polaka. To coraz częściej osoby bezdzietne lub nieposiadające jeszcze wnuków. Chwieje się więc mit, że osoba starsza to babcia lub dziadek. A prawdziwa babcia nie musi dziś robić na drutach. Wnuki – jeśli są – oczekują od niej czego innego. Nie ma sensu na siłę pielęgnować przestarzałych wzorców.

Program pilotażowy „Rezydencja dobrostanu" ukończyło dziewięć osób. Jeden mężczyzna zrezygnował w trakcie.

– Przyjechał pełen zapału. Wysprzątał z nami stodołę, chciał nawet zaprosić do nas swoich znajomych na ognisko – opowiada Paulina Gortat-Gapińska z „Za kredensem". – I nagle coś pękło. Coś tam się w jego życiu zadziało. Wczoraj z nim rozmawiałam przez telefon. Ma trudny czas. Może to nie jego droga.

Dla niej i dla Elżbiety to był strzał w dziesiątkę. Tego dnia, kiedy odwiedziłam Paulinę, ona wieczorem wybierała się do Łodzi do Elżbiety. Szły razem do pubu na koncert zespołu szantowego.

Mirek zapowiedział się do Magdy Deki na lato. Już całkiem prywatnie. Ustalili cały program jego nowego pobytu.

– Założeniem projektu było, że rezydenci 60+ i gospodarze nawiążą relacje i się zaprzyjaźnią. Że to będzie jak kamyk rzucony w wodę, który wywołuje fale. I chyba się udało – mówi Celina Maciejewska. – Jeden z kandydatów na rezydentów, który nie zakwalifikował się z przyczyn formalnych, bo był z innego województwa, tak się zapalił do naszego projektu, że postanowił go zrealizować u siebie w Lubuskiem na własną rękę. Poprzez miesięcznik „Wieści Rolnicze" nawiązał kontakt z rolnikiem, do którego jeździ i mu pomaga.

Rzeczniczka łódzkich seniorów napisała przewodnik, jak krok po kroku realizować rezydencje dobrostanu. Z nadzieją, że pomoże on innym gminom i organizacjom tworzyć podobne inicjatywy.

Oglądam ostatni kwestionariusz, w którym rezydenci wpisywali wrażenia i uwagi po powrocie:

„Więcej takich projektów dla emerytów", „Termin powinien być bliżej lata", „Promienieję szczęściem". ●

Program pilotażowy innowacji „Rezydencja dobrostanu" realizowano w okresie wrzesień 2025 – maj 2026 r. Wsparcie finansowe uzyskał w ramach projektu „Generator Innowacji. Sieci wsparcia 3". To dofinansowany przez Unię Europejską program testujący nowe rozwiązania na rzecz poprawy jakości życia osób starszych, realizowany przez PCG Polska Sp. z o.o. i Towarzystwo Inicjatyw Twórczych.

Na co dzień i na czarną godzinę

POCZUJ MOC złota

Ze złotem nie ma żadnych problemów. Poza jednym – trzeba je gdzieś schować.

TOMASZ KWAŚNIEWSKI
JAN RYBICKI

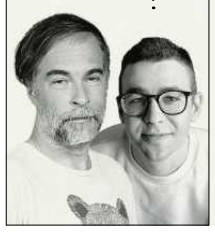

„Narodowy Bank Polski posiada obecnie ponad 613 ton złota o wartości około 324 mld zł, co stanowi około 30 proc. łącznych aktywów rezerwowych" – chwali się na swojej stronie NBP i dodaje, że dzięki temu Polska znajduje się w elitarnej dziesiątce państw z największymi rezerwami złota – obok USA, Niemiec, Włoch, Francji, Rosji, Chin, Szwajcarii, Indii i Japonii.

I nie ustaje w jego gromadzeniu.

Poniżej owej informacji jest zdjęcie uśmiechniętego prezesa NBP, czyli Adama Glapińskiego, który trzyma dłoń na sztabach złota. A następnie króciutki tekst, jakby baner: „Tak! Mamy już więcej złota niż Europejski Bank Centralny".

Po czym następuje informacja, że prezes NBP „dokonał inspekcji zasobów złota (...) w skarbcu Banku Rezerwy Federalnej w Nowym Jorku. – Osobiście zweryfikowałem sposób przechowywania części naszych narodowych rezerw. Potwierdziłem, że zasoby polskiego złota są bezpieczne, kompletne i właściwie przechowywane".

Prezes w celu inspekcji udał się do USA, a my, jako że zdecydowaliśmy się napisać tekst o Polakach i złocie, postanowiliśmy udać się z inspekcją do prezesa. Albo kogokolwiek z NBP, kto zechciałby o nim z nami porozmawiać. W tym odpowiedzieć na pytanie: a po co nam ono?

Nad wejściem do siedziby NBP napis, wypisany oczywiście złotą czcionką: „Niezależny bank centralny jest siłą Polaków", który, jako że jesteśmy Polakami, naturalnie nas pokrzepił. Po czym weszliśmy w bramę i utknęliśmy.

Siedzący za szybką strażnik poinformował nas, że aby wejść do środka, musimy mieć przepustkę. Co po chwili potwierdziła też pani z biura przepustek, do której się dodzwoniliśmy z zawieszonego na ścianie obok bramki wewnętrznego telefonu NBP. Sęk w tym, że aby zdobyć ową przepustkę, musiałoby o nią wystąpić biuro prasowe, do którego – i na to już ani pani z biura przepustek, ani strażnik poradzić nic nie mogą – możemy tylko zadzwonić albo napisać e-maila, na którego oni od ośmiu tygodni nam nie odpowiadają.

Siedzimy w salce wykładowej warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej, w której Piotr Maszczyk kieruje Zakładem Makroekonomii i Ekonomii Sektora Publicznego w Katedrze Ekonomii II Kolegium Gospodarki Światowej.

– Żeby nikt nie poważył się nawet myśleć, żeby zaatakować naszą walutę – mówi. I tłumaczy: – Wyobraźmy sobie, że ktoś atakuje polską walutę. Tak jak to zrobił George Soros, atakując funta. Na początku lat 90. funkcjonował Europejski Mechanizm Kursowy (ERM): waluty utrzymywano w określonych pasmach wahań wobec siebie, a punktem odniesienia była marka niemiecka. Soros założył

ZŁOTO DO OBRONY

– Złoto, które skupuje NBP, jest na czarną godzinę – wyjaśnia dr Piotr Maszczyk.

eprasa.pl 883d017d18

się z całym rynkiem, że funt wypadnie z ERM. Po czym zrobił wszystko, żeby tak się stało. Czyli przede wszystkim zaczął go sprzedawać. Bo to jest najlepszy sposób – jak czegoś jest dużo, to traci wartość. I funt wypadł z ERM, a Soros zarobił na tym miliard dolarów.

– No i?

– No i Glapiński boi się tego samego. Czyli, że ktoś kiedyś uzna, że pobawi się polskim złotym w taki sposób, że zacznie go sprzedawać. I co wtedy zrobi Glapiński? On zacznie tego złotego kupować. Za to złoto, które ma w sejfie. Czyli będzie tworzył popyt na złotego, dzięki czemu jego kurs nie będzie spadał.

To złoto jest też ważne, ponieważ jeżeli kiedykolwiek, w co wątpię, ale gdybyśmy jednak chcieli wejść do strefy euro, musielibyśmy w takim mechanizmie przedziału kursowego utrzymać złotego przez dwa lata – przez ten czas jego kurs do euro musiałby być plus minus taki sam. A jak nie, to zaczynamy zabawę od nowa. No i wtedy oczywiście wszyscy zaczną zakładać się o to, czy złoty wypadnie z tego korytarza. I będą też robić wszystko, by tak się stało. Nie sądzę, żeby Glapiński o tym myślał, skupując złoto, bo to nie jest zwolennik euro w Polsce, niemniej ono nam się wtedy przyda.

– A dlaczego my w sumie mamy złoto...

– ...a nie na przykład dolary?

– Właśnie.

– Dolary też mamy. Euro. Jeny. Franki szwajcarskie. Chodzi o to, że nie warto opierać rezerw wyłącznie na walutach. Złoto jest aktywem uniwersalnym i doskonale je dywersyfikuje.

PURE GOLD

Jeszcze osiem lat temu Aneta i Paweł Mazurek nawet by nie pomyśleli, że będą zajmować się złotem. A dziś, jak szacują, sprzedali Polakom już kilkanaście ton.

Ona jest po dziennikarstwie na Uniwersytecie Warszawskim, studiowała też zarządzanie markami luksusowymi na Uniwersytecie SWPS. On na Uniwersytecie Warszawskim ukończył prawo. Ona zajmowała się komunikacją, a on wydawał książki, głównie edukacyjne, ale też katolickie, na przykład o JPII.

Siedzę sobie teraz przy stole w ich biurze, ich firma Mennica Mazovia jest autoryzowanym dystrybutorem fizycznych metali inwestycyjnych.

– Producenci złota, z którymi my współpracujemy – mówi Paweł – posiadają akredytację London Bullion Market Association (LBMA), organizacji wyznaczającej najwyższe standardy dla światowego rynku złota...

– ...to właśnie od takich producentów złoto trafia na przykład do banków centralnych – dodaje Aneta.

Paweł: – Uzyskanie i utrzymanie akredytacji LBMA wymaga spełnienia rygorystycznych warunków. Złoto musi pochodzić z legalnych, odpowiedzialnych źródeł, być pozyskiwane z poszanowaniem praw człowieka, zasad etycznego handlu oraz standardów środowiskowych. Poz tym kruszec musi mieć najwyższą jakość, czystość...

Aneta: – ...złoto inwestycyjne, czyli to, które my oferujemy, to jest 99,99 proc. złota w złocie...

Paweł: – ...to jest po prostu pure gold.

Aneta i Paweł w złoto weszli przez przypadek.

– Znajomy, który od lat związany był z rynkiem złota, założył firmę, i poszukiwał partnera – opowiada Paweł. – I tak, wtedy dużo mniej wiedziałem o złocie.

– A co cię przekonało? – pytam.

Paweł: – Myślę, że samo złoto...

– W sensie, że pokazali ci sztabkę...

– ...to może ja przyniosę parę sztabek, będzie nam się konkretniej rozmawiało – proponuje Aneta, a Paweł mówi, że magia tego kruszcu nie polega jedynie na fizycznym z nim kontakcie, ale też na tym, że daje on poczucie niezależności.

– Złoto nie ma emitenta – mówi. – Nie jest wyrażone w żadnej walucie, tylko w gramach albo w uncjach. Można je zabrać ze sobą niemal wszędzie i wymienić na lokalną walutę. Złoto daje nam więc wolność od systemu bankowego. A nawet od prądu. Bo jak chcesz wyjąć pieniądze z bankomatu, to musi być prąd, a złoto można mieć w sejfie, w kieszeni.

Aneta rozkłada na stole sztabki warte ok. 50 tys. zł.

– Na tej jest napisane – przybliżam jedną z nich do oczu. „Switzerland 100 gramów, fine gold 99,99". Plus jakiś numer...

Aneta: – ...to jest numer tej sztabki. Bo każda ma swój.

Paweł: – Po tym numerze można też sprawdzić, czy ona jest oryginalna. Poza tym na sztabce musi być oznaczona próba, a w przypadku monet rok ich wybicia.

Aneta: – A tu z kolei mamy sztabki jednouncjowe, czyli 31,1-gramowe. One są zamknięte w specjalnym, przezroczystym opakowaniu, będącym jednocześnie certyfikatem autentyczności...

Paweł: – ...na nim jest też wybity numer certyfikatu tej londyńskiej giełdy złota. Dzięki czemu można to złoto na przykład wziąć do kieszeni i wyjechać z nim za granicę i tam je sprzedać.

Aneta: – Taka sztabka kosztuje około 17 tys. zł. Tak samo jak ta moneta...

Paweł: – ...złota, australijska studolarówka, potocznie nazywana kangurem. Ona też jest jednouncjowa.

Paweł: – A te malutkie sztabki ważą gram. I kosztują około 600 zł...

Aneta: – ...ludzie coraz chętniej je kupują.

Paweł: – Dlatego teraz rafinerie zaczęły produkować też półgramowe sztabki oraz monety. Wszystko po to, żeby jeszcze bardziej spopularyzować złoto.

Aneta: – Ważną informacją jest to, że złoto inwestycyjne jest zwolnione z podatku VAT, zawsze płacimy więc tylko za złoto.

Paweł: – Dodatkowo, po pół roku od jego zakupu, nawet jeśli na nim zarobiliśmy, nie odprowadzamy tzw. podatku Belki.

Aneta: – I rzeczywiście Polacy coraz częściej kupują złoto.

– Oczywiście mówimy o bogatych – porządkuję sprawę.

Aneta: – No właśnie nie tylko.

Paweł: – Do nas przychodzą rodzice z dziećmi, żeby kupić złoto za pieniądze, które one otrzymały na przykład na komunię. Niejednokrotnie świadczenia z programu „Rodzina 800 plus" są przeznaczone na comiesięczny, regularny, zakup jednogramowej sztabki złota.

Aneta: – Kupują je też firmy: na prezenty, nagrody dla swoich pracowników.

Paweł: – Ludzie kupują też złoto na urodziny, śluby. Ale przede wszystkim jako zabezpieczenie przyszłości.

Aneta: – Ciekawostką jest to, że czasem robią to w tajemnicy przed partnerką, partnerem. Wiemy, bo są sytuacje, że prowadzona jest sprawa spadkowa czy rozwodowa i dostajemy zapytanie z sądu, czy Jan Kowalski zakupił u nas jakieś złoto.

RYS. SHUTTERSTOCK

Skupuje pan złote zęby?
– Szkoda wyrzucić.

CZASEM DOSTAJEMY ZŁOTE ZĘBY

Przemysław Słomski, właściciel firmy 79 Element, sprzedaje i skupuje złoto pod każdą postacią. Niektórzy klienci oddają mu złoto i płaczą: „Wie pan, myślałem, że przekażę dzieciom, ale potrzebuję pieniędzy na operację". Słomski pociesza, że tragedia by była, gdyby złota nie mieli.

Co Polacy przynoszą do skupu poza sztabkami i monetami inwestycyjnymi?

– Obrączki ślubne, pierścionki, zawieszki, łańcuszki od zegarków, medale, stare monety. Raz trafiła się złota papierośnica, podarowana niemieckiemu wojskowemu gdzieś w Estonii pod koniec I wojny światowej. Czasem dostajemy złote zęby. Wie pan, nie chcę wchodzić w dentystyczne szczegóły, ale implanty nie są wieczne. A złoto: tak.

– I kupuje pan zęby?

– Ząb waży jakieś trzy gramy, teraz to około 1500 złotych. Szkoda wyrzucić.

– Często spotyka się pan z fałszerstwami?

Słomski uśmiecha się pod nosem. Złote monety 20-dolarowe podrabiano w latach 70. w Belgii na taką skalę, że fałszywki mają nawet własną nazwę: belgijki. To najczęstsze fałszerstwo, z jakim ma do czynienia w skupie.

– Klienci czasem się oburzają, kiedy im mówię, że przynieśli fałszywki. „Co pan mówi, to dziadek kupował, on nie dałby się oszukać!" – usłyszałem niedawno.

eprasa.pl 883d017d18

To są bardzo dobre podróbki, niejeden się dał nabrać, uspokaja w takich sytuacjach Słomski. Pokazuje różnice w fakturze monety, które wskazują, że nie została wybita – jak oryginał – tylko odlana. Przeprowadza badanie spektrometrem. Jego wynik zwykle wycisza posiadaczy sfałszowanych monet. Zresztą belgijki też wykonane są ze złota, tyle że gorszej próby, nie mniej wciąż są sporo warte.

Ostatnio Słomski zetknął się natomiast z fałszerstwem zupełnie bezczelnym.

– Facet przysłał nam dwie sztabki złota, chciał 40 tys. zł. Każdy, kto ma doświadczenie ze złotem, od razu by się zorientował, że coś się nie zgadza. Zbadałem sztabki spektometrem i wyszło, że nie ma w nich ani procenta złota. Odpisałem, że to podróbki. Na co on, że w takim razie spuści z ceny – a my sprzedamy te podróbki z zyskiem. I zapytał, czy nie chcemy więcej takich sztabek! Zagotowałem się, zgłosiłem sprawę na policję. Zgarnęli gościa.

– Zawsze przypominamy, że na rynku złota nie ma okazji – znów jesteśmy u Anety i Pawła w biurze.

Paweł: – Czyli nigdy nie kupujemy złota z bagażnika na parkingu, bo ten ktoś, kto sprzedaje, potrzebuje na operację córki. Itd.

Aneta: – Do takiej firmy jak nasza można przyjść, mamy adres, nazwę.

Paweł: – I wszystkie niezbędne certyfikaty.

Aneta: – Niewiele osób też wie, że taka działalność jak nasza podlega pod nadzór NBP.

ZŁOTO NIE PRZYCIĄGA

Jakub metale szlachetne zaczął kupować w 2020 roku, kiedy na studiach z ekonomii od jednego z wykładowców usłyszał, że to prosty i bezpieczny sposób na inwestowanie. Dołączył do grup online dla handlujących srebrem i złotem, korzystając z profili założonych na fikcyjne dane.

– Złoto lubi ciszę. Nikt nie powinien wiedzieć, że masz w domu metale szlachetne – tłumaczy.

Rozmawiamy online. Mnie też nie pokaże twarzy ani nie powie, gdzie mieszka. Zdradzi tylko, że ma czterdzieści lat i zarabia średnią krajową.

Jakub uważa, że handel złotem na Facebooku wymaga ostrożności.

– Na internetowych aukcjach wiele osób po prostu szuka jelenia. Sprzedający chcą wcisnąć podróbki, kupujący liczy, że znajdzie coś wartościowego za ułamek ceny – mówi.

Podaje przykład ogłoszenia, na które natrafił w sieci: „Zalazłem walizkę z monetami po dziadku, nie wiem, ile to jest warte, sprzedam”.

Umówił się w galerii handlowej. Sprzedawcą okazał się krępy mężczyzna, na oko czterdziestoletni. Usiedli przy stoliku w części restauracyjnej. Mężczyzna zaprezentował zawartość walizki.

– Metale szlachetne mają słabe własności magnetyczne. Za monety, których magnes nie złapie, dam panu 100 złotych od sztuki – powiedział Jakub i wyciągnął na stół magnes neodymowy.

Mężczyzna zamknął walizkę i bez słowa odszedł.

Dziś, po sześciu latach doświadczeń z metalami, Jakub woli dostać złoto do ręki w autoryzowanym sklepie. Jeśli handluje przez internet, to tylko z ludźmi, którzy na grupach online funkcjonują od lat i mają dobrą reputację.

Gdy złoto pochodzi od niego, dla bezpieczeństwa nagrywa filmik z pakowania: pokazuje monetę, waży ją, a później układa taśmę na pudełku w charakterystyczny sposób, żeby można było rozpoznać, że pakunek nie został później otworzony. Tak samo dokumentuje odpakowanie paczki.

– Jak przesyłacie sobie to złoto?

– Pocztą albo do paczkomatu. Tak samo robią duże firmy, tylko że one mają podpisane umowy z przewoźnikami. My robimy to w szarej strefie.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Jak wybuchła wojna w Ukrainie, to u nas były kolejki, zapisy na złoto

– W szarej strefie?

– Każdy komercyjny przewoźnik ma wpisany w regulamin zakaz wysyłania metali szlachetnych, poczta każe ci wykupić dodatkowe ubezpieczenie. Więc robimy tak, że wysyłasz złoto do paczkomatu normalną przesyłką i modlisz się, żeby doszło. Tak jest taniej.

ZE ZŁOTEM DOBRZE SIĘ UCIEKA

Gdy Paweł z Anetą osiem lat temu zaczynali swoją przygodę ze złotem, kosztowało ono, doskonale to pamiętają, 6 tys. zł za uncję. A dzisiaj to jest 15 300 zł.

Paweł: – Na początku tego roku sprzedawaliśmy je już po 20 tys. zł. Czyli na jednej jednouncjowej monecie kupionej osiem lat temu można było zarobić 10 tys. zł. I to bez podatku.

Aneta: – Gdy jest niespokojnie, to złoto zawsze rośnie.

Paweł: – Jak wybuchła wojna w Ukrainie, to nim zobaczyliśmy alerty w telewizji, już wiedzieliśmy, że coś się wydarzyło, bo posypały się zamówienia. Wtedy bylibyśmy w stanie sprzedać wszystko i po każdej cenie. Były kolejki, zapisy.

Dr Piotr Maszczyk zapytany o to, od czego zależy cena złota, odpowiada, że od tego, co ludzie myślą na temat jego przyszłej wartości.

– Jak sytuacja się pogarsza, idą niepokoje, złoto zyskuje. Bo ludzie wierzą, że ono jest lokatą pewną. Że zawsze będzie na nie popyt. A poza tym w przeciwieństwie do banknotów nie zje go szczur. Nie tknie pleśń. Łatwo je schować. Ze złotem też dobrze się ucieka.

JEDEN PROBLEM ZE ZŁOTEM

Nad tym, czy będzie wojna, zastanawia się czasem Michał, który pracuje w budżetówce, ma 31 lat i biega maratony. A jeśli chodzi o złoto, to pierwszą, kilkugramową sztabkę kupił kilka lat temu i dziś – podobnie jak Jakub – nie jest już zainteresowany okazjami w sieci.

– Kiedy człowiek trzyma złoto w dłoni, czuje się bezpieczny – mówi Michał. – Nikt mi nie zamknie konta, nie wyłączy internetu, nie ma nad moim złotem kontroli. Tylko ja.

Identycznie myśli Jakub, który prawie wszystkie swoje oszczędności ma w złocie.

– Powiem tak – ja, moja kobieta i nasze dziecko jesteśmy w stanie na tym przeżyć, oszczędzając, dwa lata. A jeśli w Polsce coś by się stało, to moja rodzina ma zapewniony start w Hiszpanii – mówi.

Żeby mieć do swojego złota dostęp w każdej chwili, Jakub trzyma je w domu. Na widoku położył klaser z podrobionymi monetami, na podpuchę dla złodziei. Część złota jest w sejfie. Reszta?

– Schowasz jedną monetę w nodze stołu, drugą w szafie, trzecią w lodówce, czwartą wrzucisz do słoika z cukrem – nie znajdą wszystkiego, chyba, że zostawisz ich tam na tydzień – mówi.

Jacek też uważał, że złoto daje bezpieczeństwo, ale im więcej go miał, tym częściej czuł niepokój, kiedy wyjeżdżał z domu.

Jest przed czterdziestką i prowadzi firmę. Złoto kupuje – jak mówi – namiętnie, ponieważ okazało się, że rozwiązuje ono jego problem z pieniędzmi. To znaczy, odpowiada na pytanie, co z nimi zrobić.

– Na koncie bankowym nie chciałem ich trzymać. Na giełdzie się nie znam. Poszedłem w nieruchomości i okazało się, że są z nimi same kłopoty. Ze złotem nie ma żadnych problemów.

Poza jednym – trzeba je schować. Jacek początkowo trzymał sztabki w małym sejfie. Później kupił drugi, znacznie porządniejszy, który ukrył w domu.

Jego znajomy pracował w firmie ochroniarskiej. Czasem opowiadał mu o mieszkaniach, które zostały okradzione. Złodzieje przychodzili z gumowymi młotkami, żeby opukać ściany i podłogę, mieli wykrywacze metalu.

Jacek swoje złoto przeniósł do najbezpieczniejszego, jak mówi, miejsca w Trójmieście.

– Czyli gdzie?

Podaje mi adres.

SKARBIEC SAMOOBSŁUGOWY

Przeszklone drzwi z logo Skarbca Pomorskiego wyglądają zwyczajnie. Od tych, które znajdują się po lewej i po prawej stronie odróżnia tylko to, że są kuloodporne.

Otwiera mi Kamil, właściciel. Lokal jest niewielki: mieści aneks kuchenny, stół z kilkoma krzesłami i sam skarbiec. Aby się do niego dostać, trzeba wejść do kolejnego pomieszczenia.

– Waży kilkanaście ton i jest ognioodporny – opowiada o skarbcu, zanim zaprosi mnie dalej. – Ma czujnik dymu, temperatury i drgań, na wypadek, gdyby ktoś zaczął w nim wiercić. Mógłbyś tu przyjechać czołgiem, a do zawartości skarbca i tak byś się nie dostał.

Kamil założył firmę trzy lata temu, kiedy zorientował się, że prywatne skarbce to nisza na rynku. Niewiele banków oferuje wynajem skrytki w ich sejfie, a jeśli już, to wyłącznie na dłuższy czas, nie pozwalają przechowywać w nich gotówki i oferują dostęp do zawartości wyłącznie w godzinach pracy. Jego skarbiec umożliwia wynajem skrytki na miesiąc, a klient może przyjść po swoją własność siedem dni w tygodniu o dowolnej godzinie.

Całość działa na podobnej zasadzie jak automat z przekąskami – mechaniczny podajnik wyciąga ze skarbca odpowiednią skrytkę i transportuje ją do właściciela.

Odbywa się to w tak zwanym private roomie – miejscu, w którym klient zostaje ze skarbcem sam na sam.

Kamil kartą otwiera drzwi i puszcza mnie przodem. Wchodzimy do pomieszczenia o powierzchni mniej więcej czterech metrów kwadratowych. Znajduje się tu rodzaj postumentu. Kamil skanuje przy nim drugą kartę, przykłada palce do czytnika, wpisuje kod i wkłada kluczyk do stacyjki. Zerka na mnie i przekręca go. Rozlega się cichy, mechaniczny dźwięk. Po kilku sekundach postument otwiera się, odsłaniając skrytkę.

Kiedy Kamil ją zamknie, automatyczny podajnik przeniesie skrytkę z powrotem do swojego miejsca w skarbcu.

Cały lokal jest monitorowany, ale w tym pomieszczeniu kamery łapią tylko nasze nogi. – Tego, co mamy w rękach, nie widzi nikt.

– Zauważ, że nie potrzebujesz żadnej obsługi, żeby mieć dostęp do swojej skrytki – mówi Kamil. – Wszystkie tradycyjne skarbce na świecie mają ten sam słaby punkt – czynnik ludzki. Zawsze istnieje ryzyko, że złodziejom pomoże pracownik instytucji. U nas to ryzyko jest zredukowane do minimum.

Kto i co tutaj trzyma? Na umowie najmu widnieją nazwiska właścicieli skrytek. Kim są, Kamil może się tylko domyślać na podstawie ich wyglądu i tego, co czasem o sobie powiedzą. Klasa średnia i wyższa, raczej nie ci najbogatsi. Sporo marynarzy.

Skrytki są różnych rozmiarów, te największe są wielkości pudełka na buty: koszt 360 zł miesięcznie. Złoto, które by je wypełniło, byłoby dziś warte około 130 mln zł.

A MOŻE LEPIEJ NABOJE

– Złoto, i to jest w ogóle podstawowa rzecz: chroni nasz kapitał – mówi Aneta Mazurek.

Z taką właśnie myślą kupują je Jakub, Jacek, Michał. Też babcia Jakuba złote obrączki kupowała z myślą, by przekazać je przyszłym pokoleniom. Trzymała je w kopercie w biurku. Po jej śmierci koperta razem z innymi papierami trafiła na śmietnik. Rodzice Jakuba zorientowali się w ostatniej chwili.

– To się zdarza, że rodzice albo dziadkowie zgromadzili złoto dla następnych pokoleń, po czym ukryli je tak dobrze, że ślad po nim zaginął – mówi Słomski i opowiada o siostrach, których ojciec był zamożnym jubilerem.

– Kiedy zmarł, okazało się, że nie ma w zasadzie żadnego majątku. Tajemnica rozwiązała się podczas robienia porządku w jego warsztacie. Dziewczyny znalazły formę do odlewu w kształcie gwoździa. Zamiast szukać schowków pod podłogą, przyjrzały się boazerii. Była naszpikowana złotem. Szczęście, że nie zdążyły zrobić remontu.

Słomski kilka dostaw złota miał wprost ze spalarni śmieci.

1 RP

eprasa.pl 883d017d18

– Ludzie nieustannie poszukują, takiego w wyobrażeniu swoim, w miarę pewnego zabezpieczenia wartości realnej swojego majątku. I tę właśnie funkcję szeroko spełnia złoto – mówi dr Maszczyk. – Choć w Polsce przede wszystkim ziemia – komunizm i późniejsza transformacja obniżyły realną wartość wszelkich form utrzymania majątku, poza nią. Dlatego w Polsce, bo to tkwi w głowach ludzi, jest taki boom na nieruchomości. Zamożni myślą: „Emerytura? A to może lepiej kupię trzy mieszkania". Sęk w tym, że to nie jest dobry pomysł. Bo dziś takie myślenie wykańcza demografia. Jak rozmawiam ze studentami, to pytam: ilu z państwa ma rodzeństwo? Jeszcze część podnosi ręce, ale większość już nie ma. W związku z czym mówię: macie państwo dwie pary dziadków, oni mają swoje mieszkania. Życzymy dziadkom jak najlepiej, ale to de facto oznacza, że za dziesięć lat każde z was będzie mieć dwa mieszkania. W jednym zamieszkacie, a drugie wynajmiecie. Po co wam mieszkania tych, co dziś je kupują na inwestycje?

– Czyli złoto?

– To zależy. Niektórzy twierdzą, że jedyne, co za jakiś czas będzie miało jakąkolwiek wartość, to naboje do kałasznikowa.

POCZUJ MOC ZŁOTA

– Gorączka złota? No jasne, że rozumiem, co to znaczy. I tobie też zaraz wytłumaczę, tylko poczekaj chwilę, przyniosę jeszcze inną monetę, zrobimy mały eksperyment – mówi Paweł Mazurek i znika za drzwiami. Po czym wraca, kładzie monetę na blacie.

– Ona też jest jednouncjowa – mówi. – W sensie, że zawartość złota jest w niej taka sama jak w innych monetach inwestycyjnych. Tylko ona jest rozmiarowo trochę większa, bo ma większą domieszkę miedzi. Przez co też kolor ma trochę inny.

– To jest właśnie ów słynny Krugerrand – włącza się Aneta. – Czyli południowoafrykańska, pierwsza złota moneta inwestycyjna na świecie.

Paweł: – Wyjmij ją, proszę, z opakowania.

Wyjąłem.

Paweł: – Czujesz?

– Tak, jej wagę.

Paweł: – No właśnie, czyli czujesz moc tej monety. Często, jak przychodzi klient, kupuje monetę, wypełniamy formalności i on tak z nią siedzi, ona jest w tym ochronnym kapslu i nagle on: „Kurczę, i ja za to płacę 17 tys. zł?". Wtedy proszę go, żeby właśnie wyjął ją z opakowania, on to robi, i nagle widzę, zaczyna się uśmiechać.

Albo jeszcze to – Paweł rzuca Krugerranda na blat, moneta zaczyna się kręcić, a opadając, coraz bardziej brzęczeć.

Paweł: – Złoto ma ten swój charakterystyczny, metaliczny dźwięk. Ono po prostu ma w sobie coś magicznego. Jak mnie na początku zapytałeś, jak to się stało, że się w to zaangażowałem, to chyba właśnie dlatego, że poczułem tę jego moc. A też, że jak w to się zaangażuję, to będę sprzedawał ludziom coś, co ma konkretną, ponadczasową wartość. Ja po prostu wierzę w złoto.

– I też lubisz je czasem podotykać? – pytam.

– Prawdę mówiąc, lubię. Jak przychodzą jakieś takie fajniejsze, większe sztabki, lubię potrzymać je w dłoniach, bo to jest bardzo miłe uczucie.

ZŁOTY ŁAŃCUCH TO JEST COŚ

W 2025 roku metale szlachetne zrabowano 254 razy. To prawie dwa raz mniej niż w 2020. Ale za to rok 2025 obfitował w kradzieże szczególnie zuchwałe.

W Rzeszowie w nocy z 24 na 25 września z szybu wentylacyjnego w salonie jubilerskim wyskoczył mężczyzna w masce Zorro, nagrały to kamery. Szlifierką rozciął gabloty i uciekł ze złotem za 2 mln zł.

Kiedy człowiek trzyma złoto w dłoni, czuje się bezpieczny – mówi. – Nikt mi nie zamknie konta, nie wyłączy internetu, nie ma nad moim złotem kontroli

Kilka miesięcy wcześniej, w Elblągu, ukradziono złoto warte niemal 7 mln zł. Plan złodzieja był mniej wyrafinowany: w nocy 20 kwietnia po prostu wyważył łomem drzwi do galerii handlowej, a później sforsował zabezpieczenia w sklepie jubilerskim Agat. Łup schował w donicy niedaleko sklepu, by wrócić po niego spokojnie następnego dnia.

Do kradzieży w Malborku doszło 4 lutego około godziny 8. Ekspedientka sklepu jubilerskiego rozkładała właśnie towar w gablotach, przygotowując salon do otwarcia, gdy do drzwi zapukała kurierka z paczką. Pracownica otworzyła, a do środka wtargnęło dwóch zamaskowanych mężczyzn, którzy skrępowali ją i skneblowali. Napastnicy wraz z „kurierką" opróżnili sklep i uciekli, zamykając za sobą drzwi na klucz. Zniknęła biżuteria o wartości około 700 tys. zł.

„Zorro" schwytano po tygodniu. Próbował sprzedawać swoją zdobycz po kawałku w lombardach. Złodziej z Elbląga miał jeszcze mniej szczęścia: plecak ze złotem wartym 6,7 mln zł został znaleziony przez psa tropiącego kilka godzin po kradzieży, on sam niedługo później.

A napastników z Malborka policja wciąż szuka.

– Szuka tak, że zdążyła już umorzyć sprawę – mówi Paweł Kurek, właściciel okradzionego salonu. Zaskarżył tę decyzję, ale stracił wiarę w skuteczność funkcjonariuszy. Wyznaczył 80 tys. zł nagrody za wskazanie złodziei i prowadzi własne śledztwo, którego szczegółów na razie nie ujawnia.

– Tu nie chodzi o pieniądze. Nie pozwolę, żeby ktoś tak traktował mojego pracownika – deklaruje Kurek. Od dziecka trenuje sztuki walki i ma sylwetkę bramkarza z klubu nocnego – co zresztą przez kilkanaście lat było jego pracą. 17 lat temu założył lombard i od tamtej pory obraca złotem.

Co stało się ze skradzioną biżuterią?

– Opcje są trzy. Złodzieje postanowili przeczekać i biżuteria leży gdzieś zakopana w ogródku. Druga: wywieźli ją za granicę i sprzedali na przykład w Turcji. Trzecia: znaleźli punkt, w którym ktoś odkupił złoto w dobrej cenie i nie zadawał zbędnych pytań.

Paweł Kurek jest jednak dobrej myśli i wierzy nie tylko w schwytanie sprawców, ale też w odzyskanie majątku. – Niedługo po kradzieży otworzyłem drugi salon jubilerski, w Trójmieście. Żeby wkurwić tych złodziei – mówi.

W złoty biznes wszedł z dwóch powodów. Po pierwsze, biżuteria – w przeciwieństwie do wielu innych towarów – nie traci na wartości. Po drugie, po prostu lubi złoto.

– Zawsze mi się podobało. W domu go nie było – nie licząc jednej obrączki, którą mama regularnie zastawiała w lombardzie, żeby opłacić rachunki. Ojciec, niestety, pił. Kochał mnie, nie mogę powiedzieć, ale żyliśmy w biedzie. Do jedzenia nieraz dostawałem chleb namoczony w wodzie i posypany cukrem. A ja od małego miałem wielkie ambicje. Już w podstawówce mówiłem, że zostanę biznesmenem, będę jeździć S-klasą i mieć buldoga angielskiego.

Gdy Kurek pracował na bramce, podziwiał gości przychodzących w dobrych koszulach, ze złotymi zegarkami i biżuterią. W wieku 22 lat za zaoszczędzone pieniądze kupił gruby złoty łańcuch, w którym chodził do pracy.

– To był prestiż. Zakładasz coś takiego i czujesz się innym człowiekiem. Kimś, kogo stać. Po prostu kimś – wspomina.

Awansował na szefa ochrony, ale z czasem atmosfera nocnych klubów zaczęła go męczyć. Jego przyjaciel prowadził lombard i zaoferował pomoc w rozkręceniu własnego interesu. Kurek zainwestował oszczędności, sprzedał złoty łańcuch i otworzył swój pierwszy komis. Po kilku latach – kolejny.

Z czasem poczuł jednak, że brakuje mu umiejętności do dalszego rozwoju biznesu. Zaczął słuchać audiobooków. Dziś podkreśla, że nikomu nie zawdzięcza tak wiele, jak swojej matce oraz Brianowi Tracy'emu – mówcy motywacyjnemu i przedsiębiorcy. Ukończył zajęcia w jego akademii biznesu.

Dziś posiada 18 kantorów i dwa salony jubilerskie. S-klasę sprzedał, jeździ Maybachem. Kilka lat temu zamówił dla siebie ciężki, złoty wisior z logo swojej sieci komisów DPK.

– Zakładam go czasem na rozmowy biznesowe. Pierwsze, co wtedy robią ludzie przy stole, to patrzą na mnie jak na debila. Myślą: Przychodzi obwieszony złotem, pewnie jakiś półmózg. No jasne. Siadam więc, słucham, co mają do powiedzenia, a potem zabieram głos ja. I wtedy żarty się kończą.

KOSMICZNA CZĄSTKA

– Gdyby całe złoto wydobyte przez ludzkość zebrać w jednym miejscu i odlać z niego sześcian, to długość jego boku wynosiłaby plus minus dwadzieścia trzy metry – Paweł Mazurek odkąd zaczął zajmować się złotem, zgromadził na jego temat wiedzę wręcz imponującą.

– Czyli dużo tego złota nie wydobyliśmy, prawda? – wtrąca Aneta.

– Co nie znaczy, że w ziemi go nie ma sporo, bo jest, ale na bardzo dużych głębokościach. Na razie najgłębsza kopalnia, która jest na świecie, sięga zaledwie około czterech kilometrów w głąb ziemi. Oznacza to, że wwierciliśmy się na razie mniej więcej na cztery dziesiąte procenta grubości pokrywy kuli ziemskiej – Paweł wyciąga ze swojego zasobnika kolejną perełkę wiedzy. Po czym mówi, że jest jeszcze jedna fajna rzecz, którą wie o złocie. A mianowicie, że każda jego cząstka, którą znajdujemy tu, na Ziemi, pochodzi z kosmosu.

PS W lipcu NBP zwiększył ilość posiadanego złota do 632 ton. ●

wyborcza.pl

• **Skąd na Ziemi tyle złota**, czyli o największej w historii astronomicznej kampanii obserwacyjnej – wywiad z prof. Dorotą Gondek-Rosińską, astrofizyczką czytaj na **wyborcza.pl/duzyformat**

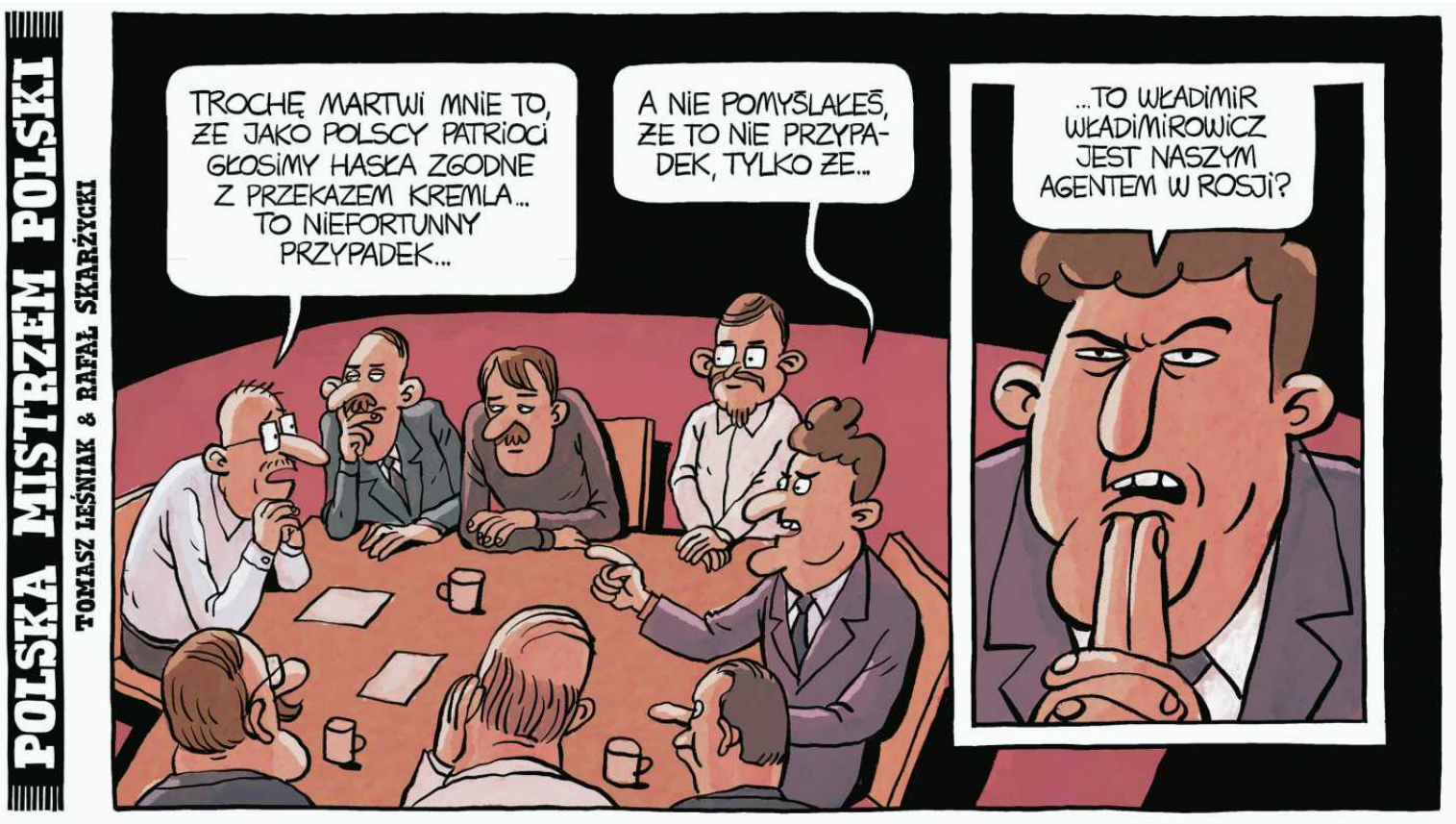

eprasa.pl 883d017d18

jolka 213

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie spółgłoski S i Ś. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

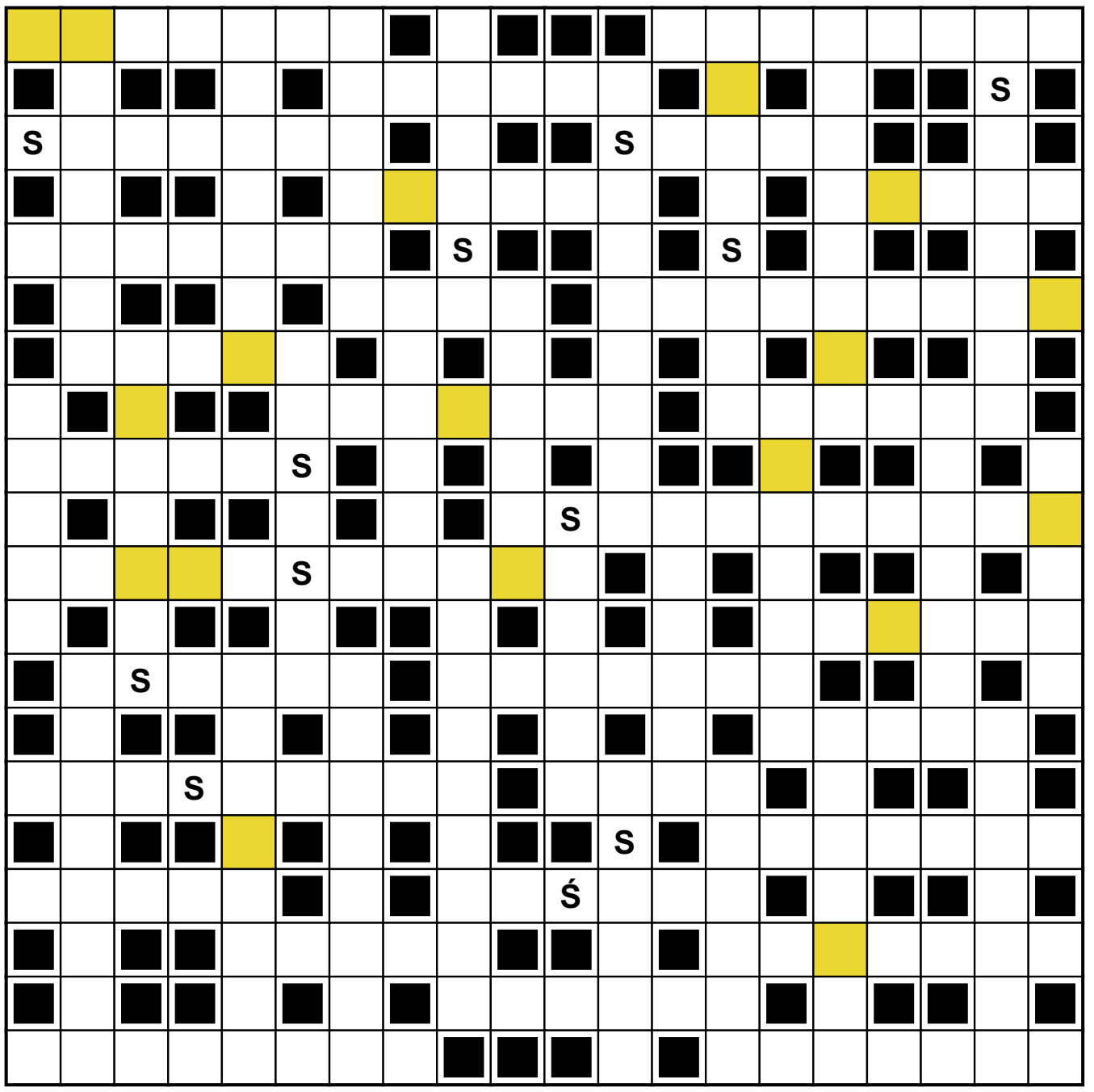

- angielskie hrabstwo z miastem Dover
- Anne, zagrała Penelopę w „Odysei" Christophera Nolana
- bez szacunku o pracowniku skarbówki, starostwa
- „Brzydula i ...", piosenka Marii Koterbskiej
- ciało obracające się w stałej odległości od danego punktu (wyraz palindrom)
- co słychać u Muncha?
- „Człowiek i ...", satyra Ignacego Krasickiego
- dolnośląskie miasto nad Nysą Szaloną, z ruinami zamku
- drapieżniki z pędzelkami na końcach uszu
- dziadów albo dożynkowy
- dzika owca występująca m.in. na obszarze Alp
- film Romana Polańskiego, w którym zagrał Harrison Ford
- gatunek sowy spokrewniony z puszczykiem (wystarczy zmienić literę w wyrazie „łyczek")
- gliniana skorupka, na której pisano w starożytnej Grecji (anagram: troska)
- ... Górne, wieś w sercu Bieszczad
- idée fixe
- imię Kamińskiego, aktora
- imię Pascala, francuskiego fizyka, matematyka i filozofa
- James Watt (wynalazca) lub Ewan McGregor (aktor)
- jego korzeń w słoiku z kiszonymi ogórkami
- „Kiedy ... poznał Sally", film z Meg Ryan i Billym Crystalem
- kk
- likwidowane heblarką
- miasto nad rzeką Ochnią (woj. łódzkie)
- młode samce sarny
- mówi jedno, myśli drugie; fałszywiec
- na stanowisku kierowniczym w oddziale kopalni
- najwyższy szczyt Beskidu Małego
- odbicie się pocisku od przeszkody
- pojazd taki jak quad (czasem także na gąsienicach), do poruszania się w trudnym terenie
- pojazdy do ubijania śniegu na stokach narciarskich
- potocznie: opaski zaciskowe z zębatką
- pozycja do rzutu piłką lekarską oburącz zza głowy
- próbuje pogodzić zwaśnione strony
- „... ptaka nakręcacza", powieść Harukiego Murakamiego
- raje z mórz
- ... room, czyli pokój zagadek
- ruchome w Słowińskim Parku Narodowym
- rumak Aleksandra Macedońskiego
- rywalizowali z Januszem Sidłą
- rzeczy, sprawy na czasie
- są nimi sercówki występujące w Morzu Bałtyckim
- składnica akt
- szczęka dolna
- szef Kaprala i Ofermy z komiksów Janusza Christy
- szybkie żaglowce do transportu towarów, popularne w XIX w.
- technika graficzna bliska Albrechtowi Dürerowi
- ... topolowiec, niewielki chrząszcz, szkodnik drzew
- tworzy się w wyniku rozkładu drewna przez drobnoustroje
- typ szkoły średniej (od nazwy ogrodów, w których nauczał Arystoteles)
- w przenośni: duże zmartwienie, które może człowieka przygnieść
- „W żar epoki użyczą wam chłodu tylko drzewa, tylko ..."
- wicherek – Cher, szpadelek – ?
- zespół, którego wokalistą był Ryszard Riedel
- „Zrób ... życia, a będziesz bogaty" – śpiewa Maciej Maleńczuk
- żołędzie na zielonym stoliku

Rozwiązanie jolki nr 212:
Walka o ogień.

Rzędami: podchody, Wielka Sowa, Luciano, roraty, prątki, Nemo, bypass, więźba, impresje, Lassie, dzieło, Pochanke, udźwignięcie, pechowiec, generalka, rozbieżności, sierżant, prolog, chybot, Aragonia, odstęp, Smoleń, lęki, lipiec, Tracja, Eurazja, pomarańcze, skrzynia.

Kolumnami: Capri, ostęp, Moore, ogród, doktor, habilitacja, Erato, Helios, Goplana, Książ, decybele, nacisk, ucho, miecz, Happysad, cebularz, Irons, Wagi, esteci, Stańczyk, Gangi, korowód, aplauz, raróg, strzępigęba, Oppman, bułki, Kingi, Adyga, akcja.

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34414087

Od kwietnia **CODZIENNIE** w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia

Rusz głową!
Nie nudź się w domu!

1 RP

eprasa.pl 883d017d18